Następujące dzieła, wyszłe nakładem S. Lewentala, Wydawcy „Kłosów", można nabywać w Kantorze tegoż Wydawnictwa Nr. 12, ulica Widok, oraz we wszystkich znaczniejszych księgarniach krajowych.

Dzieci wieku. Powieść w 2-ch tomach, J. I. Kraszewskiego, rs. 1 kop. 50.

Orbeka. Powieść w 1-ym tomie, J. I. Kraszewskiego, rs. 1.

Oficyaliści. Powieść w 3-ch tomach, Adama Pługa, rs. 2 kop. 50.

Pracownicy Morza. Powieść w 3-ch tomach, Wiktora Hugo, w tłumaczeniu Feliciana Faleńskiego, rs. 1 kop. 50.

Historya Polska dla dzieci, opowiedziana w 34-ch lekcyach, przez Emilię Leją. Wydanie 3-cie, kop. 25.

Historya Rzymska, przez Wiktora Duruya, b. Ministra Oświecenia we Francyi, w tłumaczeniu Michała Szymanowskiego, rs. 1.

Żyd, przez Edwarda Lubowskiego. Dramat, premiowany na konkursie lwowskim, kop. 60.

Gawędy i Satyry, Wacława Szymanowskiego, kop. 60.

C[illegible] Morze. [illegible] Michała Jezierskiego, kop. 60.

Prenumerata na prowincyę uskutecznia się w frankowanych [illegible] pocztowych, za odesłaniem powyżej wymienionej ceny.

JESIENIĄ.

JESIENIĄ.

POWIEŚĆ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM II.

WARSZAWA.
NAKŁADEM GEBETHNERA I WOLFFA.

1876.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 24 Іюля 1875 года.

W Drukarni S. Lewentala, ulica Nowy-Swiat, Nr. 39.

JESIENIĄ.

ROZDZIAŁ I.

Skutkiem psychologicznego obrachunku, pan Teodor postanowił dni kilka przeczekać, nimby się znowu zjawił w Zamostowie. Zdawało mu się to właściwszém, niż nazbyt okazać natrętnym. Niecierpliwość jednak rosła i czwartego wybrał się w porze przedobiedniéj, wyświeżony, ubrany z wielką prostotą, dystynkcyą i smakiem. Przejrzawszy się w zwierciedle, był z siebie zupełnie zadowolniony; uważał się tak przyzwoitym, tak *comme il faut*, iż nikt z nim na całą okolicę walczyć nie mógł. Nawet wiek, a raczéj pewna dojrzałość, jak się wyrażał o sobie, dodawała mu wdzięku; łysina powagi, parę lekkich marszczek każących się domyślać nieco burzliwego żywota, nieszkodziły wcale w oczach kobiety. Wchodziło to do teoryi pana Teodora.

Dzień był wcale piękny, dojeżdżając do pałacyku, dobył zwierciadełko kieszonkowe, poprawił włosy, i gotował się wysiadać, gdy na ganku ujrzał niespodziankę tak nieprzyjemną, iż na chwilę sądził, że gdzieindziéj zajechać chyba musiał.

W ganku na ławeczce, z cygarem w ustach, nogę na nogę założywszy, siedział młody chłopak, ogromnie wyrosły, z włosami długiemi po artystowsku zarzuconemi na ramiona, z jednym palcem założonym za kamizelkę, ze szkiełkiem w oku, bez ceremonii rozparty, jakby był w domu.

Młody panicz był pięknéj twarzy, rumianéj, wesołéj, nieco szyderskiéj, a tryskającéj niezmierném życiem. Wszystko się w nim śmiało, drgało, lśniało, oczy niebieskie, wargi rumiane, policzki różowe, ręce żylaste i silne. Najdziwniejszą było rzeczą, że ten nieznajomy, przed którym leżał słomiany kapelusz i rękawiczki, z laseczką bardzo kształtną, ubraniem i postawą zupełnie domowego, poufałego kogoś udawał.

Ale któż to mógł być taki?

Pan Teodor wysiadał, a młodzieniec popatrzywszy nań, wstał, choć go nie było komu przedstawić i wyjąwszy z ust cygaro, podszedł z uśmiechem.

— Wszak mam honor pana Teodora Męczyńskiego widziéć.

— Tak jest.

— Adryan Brzoski, siostrzan cioteczny pani hrabiny Wandy, domyśliłem się, że to pan jesteś, bo tu o panu była mowa — mówił żywo i wesoło Brzoski — prezentuję się więc bez ceremonii przyjacielowi cioci, i polecam jego łasce. Od dwóch dni napróżnośmy pana dobrodzieja wyglądali; rzucam cygaro, którego nie mam powodu żałować, bo źle ciągnie i.... służę do salonu. Kochana, śliczna ciocia będzie panu rada.

Pan Teodor poufałością i śmiałością młodzieńca nieco był zmięszany, twarz jego musiała to wyrażać, ale pan Adryan wcale na to nie zdał się uważać. Grzecznie się skłonił, odrzucił włosy i we drzwiach stanął, prosząc gościa, aby go poprzedzał. Chłopak gdy wstał, olbrzymiéj postawy się wydał, piękny cale i zręczny.

— Bardzośmy pana wyglądali — rzekł idąc — ciocia nie wątpię że zostanie uszczęśliwioną, a ja także, bo choć śliczną

ciocię kocham, ale dla mnie za poważna, a panna Kornelia dowcipna i zabawna, lecz oczy trzeba zamykać tak brzydka. Ja téż wolę męzkie towarzystwo. Cieszę się, żem pana złapał i obiecuję być natrętnym.

Pana Teodora ujęła i ośmieliła ta poufałość.

— Bardzo będę szczęśliwy, jeśli się tu na co przydam panu — rzekł grzecznie.

— Ale bardzo, niezmiernie! — zawołał Adryan — nie dasz mi umrzéć z nudów.

Weszli do salonu, tu nikogo nie było, a pan Brzoski mówił daléj:

— Ja już miałem czas doskonale się poinformować o całém sąsiedztwie i stosunkach. Wszystko wiem, co siostrzeniec wiedziéć i znać powinien. Stosunki cioci, upodobania, wstręty i sąsiedztwa na okół z pomocą panny Kornelii nauczyłem się na pamięć z komentarzem nieustającym...

Rozśmiał się. Jakkolwiek był ekscentryczny i zbyt otwarty, pan Teodor, który zrazu nie zasmakował w nim, bo mu się ta młodzieńcza krasa, zbyt odbijająca od jego dojrzałości, niepodobała, uczuwał się już pociągniętym ku niemu. Adryan podał mu rękę.

— Jeszcze raz — rzekł — łasce i życzliwości się pańskiéj polecam. Jestem na wakacyach, bo jeszcze powracam dla doktoryzacyi do uniwersytetu; zabawię tu kilka tygodni, pan mnie uratujesz, biorąc w opiekę.

— Powtarzam, że się oddaję do dyspozycyi pańskiéj — odparł udobruchany Męczyński — dom mój proszę uważać za własny.

— Myśliwy pan? — spytał Adryan.

— Ja? tak, trochę, ale nie koniecznie, nie przeszkadza to wcale, bym mu polowania nie urządził i nie służył za towarzysza. Mój dzierżawca to doskonale umié.

— Doskonale! — zawołał Adryan żywo — tém bardziéj, że ma, jak już wiem, dwie ładne żwawe córki w domu.

Rozśmiał się, a pan Teodor za nim.

— I to już pan wiész! — zawołał.

— Jakto, i to? ale ja wiem co do joty wszystko; wystudyowałem doskonale grunt, po którym mam chodzić, znam historyę pańską.

— Moją! — przerwał przestraszony Teodor.

— O ile ona jest dostępna dla profanów i o ile wolno mi ją było poznać — dodał Adryan — wiem o panu Krzysztofie... od a do z... wszystko.

Pan Teodor stanął zdumiony.

— Zkądże, od panny Kornelii? — spytał.

— Nie od niéj jednéj — mówił z' młodzieńczą żywością Adryan — proszę pana, siedzę tu dzień trzeci, a od czegóż rejent, choć małomówny, ludzie... zresztą talent prawnika (chodzę na prawo), który może być kiedyś sędzią śledczym, jeśli nie zostanie romansopisarzem?

Zaczął się śmiać pan Teodor, Adryan mu pomógł i śmieli się jak starzy, dobrzy znajomi, gdy obleczona swą zwykłą powagą, piękna, majestatyczna wyszła ciocia Wanda.

Zobaczywszy dwóch panów w tak doskonałéj komitywie, uśmiechnęła się i ona.

— Ciociu dobrodziéjko — zawołał Adryan — w niedostatku mistrza dworu, to jest rejenta, zaprezentowałem się czcigodnemu panu Męczyńskiemu, nie wziął mi tego za złe... i pierwsze lody wspólnemi siły połamane.

To mówiąc ukłonił się, ciotkę w rękę pocałował, i zostawując panu Teodorowi czas na przywitanie ceremonialne, sam poszedł do okna. Zdawało się, że w miejscu mu trudno było ustać i zamilczéć chwilę.

— Miła to dla mnie niespodzianka taki gość... taka znajo-

mość — odezwał się pan Teodor — przynosi nam z sobą życie do tego zamarłego kątka.

— O! życia ma tak, że mógłby się niem podzielić — odrzekła hrabina spoglądając zdala na Adryana, który już w braku zajęcia nuty przewracał na fortepianie. — Trzeba go hamować, ale nam, starym, ten uśmiech młodości, jest jak promień słońca, czujemy się nim odżywieni.

— Pani mówi: nam starym! — zaprzeczył Teodor.

— Bo się starą czuję, a przy Adryanie mało kto nie dozna tego uczucia.

Adryan już pobłądziwszy trochę po salonie powracał do cioci i gościa, podsuwał krzesła i widać mu było z twarzy, że do rozmowy tęsknił.

— Wié ciocia, już ułożyliśmy... polowanie.

— Rejent?

— A! nie; między gankiem a salonem z panem Teodorem — rozśmiał się Adryan. — Rejent wszystko w świecie urządzi ale nigdy w życiu nie polował, chyba na zabitego zająca na talerzu.

Panna Kornelia wbiegła i objąwszy okiem panującą w salonie harmonię, uśmiechnęła się.

— Widzę, że zostałam uprzedzona — rzekła. — Śpieszyłam, aby tych panów poznać z sobą.

— A! pani! znamy się już jakby od lat stu — zawołał Adryan — ja jestem natręt i gaduła, to wiele rzeczy ułatwia.

W ten sposób rozpoczęta rozmowa potoczyła się wesoło. Podano śniadanie; po niém Adryan zaproponował w ganku cygaro i wyszli.

Młodzieniec wziął gościa pod rękę i zaprowadził ulicą do parku.

— Wié pan co — rzekł po chwili. — Ciocia czegoś smutna; znalazłem tu humory powarzone, wielu się rzeczy domyślam...

trzeba was rozbawić, rozruszać i nie dać się wam nudzić. Ja do tego jestem jedyny.

— W istocie — odpowiedział Teodor — życie tu nasze jest dosyć... jednostajne.

— Ale nudne — przerwał młodzieniec — nie ma co się z tém ukrywać, kółko małe, ciocia zamknięta, mało osób przyjmuje, stosunki ostygłe. My to wszystko przerobiemy. Mam wiele planów różnych, zobaczycie.

Włosy odrzucił w tył, i uśmiechnął się. Panu Teodorowi jakoś przy nim rosło serce, uśmiechał się także.

— Jakże może być — wtrącił Adryan — najbliższe sąsiedztwo, państwo Pawłowstwo, nieznajomi prawie. Ona sama córka kupca, powiada panna Kornelia, no to co? może być osoba prosta, ale dlatego miła, a zawsze dziś pani Pobogowa. Państwo Zamorscy, dzierżawcy; dla czegóż ich nie ośmielić, nie zbliżyć. Są to żywioły, które przygarniać należy, nie odpychać. Naostatek pan Krzysztof dziwak, boście go zażyć nie umieli.

— A! tegom ciekawy, jak się pan do niego weźmiesz.

— Zobaczycie! — rzekł zarozumiale młodzieniec — widzisz pan, młodość jest nieustraszona i dla tego się jéj wiele rzeczy udaje. Panowie nadto macie rozumu i rachuby i dlatego często się mylicie.

— Tak! tak! — zakończył Teodor — napraw nas pan, bardzo mu wdzięczni będziemy.

— Szanowny sąsiedzie, nie pochlebiam sobie bym co więcéj nad to zrobił, że odgadłszy was będę mówił to głośno, co wy myślicie po cichu. W tém cała sztuka. A teraz, rzućmy cygara i chodźmy do cioci, aby się nie nudziła. Ciocię kocham, ubóstwiam; jest jak anioł dobra, piękna, a wydaje mi się nieszczęśliwą. Na to także radzić potrzeba!

Spojrzał na pana Teodora, który się uśmiechnął i jakby o niego szło, pełne wdzięczności zwrócił nań wejrzenie, ale nie odezwał się przez skromność. Teraz młodzieniec mu się stokroć

więcéj podobał; rachował na to, iż może mu być pomocnym wielce i postanowił wejść z nim w jak najbliższe stosunki.

— Jeśli to panu przykrości nie zrobi — odezwał się — wszak byśmy dziś razem mogli pojechać do Zieleniewszczyzny, wieczorem zabawić u Zamorskich, a jutro... polowanie.

Adryan uściskał pana Teodora.

— Cudowny projekt, wieczór w towarzystwie panien, a o świcie z trąbką w lasy — zawołał w uniesieniu.

— Ale czekaj pan, ostrzedz go muszę, abyś się młodszą Zamorską nie zajął, jest tak prawie, jak przyrzeczoną jakiemuś panu Maciorkiewiczowi.

— Ą to doskonale! — żywo przerwał Adryan — właśnie najswobodniéj umizgać się mogę nie narażając na to, aby mnie posądzano o matrymonialne widoki, bo co się tyczy ożenienia, o! do tego się ja nie dam prędko skłonić. Dałem sobie słowo nie żenić się póki nie wyłysieję.

— Czy to przymówka do mojéj łysiny?

— Uchowaj Boże! — krzyknął Adryan — pan masz tylko czoło wysokie, łysiny nie dostrzegłem. Jest więc rzeczą postanowioną, że do Zieleniewszczyzny jedziemy.

— Ja dziękuję...

— Ja, stokroć mocniéj; panna Kornelia wieczorem kładzie kabałę, a ciocia czyta i duma; zaczynałem już myśléć, czy mi się siatki robić nie wypadnie nauczyć.

Po krótkiéj rozmowie w salonie, dano obiad... jak zwykle wykwintny, do którego Adryan zasiadł z apetytem dwudziestoletnim i poufałością dziecięcia domu. Nadszedł i poważny rejent, który w chęci przysłużenia się siostrzeńcowi hrabiny, zapowiadał, iż może się polowanie złoży.

— Ja jadę na polowanie do Zieleniewszczyzny, kochany rejencie — rzekł Adryan — już sobie o mnie głowy nie łamcie, odłożymy to na późniéj.

— Jakto już jedziesz? — zapytała hrabina.

— Muszę, jestem proszony — zawołał Adryan — a przytém rad będę poznać panny Zamorskie, o których tyle słyszałem.

— Gdzie? w Warszawie? — potrąciła hrabina.

— Nie, tu już na miejscu — rzekł Adryan — juściż to obowiązek z méj strony porobić znajomości.

— Z ładnemi pannami — szepnęła panna Kornelia.

— A podwójny! — skłaniając głowę zawołał Adryan — starożytni składali cześć piękności, jako objawowi bóstwa, a ja jeszcze jestem w téj życia epoce, gdy się karmiemy samemi starożytnemi. Studyuję prawo rzymskie, mam prawo być trochę poganinem.

Adryan przez cały czas obiadu nie zamknął ust i udało mu się nawet poważną ciocię nieraz rozśmieszyć. Rejent zwykle posępny, rozchmurzył się także, panna Kornelia była w zachwycie nad miłym młodzieńcem, pan Teodor czuł, że przy nimby odmłodniał. Jedném słowem, ta iskra wrzucona na zaschły materyał, rozniecała powoli ogień, jakiego dawno w Zamostowie nie było. Ciepléj jakoś zrobiło się wszystkim, nowe życie w nich wstępowało. Hrabina słuchała szczebiocącego i kręcącego się młodzieńca, z macierzyńską niemal czułością spoglądając na niego.

Tak przeszedł czas do herbaty, gdy Teodor przypomniał, że jechać trzeba. Adryan już pamiętał o tém, by być gotowym, w ganku leżała jego torba, dubeltówka i płaszcz, pożegnali się więc i wsiedli z cygarami do powozu, a Adryan z niego się jeszcze wychyliwszy, rejentowi dał jakieś polecenia na wyjezdném.

— Z tą moją najukochańszą ciotką — rzekł gdy się oddalili od pałacu — nie będzie innéj rady, tylko ją za mąż wydać potrzeba. Szkoda jéj, zanudzi się, znajdziemy kogoś stosownego, ja małżeństwo skojarzę i... pobłogosławię. Jest-to wiek, w którym starsi młodszych słuchać powinni, mam obowiązek ratować ciotkę.

Panu Teodorowi podobał się plan ten bardzo, uśmiechał się,

nie śmiejąc go widocznie zastosowywać do siebie, ale był tego przekonania, że Adryan sam wpadnie na myśl szczęśliwą. Pochwalał więc bardzo sposób zapatrywania się na przyszłość kochanéj ciotki i aplaudował z całego serca.

— Cierpliwości tylko — mówił Adryan — w ciągu kilku tygodni wiele się daje uczynić, a z ciotką trzeba ostrożnie. Narzucić sobie nic nie da, ale to samo przyjdzie, zobaczysz pan.

Wielkie było podziwienie Zamorskich, których jadący, na przechadzce całą rodziną, przypadkiem spotkali na drodze, gdy ujrzeli dziedzica wracającego w towarzystwie nieznajomego, a tak pięknego młodzieńca. Wyjąwszy Zamorskiego, który nigdy tonu nie zmieniał i zawsze był jednaki, pani i obie panny spoważniały, zasznurowały usta, przybrały postacie krochmalne. Instynkt ludzki zawsze ten ostrożny chłód narzuca nam na widok nowych, nieznanych postaci. Zamorski podszedł do powozu, Teodor i Adryan wysiedli, a dziedzic przedstawił siostrzeńca hrabiny.

Wprawdzie hrabina rodzonéj siostry nie miała, ale domyślano się, że pokrewieństwo to było... cioteczne. Zamorski nawet o rodzinie Brzoskich był dobrze uwiadomiony i przyjął młodzieńca z wielką uprzejmością.

— Rachuję na dobroć waszą — odezwał się Teodor — i zaprosiłem, ufając w nią, pana Adryana do nas na polowanie.

— Z duszy serca! zaraz na jutro zadysponuję; rozkazuj pan, jesteś w domu, jam sługa jego.

Panny gryzły końce parasolików, spoglądając z ukosa na ładnego chłopaka. Liza mierzyła go oczyma, mimowolnie nastręczające się porównanie z Teodorem nie mogło wypaść na korzyść jego. Tylko, że z Teodorem była śmielszą, a tego się po troszę obawiała. Z oczu mu takie szatańskie zuchwalstwo błyskało!

Początki rozmowy były jak lód zimne; lecz po kilku słowach Adryan rozśmieszył panny, matkę ujął chwilową rozmową, ojcą

poufale pod rękę wziąwszy od razu się z nim poprzyjaźnił i nim do domu doszli, on już był... jak w domu.

— Jak to zaraz na nim znać wybornie wychowanego młodzieńca! — mówiła Zamorska — co to za grzeczność dla wszystkich, a jaki miły humor i dowcip.

— Przyznam się — dodał na ucho Zamorski — że nie gniewałbym się mieć go za zięcia, ale Misia już tak jak przyobiecana, a Liza...

Kaszlnął znacząco spoglądając na Teodora, który był nieśmiały jakoś i od panien dnia tego stronił. Zamorska westchnęła, przebieg tych spraw zostawując Opatrzności. Nie wątpiła ona, że z takiemi córkami kłopotu mieć nie będzie.

Ostatecznie podbił serca wszystkich Adryan, znajdując wiejskie zacisze na folwarku nader miłém i bardzo smakownie urządzoném. Zobaczywszy fortepian zadał gwałt przyjemny pannie Lizie zapraszając do niego, czego Teodor nigdy nie czynił. Po odegraniu Ständchen Schubert'a, według Liszta, unosił się nad wykonaniem; słowem pokochali go wszyscy.

Pan Teodor z cygarem zmuszony był siedzieć w oknie, słuchać, patrzéć i odpoczywać; pocieszał się tylko tém, że zdając interesa swe na siostrzeńca, postawi je wkrótce na najlepszéj stopie.

Zabawa u państwa Zamorskich przedłużyła się dosyć długo i zakończyła tém, że Adryan od Lizy przeszedł do cichéj i skromniejszéj Misi, z którą zawiązał rozprawę jakąś i chodził z nią po pokoju. Liza uwolniona manewrowała tak, że się zbliżyła do dziedzica, który cygaro odrzucił i ulegając jéj urokowi, cały się oddał miłéj pogadance, pół tęsknéj, pół wesołéj, a ta zaprowadziła go znowu niezmiernie daleko.

Liza powtórzyła mu przy nadarzonéj zręczności to, o czém już zawiadomił go wprzód ojciec, że ma skłonności arystokratyczne, że młodych ludzi nie lubi i że przekłada ludzi nieco ostygłych i poważnych. Uderzyło to wreszcie pana Teodora, ale

na pochyłości już będąc ku czulszym wynurzeniom, w sam czas się powstrzymał.

Długie to posiedzenie z Lizą, nie uszło bacznego oka młodzieńca, i gdy nareszcie nakarmieni i napojeni wyszli, w przyzwoitém oddaleniu od folwarku, szepnął panu Męczyńskiemu:

— Widzę, że pan się bierzesz do starszéj panny, albo raczéj, że ona się ma do pana... to w oczy bije!

— Ale, na Boga! — przecząc gwałtownie rzekł Teodor — ani wiek, ani położenie moje w świecie nie dozwala mi nawet pomyśléć o niczém podobném! Bawi mnie wesołe dziewczę, i na tém koniec. Zmiłuj się, nie wyobrażaj sobie, żebym... miał coś takiego w myśli.

— Najzupełniéj temu wierzę, ale jeśli tak jest — dodał Adryan — to pozwól-że mi się pan przestrzedz, ażebyś pozorów unikał. Zdaleka patrząc strasznie się to wydaje podejrzaném. Prawdą a Bogiem — oni na pana polują.

Teodor się zamyślił.

— To prości bardzo ludzie i nie sądzę, żeby szli takiemi drogami do celu, zbyt są naiwni.

— Ale ba — przerwał Adryan — panny mają może pozór dziewczątek wiejskich, ale im z oczu okrutny spryt patrzy, bądź pan ostrożnym. Nie wszystko jest naiwném, co się niem być zdaje.

Przez cały wieczór nieustawała żwawa rozmowa, którą Adryan sam prawie podtrzymywał, paląc cygaro po cygarze. Rozstali się po północy, a gospodarz winszował sobie nowéj znajomości niewymownie. Nazajutrz raniuteńko wszystko było do polowania w gotowości. Los chciał, ażeby obrany na nie ostęp przytykał do puszczy pana Krzysztofa. Zmęczeni znaleźli się w blizkości chaty Wilczków, a że Teodor rad się był téż dowiedziéć o Krzysztofie, a Adryan niezmiernie ciekawym był go zobaczyć, zawrócili pod pozorem spytania o zdrowie pustelnika.

— Ale jakże ja was potrafię wprowadzić — rzekł Męczyński

— kiedy on z nikim obcym mówić nie chce i odprawia czasem nawet grubiańsko.

— To moja rzecz — odparł Adryan — pan mnie tylko weź z sobą... ja na resztę poradzę.

Trafiło się tak, że nietylko Krzysztof był jeszcze w chacie, ale od strony cienia siedział w chłodku na krześle, pilnowany zdala przez Dosię. Na widok nieznajomego młodzieńca, dziewczę zawstydziło się jakoś i schowało, został sam pan Krzysztof, który zdala zmierzył zdziwionóm okiem Teodora i jego towarzysza, nie kryjąc się, jak przykre na nim czynił ten najazd wrażenie. Pan Teodor miał go już przedstawić, gdy Adryan wyrwał się naprzód.

— Pan dobrodziéj mi przebaczysz — rzekł z ukłonem nizkim — iż mimo najusilniejszych próśb pana Teodora Męczyńskiego, który mnie tu dopuścić nie chciał, narzucam się mu gwałtem, natrętnie. Tyle o czcigodnym panu słyszałem, o jego życiu samotném, o mocy ducha, tak mnie to poetycznością uderzyło, zachwyciło, iż nie mogłem się powstrzymać...

Krzysztof patrzał zdumiony.

— Jestem Adryan Brzoski, siostrzan pani Wandy, ona téż mówiła mi o panu.... przebaczysz pan śmiałość moją?

Stary na chwilę sumując zamilkł.

— Powinienbym, wedle obyczaju świata, być panu wdzięcznym — rzekł chmurno — ale ja jestem stary weredyk; nowe znajomości mi ciężą.

— Nie myślę téż pana moją obarczać — dodał Adryan — chciałem tylko raz w życiu go widziéć i tém się poszczycić. To życie samotne z Bogiem i naturą! przejmuje mnie uwielbieniem...

Pobóg ramionami ruszył.

— Czy pan sobie żartujesz ze mnie? — zapytał.

— Najszczerszą mówię prawdę — począł gorąco Adryan. — Wiek nasz, niestety, jest wiekiem nie posągów ciosanych z marmuru, ale gipsowych odlewów w jednych formach. Wszyscyśmy

kubek w kubek do siebie podobni i o nic się mocniéj nie staramy nad to, by się nie wyróżniać od ludzi. Gdy się więc trafi wśród martwych gipsów marmurowa postać, jestem dla niéj ze czcią.

— Tylko, że ja podobny chyba jestem do tych starych grobowych, którym rąk, nóg i całych brył braknie — rzekł Krzysztof.

— Tors Herkulesa, jest zawsze arcydziełem — wtrącił Adryan.

Krzysztof uśmiechnął się mimowolnie i popatrzał na Adryana; poczciwa, wesoła twarz ujęła go, obejrzał się, aby mu podano krzesło.

— Na Boga, nie troszczcie się o mnie — krzyknął chłopiec i padł na zieloną murawę tak zręcznie przed Krzysztofem, tak się wygodnie umieścił, iż go tą żywością ujął znowu. Przypatrywał mu się niemal z zazdrością jakąś.

Z za węgła patrzała téż na niego Dosia, bo po raz pierwszy w życiu, takiego Antynousa uśmiechniętego widziała. Teodor stał milczący.

— Wié pan, że jeśli się nie ożenię, jeśli w pojedynku nie polegnę, jeśli mnie kto na polowaniu nie postrzeli, i jeśli nie zmienię charakteru, pobujawszy nieco po świecie, gotowem się cofnąć na taki jakiś zamek stary jak pański, aby tam dumać o przeszłości, i na świat, który komposty i gnoje do ideału podnosi, nie patrzéć — odezwał się do pana Krzysztofa. — Zyskam na tém, że się w gnój sam nie obrócę i umrę człowiekiem.

Panu Krzysztofowi to wyznanie wiary dziwném się wydało, ale chłopak zdawał się być szczerym.

— Jedno z dwojga: albo rycerzem być albo pustelnikiem, to rozumiem; do siania kartofli dosyć tych, co są sami do nich podobni.

— Zkądże pan z temi przekonaniami tu do nas przybywasz? — zapytał pustelnik — z księżyca?

— Nie, z uniwersytetu. Uczyć się trzeba, to każdemu po-

trzebne — rzekł Adryan. — Na wakacye szczególny skład okoliczności napędził mnie do Zamostowa, do cioci. Ale z cioci niezupełnie jestem kontent; smutna jest, młoda a wyrzeka się świata. W panu uwielbiam ten heroizm, ale w niéj go nie przyjmuję; kobiety nie mają prawa iść na pustynię, zwłaszcza tak miłe, dobre i ładne, jak ciocia.

— Wydaj ją pan za mąż! — dodał sucho Krzysztof — chociaż powiada, że swobodę ceni tak wysoko.

— Bylem znalazł stosowną parę dla ciotki, muszę ją wyswatać.

Krzysztof się rozśmiał smutnie i ironicznie, Teodor skromnie. Nagle młodzieniec zmieniwszy rozmowę, począł o polowaniu i lasach, Krzysztof mówił z nim chętnie i coraz poufaléj. Wkrótce potém rozprawiali już o genealogiach polskich, pochodzeniu herbów i przydomkach, w czém Adryan okazał dosyć erudycyi, bo szczęściem świeżo jakoś grzebał się w Niesieckim, a pamięć miał doskonałą.

Z wielkiém podziwieniem Teodora, zdobywca serc, Brzoski, pozyskać sobie potrafił i szturmem wziął najtrudniejsze do pozyskania. Krzysztof był z nim już po godzinie, jak najlepiéj. Co więcéj, twarz mu się wyjaśniła, humor poprawił, dowcipował i otwarcie rozprawiał o swych przekonaniach, nie tając się z niemi przed obcym.

Adryan potakiwał, unosił się, niekiedy rzucał wątpliwość i wciągał przez nią w żywsze rozprawy. Pani Wilczkowa przyszła pytać, czy goście nie będą co jedli.

— Nie ma co pytać — zawołał Adryan — co na placu to nieprzyjaciel, bo jeść, mnie przynajmniéj, chce się okrutnie.

Nie wstając z murawy, śmiejąc się, baraszkując, wprawiwszy wszystkich w wesołe usposobienie. Brzoski jak wszędzie tak i tu wniósł z sobą życie. Korciało go tylko snać, że Dosi, o któréj słyszał, nie mógł widziéć zblizka. Posłużyła mu do tego zapowiedź śniadania, przymówił się jako najmłodszy pomódz do po-

dania i usługi. Nim kto miał czas zaprzeczyć, wstał i pobiegł do chaty. W progu jéj stała Dosia, Adryan się skłonił grzecznie, jakby największéj damie.

— Pani mi pozwoli pomódz sobie do podania śniadania. Słuszna rzecz, abym jako młody, spełnił ten obowiązek. Szkoda pani rączek.

Dosia spojrzała nań śmiało, a potém na ręce, które naiwnie wyciągnęła do Adryana.

— Albo to rączki tak jak u waszych panienek? — zapytała pół gniewnie, pół żartobliwie.

Rączki były opalone, trochę podrapane od pracy, ale mimo to, wcale ładne.

— Wié panna Wilczkówna, że nie jedna panienka by jéj ich pozazdrościła.

— Bałamut z pana! — rozśmiała się leśniczanka.

— Przekonasz się pani, gdy będę miał przyjemność lepiéj się jéj dać poznać, że jestem najrzetelniejszy z ludzi, ale — rzekł — nie ma czasu do sprzeczki, jeść się chce, pokaż mi pani stół!

— Stół, a ot! — odezwała się otwierając drzwi i wskazując stojący w pośrodku stolik niewielki.

Adryan spojrzał nań.

— We dwoje go łatwo wynieść — ozwała się Dosia już nieco przyswojona i ujęła z jednego końca.

— Chociażby mi było bardzo miło z panią go nieść, ale nie dopuszczę, ażebyś miała dźwigać. Niech pani odstąpi, ja go wezmę sam.

— Jakto sam?

— Adryan, który miał siłę wyrobioną potężnie gimnastyką, schylił się, ujął stół jedną ręką za nogę, podniósł go do góry i nie mówiąc słowa, jak zabawkę utrzymując w powietrzu, wyszedł z nim na podwórze. Ten dowód zręczności wywołał naiwne zdziwienie i wesoły uśmiech Dosi.

Adryan już był ustawił stół przed panem Krzysztofem i po-

wracał po resztę. Wpadł naprzeciwko zaprezentować się pani Wilczkowéj, matce; pomówił z nią kilka minut, zabrał co było potrzeba do śniadania i łupami obciążony, wrócił do Krzysztofa i Teodora. Dosia nie mogła się wstrzymać, by za nim nie iść oczyma i nie postąpić kilka kroków. Zdziwił ją ten śmiały, wesoły, napozór paniczowaty, a w istocie tak usłużny i skromny chłopiec, który w dodatku, był, jak się dowiedziała podsłuchując, siostrzeńcem hrabiny.

Przy stole Adryan tak dobrze jadł, jak wprzódy ochoczo służył. Krzysztofowi i to się podobało, bo on także wolał sam wszystko, co mógł robić, niż ludzkiéj wyciągać pomocy.

— Co to może krew — rzekł w końcu Adryan — pannę Wilczkównę tylko ubrać w jedwabie, a do karety posadzić, mogłaby z niéj być wielka pani.

— Jużciż to prawda — potwierdził Krzysztof — i powiem panu rzecz szczególną. Czém się to dzieje, że tę krew znajdziesz pan w szlachcie i — w chłopach; ale wié pan, to plemię, co skulone dwieście lat siedziało za warsztatem, co szyło buty i majstrowało; praca ta, choćby nawet mierzenie łokciem, zwichnęła im kłęby, pokoszlawiła nogi, porobiła z nich kaleków.

— Smutna to rzecz, choć prawdziwa — wrzucił Adryan — boć przemysł jest i będzie dźwignią wielkiéj cywilizacyi.

— Pewnie — odparł, swojéj teoryi oburącz się trzymając, pan Krzysztof — ale nie darmo dzielimy się na narody, a narody posłannictwa mają. Niemcy powinni szyć buty dla całego świata i robić pończochy, my za cały świat wojować i żyto siać, a Anglicy sprzedawać nasze zboże i niemieckie trzewiki.

Od dawna pana Krzysztofa nikt w takim nie widział humorze.

— Wydała się panu Wilczkówna szlachcianką z powierzchowności — dodał — to nic, ale dusza w niéj szlachecka i szlachetna, ale rozum w niéj, który z czego wyrósł, to już nie wiem; bo szlachta z rozumu tak dalece nigdy nie słynęła. Myślę,

że ojciec, który ją ma jednę i bardzo kocha, a jest rodzajem filozofa czytającego chętnie i myślącego wiele pocichu, rozwinął ten umysł tak szczęśliwie. Będąc tu chorym długo — mówił pustelnik — miałem zręczność poznać bliżéj to dziewczę i zdumiewałem się codzień jéj prostocie zarazem i dowcipowi. Ale dowcip biorę w znaczeniu, w jakiém go brał Kochanowski.

— Z oczów jéj ten rozum patrzy — odezwał się pan Adryan — chociaż kobiece oczy okrutnie zwodzą. Jestem przekonany, że one często same nie wiedzą co mówią, bo przez nie odzywa się coś więcéj, niż jedna dusza niewieścia, może cały duch niewieści.

Teodor był milczący dnia tego, rozmowę utrzymywali Krzysztof z młodym znajomym. Po śniadaniu Adryan wstał zebrawszy sprzęt, który pochwyciła zaraz nadbiegająca Dosia. Stół tym samym sposobem odniósł na miejsce. Prawda, że mu nieco żyły na czoło wystąpiły, ale za to miał zręczność zbliżyć się do owéj pięknéj Dosi, która mu się więcéj podobała od wyfiokowanych panien Zamorskich.

— Już się nie dziwuję — rzekła do niego, gdy na miejscu stół ustawiał — że pan takich sztuk dokazujesz, kiedyś największą nam pokazał, w dobry humor wprawiając naszego kochanego pana. Nikt wam za to nademnie nie może być wdzięczniejszym, bo go kocham bardzo.

Spuściła oczy.

— Za to, jeśli zabłądzę na polowaniu i zajdę kiedy do państwa — rzekł Adryan kłaniając się grzecznie — niech mnie pani nie wypędza i przyjmie dobrem sercem.

— A czemuż-by nie? — odparła Dosia — wszak my każdego, kogo Bóg da, gotowiśmy przyjąć gościnnie.

Spojrzeli sobie w oczy, a obojgu się oczy śmiały.

— Więc do zobaczenia! — powtórzył Adryan.

Dosia tylko główką mu się skłoniła, ale wejrzenie było wymowne i serdeczne. Nigdy się nie spodziewała, aby jéj kto na

świecie tak się mógł podobać, zdziwiła się sama sobie, wiodąc za nim oczyma długo.

Pożegnawszy gospodarza, obaj goście siedli do bryczki, która ich tu przywiozła i ruszyli nazad do Zieleniewszczyzny. Tu na nich z obiadem czekano, tak wykwintnym, że pomimo największego starania pani Zamorskiéj, był szkaradny. Proste potrawy daleko się jéj lepiéj udawały, ale Liza układała program i uczyniła go niewykonalnym.

Drugiego dnia dzierżawca obiecywał łowy daleko wspanialsze, miał się czas do nich przygotować. Szczęście dziwne sprzyjało młodemu paniczowi, wszystko mu się wiodło po myśli. Życzył sobie poznać sąsiedztwo, a właśnie tego dnia nad drogą stojąc na przesmyku z Teodorem, spotkał się z nieznanym sobie panem Pawłem.

Pawłowi, w którego domu mało kto jeszcze bywał, szło nieco o pozawiązywanie stosunków, żona mu się nudziła, dom stał pustkami, rad był ludzi przyciągnąć. Pół mili dzieliło myśliwych od Pobogowszczyzny.

— Jeżeli polowanie skończone — zawołał Paweł — zajedźcie do mnie na obiad.

— Nie jesteśmy ubrani na pierwsze odwiedziny — rzekł Adryan.

— A! dajcież temu pokój! — przerwał Paweł — na wsi jesteśmy, ja panów biorę gwałtem i przed moją żoną wytłómaczę, myśmy do zbytnich ceremonij nie nawykli. Teodor powinien był panu powiedziéć, że ja się z niczego dorabiałem majątku, byłem więc na wozie i pod wozem, żona moja kobieta prosta, nie nawykliśmy do białych rękawiczek.

Adryan się skłonił, Teodor przystał chętnie. Zamorski, który im towarzyszył, chciał się wymówić, ale go gwałtem pociągnięto. W ten sposób z południa dostali się do starego dworu w Pobogowszczyznie.

— Obiad będzie improwizowany — dodał Paweł — ale żona

moja jest ostrożna, mamy zawsze od przypadku coś tak zachowanego, aby podróżnego nakarmić, bo na wsi o każdéj dnia godzinie spodziewać się go można. Zaręczam za to, że nie będziecie głodni.

Paweł wziąwszy na swą bryczkę Zamorskiego, pośpieszył nieco przodem, Teodor z Adryanem jechali za niemi. W ganku czekała męża pani Pawłowa z córką i synem.

— Jéjmość — zawołał z bryczki gospodarz — wiozę gości, jedzie pan Teodor, pan Brzoski i pan Zamorski, po polowaniu głodni, trzeba się popisać i nie dać im czekać długo.

Jéjmość nie pokazując się znikła, została tylko zastępująca gospodynię dziewczynka i chłopiec, który miał wielką ochotę bryczce ojcowskiéj furmanić, choćby tylko do stajni i popisać się paląc z bata. Pozwolono mu téj uciechy.

Weszli do dworu. Był on przez ostatniego dziedzica nieszczęśliwie odświeżony, a nowi posiadacze niemieli ani czasu, ani ochoty, wrócić mu wdzięk stracony. Było tu więc bardzo wygodnie, ale wcale nie pięknie. Meble ni stare, ni nowe. Sprzęt prosty, ozdób prawie żadnych, czysta proza życia, które się niedawno dorobiło gniazda, jeszcze w nim puchu zasłać nie mając czasu. Nie zbywało na niczém, ale nic nie było dla oczów. Nawet folwark państwa Zamorskich przyozdobiony przez panny, daleko wyglądał zalotniéj. Znać było, że w gospodarzu i jego pani zmysł piękna wcale wyrobionym nie był.

Po upływie dobréj pół godziny pokazała się dopiéro gospodyni, w bardzo skromnym stroju, z twarzą swobodną i uprzejmą, ze spokojem ducha, który dał panu Teodorowi otuchę, że obiad będzie dobry. Z któréj-że twarzy gospodyni nie można poznać frasunku, gdy przyjęcie jest skompromitowaném?

— Wczoraj jedliśmy śniadanie u pana Krzysztofa — rzekł Teodor — a dziś nas losy do państwa przyniosły?

— No, a cóż się ze starym dziwakiem dzieje? — zapytał Paweł.

— Zdrowszy jest.

— Powiadasz, żeście panowie byli obaj u niego, ale jakże nieznajomego przyjąć raczył pana Brzoskiego?

— Nie mogę się skarżyć — zawołał Adryan — jak najlepiéj, gdybym niewiedział, że ma trochę dzikości, posądziłbym go o nią.

— To prawdziwy cud! — rzekł wzdychając Paweł.

— A cudu dokazał nie kto inny tylko pan Adryan — dołożył Teodor wskazując na młodzieńca, który się skłonił skromnie. Córka pani domu zajęta była układaniem łamigłówki na stole, Adryan nie mając zajęcia zbliżył się do niéj, i ofiarował jéj pomagać. Ta grzeczność dla dzi ecka ujęła matkę, a młody chłopak bawił się jakby sam jeszcze z wieku łamigłówek nie wyszedł. — Wkrótce téż widząc go tak powolnym, chłopak, który ze stajni powrócił, wziął go w kontrybucyę, aby mu różne swoje bicze, buty i przybory sportsmanowskie pokazać. Adryan poszedł z nim do drugiego pokoju.

— Nie nudźcież pana! — zawołała matka.

— Ale ja się jak najdoskonaléj bawię! — zawołał śmiejąc się Adryan — przypominam sobie z rozkoszą niedawno upłynione lata młode.

Szczęściem podanie obiadu ocaliło pana Adryana z rąk młodzieży, która go opanowała. Obiad wykwintnym nie był, ale doskonałym, sam pan Teodor oddał mu tę sprawiedliwość, win nie podano wiele, ale te, któremi częstowano, okazały się wybornemi.

— Staréj piwnicy nie mam — odezwał się Paweł, bo ja sam człowiek nowy. Nie miałem długo nic, oprócz dzierżawy i handlu, dopókim się powoli nie dorobił znowu do ojcowizny. Sprzyjał mi los, żem ją na nowo mógł odkupić i wyrwać z rąk obcych. Wprawdzie mam jeszcze długi, ale z tych wyjdę. Nie mogęż się tém pochlubić, przynajmniéj tak jak Krzysztof chlubi się

nieskażoném niczém szlachectwem swojém, które w pudełku trzymał zamknięte.

— Mnie się zdaje — wtrącił Adryan — że ani jemu nie można miéć za złe, iż się zakopał w lesie, ani panu, żeś pracował i walczył. Każdy z panów szedł za swém powołaniem, a ludzie są stworzeni różnie.

— Masz pan zupełną słuszność — rzekł Teodor — a wino pana Pawła doskonałe i nie mówmy już o tém. Gdybyśmy jeszcze kiedy dwóch braci do siebie zbliżyć i pojednać mogli— dodał — wszystkie moje życzenia byłyby spełnione.

— Mnie się zdaje — cicho odezwał się Adryan — że do tego przyjść musi.

— Ale ba! — rzekł Paweł — ja się już przestałem spodziewać, choć ja i żona niczego w życiu nie pragniemy więcéj.

Gość się obejrzał.

— Mam pozwolenie odwiedzenia pana Krzysztofa — rzekł nagle — przyszłym razem gdy tam jechać będę, niech państwo dadzą za towarzysza swojego syna.

Pani Pawłowa zarumieniła się.

— Ją z panem chętnie pojadę — zawołał chłopiec.

— Może się to na co przyda — dokończył Adryan.

Tą myślą, która zdawała się szczęśliwą, pozyskał sobie gość serca państwa Pawłowstwa. Teodor nie mógł sobie darować, że jemu to wprzódy do głowy nie przyszło.

Do wieczora zszedł czas bardzo przyjemnie, Paweł wprawdzie za wiele może mówił o swoim dorobku, który był celem jego życia, nadto się może chwalił zwycięztwem, lecz historya to była u nas rzadka i dla słuchaczów nowa, bo na dziesięciu, którzy tracą, nie wiem, czy jeden jest, coby się szczęśliwie czegoś dobił, nie straciwszy głowy, gdy mu się powiedzie. I on i żona, nieprzebrani byli w tych powieściach o przebytych biedach i szczęśliwych spekulacyach, o trudzie, jaki ich kosztowało

zbogacenie. Adryan umiał słuchać, czyniąc, uwagę, że się ze wszystkiego czegoś zawsze nauczyć można.

Wieczorem wrócono na wieczerzę do Zamorskich, a na następny dzień zapowiedział powrót swój do Zamostowa pan Adryan. Zdawało mu się, że choć zameldować się był powinien ciotce, nim dalsze polowania na zwierza i ludzi przedsięweźmie. Paweł dał mu upoważnienie do plądrowania po wszystkich błotach i lasach obszernych dóbr swoich. Teodor, którego niepokojło ciągłe wspominanie Zamorskiego, o Maciorkiewiczu i potrzebie uregulowania rachunków, pozostał w domu. Naprzeciwko powracającego pana Adryana wybiegła panna Kornelia.

— Przyjechałeś pan na wakacye do ciotki, spodziewam się dlatego, żebyś ją nie siebie bawił, a latasz niewiem gdzie? pięknie to?

— Zbierałem właśnie materyał dla bawienia cioci i pani — śmiejąc się rzekł Adryan — polowałem nie tylko na zwierzynę, ale i na plotki. Com widział! gdziem bywał, o pani!

— Mów.

— Powoli, chodźmy do cioci.

Ciotka przyjęła siostrzeńca bardzo serdecznie, ale ze swą nieporuszoną powagą i spokojem.

— Jakże ci się udało polowanie? — spytała.

— Doskonale.

— A panny się podobały?

— Wie ciocia która? proszę zgadnąć.

— Starsza — zawołała Kornelia — bo taki trzpiot, jak pan.

— Otóż nie.

— Więc młodsza?

— I to nie. Trzecia mi się podobała najlepiéj — rzekł Adryan.

— Jaka? która?

— Panna Wilczkówna, Dosia, polny kwiatek cudowny.

— A! a! — zawołała hrabina rumieniąc się.

— A panny Zamorskie?

— Ekstra miłe, alem się rozmyślił, młodsza wychodzi za pana Maciorkiewicza, a starsza zastawia sidła na pana Teodora, niechcę nikomu przeszkadzać.

— Tegom się domyślała — rzekła panna Kornelia — dziewczyna filut wielki!

— I poszedłbym o zakład, że pan Teodor w końcu się z nią ożeni.

Hrabina uśmiechnęła się smutnie.

— Prawdziwiebym rada była — rzekła — żeby to przyszło do skutku, pannie byłoby z tém bardzo dobrze, jemu także.

— A hrabina byłaby wolną od nieznośnych starań pana Teodora, który odprawiany powraca uparcie, wzdycha, patrzy i po każdym obiedzie ośmiela się do pół oświadczenia — mówiła szydersko panna Kornelia.

Hrabina pogroziła jéj na nosie, Adryan się rozśmiał.

— Jeżeli to koniecznie dla spokoju cioci potrzebne, ożeniemy pana Teodora.

— Któż? pan? — śmiejąc się poczęła kuzynka — o! doskonały swat!

— Przekonasz się pani, że lepszego nie ma nade mnie — wesoło mówił Adryan.

— Więc i mnie pan wreszcie kogo wyswataj — dodała dygając panna Kornelia.

— Dajcie mi się państwo rozpatrzéć tylko, a wszystkich pożenię —zakończył Adryan. Obrócono to w śmiech.

Nigdy przybycie tak na pozór maleńkiéj i nieznaczącéj figurki, jaką był pan Adryan Brzoski, nie wywołało na większéj przestrzeni sąsiedztwa, silniejszego wrażenia. Mówiono o nim u państwa Pawłowstwa, w dworku Wilczków, w Zieleniewszczyznie, a z tych ognisk sława jego rozchodziła się i promieniała po wszystkich dworach i dworkach.

Przez kilka dni jednak odpoczywał w Zamostowie i nie-

pokazywał się nigdzie, chociaż pan Teodor listami go wzywał ciągle. Naostatek Teodor zniecierpliwiony przyjechał sam jednego dnia wieczorem.

— Przybywam — rzekł — z ważną nowiną, któréj hrabina sobie życzyła; Krzysztof przeniósł się już na zamczysko, jeśli więc pani trwa w myśli odwiedzenia go, będę miał przyjemność służyć jéj za przewodnika.

— A ja się zamawiam za pazia — wtrącił szybko Adryan. — Bezemnie byście sobie państwo rady nie dali.

Hrabina trochę była zakłopotaną, zdawała się wahać.

— Ciociu dobrodziéjko — rzekł Adryan — jest-to tak piękny projekt, że nie godzi się mu dać upaść. Ciocia i ja musimy uratować od zguby człowieka, możemy go wyciągnąć na świat i uczynić miłym, a pożytecznym.

— Ale jak nas przyjmie!

— Doskonale! — zawołał Adryan. — Najprzód, kobiety źle przyjąć nie może, jest nadto mocny szlachcic i rycerz, ażeby chybił płci piękněj. Powtóre, od czegóż ja i łaska jaką potrafiłem zyskać u niego, świadkiem pan Teodor. Ja pojadę przodem i biorę na siebie, że przyjęcie będzie świetne!

— Świetne — przerwał Teodor — to wątpię, oprócz chleba razowego, jaj i masła, na zamku nie ma nic. Kawy tam nawet nie znają, Krzysztof żył z zasady, jak anachoreta, gardząc zbytkiem, który człowieka rozmiękcza i psuje.

— Byle nam wody dano, jeśli będzie gorąco — rzekła hrabina.

— Jabym zawiózł wszystko, co potrzeba i byłbym bardzo szczęśliwy, żeby mi się udało go z kłopotu wybawić, ale się obrazi, mnie wyłaje... i...

— I wszystko się popsuje! — zawołał Adryan. — Pojedziemy na chwilę, napawać się wonią lasów, nasycać powietrzem, wrócimy z lepszym apetytem do panny Kornelii.

— Mnie więc zostawicie państwo na gospodarstwie, uznając niegodną towarzyszenia im?

— W istocie, im mniéj nas będzie, tém lepiéj —dodał Teodor.

Tak tedy owa wyprawa, w którą pan Teodor nie bardzo wierzyć się zdawał, osnutą została. Dziwiło go nieco, że hrabina podjąć ją chciała i z tém się przed nią nie taił.

— Mam na sumieniu, żem go niedosyć uprzejmie przyjęła — na stronie poczęła się tłómaczyć spytana hrabina Wanda. — Wyobraziłam sobie fałszywie, że miéć może jakieś myśli... nadzieje, które od razu chciałam rozproszyć. Byłam za surową, chcę to naprawić.

Teodor, który zawsze łudził się tém, iż piękną wdowę powoli sobie zjednać potrafi, nie znalazł w tém postępowaniu nic dla siebie zagrażającego, skłonił się i zamilkł.

Rejent zapewniał, że barometr stał nieporuszony na pogodzie, wycieczka więc na dzień następny umówioną została. Adryan miał jechać pół godziną wprzód konno i oznajmić gości. Hrabina niechcąc pozostać sama z panem Teodorem w ciągu podróży, boby ją był czułościami swemi nudził zbyt długo, namówiła go, ażeby jechał z Adryanem, któremu nie wypadało stawić się samemu. Ludzie znali drogę do zamku i właściwie przewodnika niepotrzebowała. Po rannym obiedzie w Zamostowie, wyruszyć miano.

Program został spełniony jak najściśléj. Piękna droga wiodła do lasów piękniejszych jeszcze. Pan Teodor, który niegdyś był bardzo dobrym jeźdźcem, chociaż teraz znajdował, że już koni takich, jak dawniéj na świecie nie było, bo go jazda dziwnie męczyła, dobrał sobie jednak wierzchowca, za którego przyzwoite znajdowanie się ręczył Zamorski i wyruszył po kawalersku z Adryanem. Nie obrachował się tylko z fantazyami młodzieńczemi, i pierwszą część drogi namęczył się okrutnie. Adryan z koniem swoim był w ciągłém nieporozumieniu, jakkolwiek spokojny wierzchowiec starego kawalera zapatrywał się na towarzysza i próbował też trochę się dąsać, pan Teodor wcale sobie zlecieć nie życzył, szczególniéj dla reputacyi; musiał więc w końcu

prosić Adryana, ażeby uśmierzał swe zapędy, i złego przykładu nie dawał. Puścili się tęgim kłusem, bo trzéba było hrabinę wyprzedzić. Siodło było twarde, a koń miał nogi doskonałe i trząsł téż przedziwnie. — W ostatku ukazał się las, droga niedobra niedozwalała dokazywać, pojechali wolniéj i po pewnym przeciągu czasu, wśród wzgórzów ukazała się ruina, a u podnóża jéj stojący krzyż, gdzie wierzchowce z masztalerzem zostały. Poszli pieszo. Cisza głucha panowała do koła. Na odgłos ich kroków stary Hermes parę razy szczeknął obudzając czujność stróżów.

Weszli w starą bramę, w dziedzińcu nie było żywego ducha, oprócz Hermesa, który szczekał nie trudząc się zbytnio i z wygodnego miejsca się nie podnosząc. Ukazanie się ich w dziedzińcu nie wywołało, jak zwykle, starego sługi, dopiéro gdy się zbliżyli do ganku, rozespany bez surduta ukazał się gładząc po łysinie.

— Jak się masz? — zawołał Teodor — a pan?

Stary ręką w powietrzu zakręcił.

— Gdzie pan?

— Jakto, gdzie! juściż w domu?

— Ani śladu.

— Ale nie był jeszcze całkiem zdrów?

Stary ramionami ruszył.

— Poszedł w las — rzekł sucho.

Przybyli spojrzeli po sobie, wyglądało to na kłamstwo. Adryan był trochę zafrasowany.

— Ale bądź co bądź, czy pan jest, czy nie ma, my spocząć nieco musiemy.

Sługa wskazał drzwi z ukłonem.

— Nie wiem tylko czémbym panom mógł służyć, oprócz bardzo dobréj wody, bo źródło mamy doskonałe, ale zresztą...

Uśmiechnął się.

— Lecz czyż może być, aby Krzyś wyszedł z raną ledwie dogojoną.

— Ha! z panem moim, to pan wié, żartu nie ma, jak sobie powié... idzie... to choć na skręcenie karku.

— Co tu robić? — szepnął Teodor.

— Jedźmy po ciocię — odparł Adryan — to jest ja pójdę, a pan zostań tu, abyś szanownego Cerbera do wprowadzenia nas na zamek przygotował.

To mówiąc, gdy w dali dał się słyszéć turkot powozu, Adryan w skok ruszył nazad ku krzyżowi.

W istocie, hrabina wysiadła przy nim, i rozglądała się po pustyni. Spokój jaki tu panował, żywa zieloność otaczających lasów i wzgórza, powietrze przejęte wonią drzew, wreszcie widok ławki u krzyża może myśl o przetęsknionych tu latach tego, którego kochała niegdyś, powlokły smutkiem jéj czoło. Powoli bardzo zabierała się iść ścieżką ku górze i wahała widocznie. Krok, który czyniła, zdawał się jéj teraz co najmniéj niepotrzebnym, rada się była zawrócić. Wtém Adryan rozpędzony nadbiegł.

— Nie mamy szczęścia — zawołał — któżby się tego mógł spodziewać! Gospodarza nie zastaliśmy, powlókł się już do lasów.

Wanda odetchnęła, i rozjaśniło się jéj lice.

— A! tém lepiéj — rzekła — zostawiemy mu nasze karty wizytowe.

— Ale zamek przynajmniéj zobaczyć potrzeba — dodał rękę podając Adryan — to ciekawe.

Jeszcze się trochę wahając, piękna pani poczęła iść ku górze. Stanęli najprzód przypatrzéć się bramie i murom z polnych kamieni.

— Jakże to smutne! jakie to biedne. Stare, zrujnowane! Jak ten człowiek mógł tu wyżyć lat tyle — odezwała się po cichu.

W bramie obwiał ich chłód i otoczyły mroki. Hrabina zamilkła, na dziedzińcu zatrzymali się chwilę, bliżéj przypatrując rozwalonym w części murom. Teodor czekał ze sługą już w kapotę ubranym w ganku. Rozglądając się wszędzie ciekawie, hrabina dała się prowadzić na górę, do wielkiéj izby sklepionéj, gdzie miała odpocząć chwilę. Wszędzie uderzało ją to ubóstwo dobrowolne, świadczące o życiu surowém. U wnijścia ze wschodów po ścianach poczepiane były okruchy i resztki zardzewiałych zbroi, które czerwonawy kolor poprzybierały. Nic tu nie było całego, nic kształtnego, zbrojownia jakby z grobu i ziemi dobyta, podziurawiona przez wieki co ją jadły, ścieniała, pogięta, zniszczona. W wielkiéj izbie sprzęt połamany, choć stary, a nie piękny, połatany od siekiery okazywał zaniedbanie zupełne i wyrzeczenie się wygody równie, jak powierzchowności. Na jednéj ze ścian stare drzewo genealogiczne wisiało, a pod niém ręką Krzysztofa stał w chwili pognębienia rzucony napis:

Fuimus!

Na stoliku rozłożony był Niesiecki i Biblia. Na drugim leżała kronika Bielskiego.

Hrabina siadła przypatrując się ciekawie; zdawało się jéj, że człowiek, co tu żył, musiał zbutwiéć, jak to, co go otaczało. Serce ściskało się coraz mocniéj, i gdyby się nie wstrzymywała, możeby z pod powiek łza się jaka dobyła.

Teodor i Adryan stali widząc ją wzruszoną, ale młody chłopak nie mógł długo wytrzymać w takim grobowym nastroju ducha.

— Powietrze tu — rzekł — przesiąkło smutkiem; jak ten człowiek mógł tu tak długo wytrzymać i dlaczego się skazał na tę pokutę?

Hrabina nie odpowiedziała nic, oglądając się, przypatrując szczegółom, z którychby mogła życie tu spędzone odgadnąć.

Rozumiała, jak ono musiało zwolna kołysać do snu mogiły, usypiać, ostudzać, odrętwiać i kamienieć człowieka. Był to klasztor, ale bez towarzyszów, chóru, bez śpiewu i bez wspólnéj modlitwy. Dreszcz ją przechodził, myśląc o długich wieczorach zimowych i tém milczeniu pustyni, co grozić się zdaje lada chwila piorunem i gromem. Chwilę tu posiedziawszy, wstała Wanda i podeszła ku stolikowi, na którym czegoś się zdawała szukać oczyma. Kawałek szarego papieru leżał pod książkami, lecz nie do pisania, Adryan domyśliwszy się czego potrzebowano podał ołówek, i hrabina na świstku napisała po krótkim namyśle:

„Dawna znajoma pustelnika, która przybyła go odwiedzić pamięci się jego przypomina“. W.

Adryan nie śmiejąc nic dodać na tym samym papierze, wydarł kartkę z pugilaresu i zapisał imię swoje, a pod niem:

Beata solitudo — sola beati tudo.

Pan Teodor z kolei wziął ołówek i dodał:

„Krzysiu, płacz, miałeś takich gości, jakich zamek twój nigdy nie widział.

Teodor“...

Wszystkie karty złożono na otwartym Niesieckim, trzeba było wychodzić; oglądając się hrabina pierwsza opuściła smutne to więzienie. Było li to zapomnieniem umyślném, czy mimowolném? obok Niesieckiego zostawiła maleńką rękawiczkę. Adryan z pewnością to dostrzegł, ale nie powiedział nic i zakrył ją sobą od Teodora, który byłby się nieochybnie przysłużył zwróceniem jéj właścicielce. Równie powoli jak weszli, schodzić zaczęli ze wschodów, w zamku nie było nic więcéj do widzenia. Teodor poprowadził tylko jeszcze między baszt zwaliska, zkąd widok się rozciągał nieco szerzéj na wzgórza lasami okryte, ale

wszystko to było tak smutne, tak smutne! Hrabina kilka razy powtórzyła ten wyraz, który się jéj wyrwał mimowoli. Widok zamczyska pustego podziałał na nią może więcéj, niż gdyby w niem właściciela znalazła. Adryanowi nawet nic nie przychodziło na myśl, czémby ją mógł rozerwać i rozweselić.

Teodor trochę się próbował wyśmiać z brata, ale mu nikt nie odpowiadał i nie wtórował.

— Wnosząc z kary, jaką sobie ten człowiek za grzechy żywota naznaczył — rzekł Adryan — możnaby sądzić, że zgrzeszył wiele. Mnie go szczerze żal, czuję sympatyą dla niego i gdyby było w mojéj mocy, choć ostatki życia starałbym się mu uprzyjemnić. Ten człowiek wycierpiał wiele.

Hrabina ze spuszczoną stała głową nie odpowiadając nic.

— Dziwak! — rzekł Teodor — hypokondryk, któż mu winien?

Postawszy nieco między kupami kamieni, które chmiele oplatały, poszli nazad ku bramie ciemnéj. Hermes podniósł głowę, aby się odchodzącym przypatrzéć i spać się położył znowu. Za bramą było weseléj i odetchnęli swobodniéj, nie cisnęły już ich te szare mury, które zdawały się gotowe co chwila obalić się na głowę.

I krzyż z cierniową koroną u dołu coś mówił. Przy nim ławka stała, posadzone kwitły róże, czepiały się dzikie powoje. Niepodobna było nie pomyśléć ile tu chwil przedumał ten, co to godło cierpienia wystawił. Hrabina ciągle milcząca siadła do powozu, a panowie znaleźli tuż konie, na których jéj z powrotém towarzyszyć mieli. Dla Adryana niczém to było. Teodor radby się był od kalwakaty uwolnił, bo kłusowanie przy powozie niezbyt było wygodném, ale wstydził się biedny, wesołością nadrobił i wdrapał się na siodło. Od pierwszéj przejażdżki czuł się, odwykłszy od konia, złamanym, cóż to dopiéro miało być wieczorem? Trzeba się było wszakże młodszym pokazać, niż stary kawaler był w istocie, kłusował.

Na pół drogi dopiéro, gdzie mógół zawrócić do Zieleniewszczyzny, pożegnał hrabinę i zwolniwszy koniowi biegu, stępo, noga za nogą ruszył w kwaśnym humorze do domu. Adryan téż namyślił się, oddał wierzchowca wkrótce, a że wieczór był piękny namówił ciotkę, żeby resztę drogi zrobić pieszo.

Gdyby się godziło posądzać tak młodego chłopaka, mógłby kto pomyśléć, że umyślnie sam na sam wybrał się z ciotką, aby rozpocząć rozmowę, któréj w Zamostowie, gdzie czujnego ucha panny Kornelii nigdy pewnym być nie mógł, trudno mu było zagaić.

— Widzę — rzekł — że i na cioci smutne wywarł wrażenie ten biedny pogruchotany zamek pana Krzysztofa. Ja, który jestem aż do zbytku wesół, wywiozłem z niego nieopisaną tęsknicę. Żal mi człowieka, który przyznać muszę, najsympatyczniejszym jest dla mnie.

Ciotka spojrzała żywo i odwróciła wzrok jeszcze prędzéj.

— Tyle siły i energii zmarnowanéj i takie życie zwichnięte, złamane — dodał Adryan.

— Któż mu winien — szepnęła hrabina.

— Zapewne, zawsze wyrzeczenie się czynnego życia jest grzechem, winą, uznaniem swéj niezdatności do niego, ale gdyby ludzie trochę mu gwałt zadali, gdyby się oni troszczyli, gdyby mu rękę wyciągnęli, podźwignąćby go było można i mnie się zdaje, że dziś jeszcze...

Hrabina milczała ciągle, Adryan się rozgorączkowywał.

— Myślę — rzekł — pogodzić go z bratem, to będzie pierwszym krokiem do przejednania go ze światem.

— A! ty mój drogi zarozumiały młodziku!— przerwała hrabina — jakże ty śmiesz się porywać na to, czego nikt nie mógł dokazać?

— To właśnie młodzików zadanie — rzekł Adryan — jesteśmy trochę ślepi, niewidziemy niebezpieczeństwa i często go przez to samo unikamy. Dlaczegożbym nie miał spróbować?

Plan już osnuty: biorę z sobą synka pana Pawła, który goreje do konia. Chłopiec zrobi pod mojem okiem przejażdżkę małą, a stryj musi go dobrze przyjąć i pokochać. Dziecko będzie najlepszym pośrednikiem do rodziców.

— Myśl wcale oryginalna — zawołała hrabina — ale, ale, ale...

— Spróbuję — rzekł Adryan — powtarzam cioci, szkoda człowieka, przyznaję się, że gdybym mógł pomyśléć, że choć w najmniejszéj części przyczyniłem się do złamania mu życia, chwili bym nie miał spokojnéj.

Ostatnie słowa wymówione niby nieumyślnie, aż drgnienie nerwowe wywołały w hrabinie, która się wstrzymała trochę, jakby chciała coś powiedziéć, i szła daléj z głową spuszczoną. Adryan zwykle wesoły, powracał z zamku jakby podrażniony. Schylał się po trawy stojące nad drogą, rwał je, plótł w rękach, rzucał, zaczepiał gałęzie wierzb zwieszone nad głowami, potykał się na kamieniach, Wanda widocznie chciała odwrócić rozmowę od przedmiotu niemiłego i zagadnęła coś o Teodorze.

— Z tym toście się poprzyjaźnili — rzekła — i tak to jakoś łatwo wam przyszło, musicie miéć charaktery zgodne.

Adryan podskoczył dla urwania kilku liści, które zgniótł w dłoni i rozśmiał się.

— O ciociu nielitościwa! — zawołał — pan Teodor jest najlepszym z ludzi, ale jakże źle życzysz siostrzeńcowi, jeśli w nim widzisz do niego podobieństwo. Jest-to człowiek złamany, ale poklejony, biedny nad wyraz, na wylot przezroczysty, jak zégarek ze szklanną kopertą, i do tego chodzący nieregularnie, jeśli go już mam porównywać do chronometru. Ale, ale, ciocia się nie obrazi? mnie się zdaje, że on nie darmo bywa w Zamostowie.

— A mnie się zdaje, że darmo — odpowiedziała hrabina rozweselając się nieco. — Ale kto ci dał prawo, siostrzeńcze niedyskretny, tak się mięszać do wszystkiego?

— Z wielkiéj miłości mojéj dla cioci, zdaję się miéć prawo nieograniczone, nawet być niedyskretnym! Więc pociesza mnie ciocia, że w osobie pana Teodora wujaszka miéć nie będę?

Hrabina krzyknęła aż...

— Mój Adryanie, czy się co takiego pleść godzi?

— Proszę łajać! proszę, bylebym był spokojnym. Pana Teodora szanuję, miłuję, kocham, ale bałbym się go mocno!

— Dlaczego?

— Dlatego, że on cioci nie wart, chociaż zresztą jest-to zacny człowiek, ale tak zwichnięty i stokroć niepowrotniéj od pana Krzysztofa.

Wspomnienie tego imienia znowu chłodem obwiało hrabinę, która dała poznać seryo, iż nie rada była, aby Adryan mówił o nim. Chłopak z niezmiernym taktem zamilkł zaraz. Zbliżali się téż ku pałacowi, a w dziedzińcu chodziła wśród kwiatów, do do których wcale nie była już podobną, panna Kornelia. Ciekawość wiodła ją na powitanie, patrzała w oczy usiłując odgadnąć wrażenia.

— A! zmiłujcież się państwo, cóż się stało? jak tam było? mówcie, goreję ciekawością.

— Niech pani zgadnie — rzekł Adryan.

— Nieprzyjął.

Milczenie... — Nie! a więc, ale ja nie umiem rozwiązywać zagadek — poczęła coraz żywiéj stara panna — zlitujcież się nademną.

— Nie było go w domu.

— I pani nie widziała nic?

— Owszem, byliśmy na zamku, który się wali, odpoczywaliśmy w lesie, który go otacza i powracamy, pana Teodora zgubiwszy po drodze.

— Ta zguba to się prędko znajdzie — złośliwie szepnęła panna Kornelia.

Hrabina nie miała ochoty do rozmowy i dała to poznać, po-

szli więc wszyscy do pałacu. Adryan zaś ulitowawszy się nad starą panną, rozpoczął drobnostkowy, humorystyczny opis podróży, przygody wierzchowych koni i jeźdźców, topografię miejsc wizerunki osób... przeplatając je filozoficznemi uwagami, i tak przywrócił towarzystwu postradaną wesołość.

W parę dni potém, chociaż dzień był gorący i na burzę się zbierało, Adryan na konia wsadziwszy Wacka, jechał z nim na niedaleki od Pobogowszczyzny zamek. Chłopcu ojciec i matka dawali przestrogi po cichu, jak się miał znajdować, lecz w téj chwili podobno więcéj myślał o koniu, którego miał dosiąść, niż o stryju, którego miał poznać. Adryan jechał spokojny. Zbierało się na burzę, gdy wjechali w las i ledwie kłusując, w chwili, gdy już i deszcz padać zaczynał i grzmoty się rozlegały po górach, dobiegli do zamczyska.

— Wyśmienicie — rzekł w duchu młody przewodnik — mamy powód schronienia się do zamku, a juściż najniegościnniejszy z ludzi by nas nie wypędził na słotę.

Deszcz już wielkiemi kroplami rosił, gdy stanęli przed zamkiem. Z górnego okna widać było ciekawie wyglądającego pana Krzysztofa, który snać poznać nie mogąc, kogo tu burza przyniosła, wychylił głowę, popatrzał długo i okno zamknął z trzaskiem. Po wschodach słychać było zbiegającego co tchu starczyło czujnego stróża, któremu szczekając młody Hermes towarzyszył.

— Mój panie — rzekł Adryan wchodząc do sieni — burza nadchodzi, nie mamy się gdzie schronić, na miłość Bożą, dajcie nam przytułek. Pan mnie zna, powiedz, że ten przyjechał, co u Wilczków stół do śniadania przynosił.

— E! już wiem — odparł stary, ale obejrzał się na chłopaka, który stał zarumieniony i zmięszany nieco.

— A to, to mój dwunastoletni przyjaciel, pan Wacław — dodał Adryan.

— Zacząłem trzynasty — wtrącił żywo, obrażony Wacek.

— Powiedz trzynastoletni — poprawił się Adryan.

Stali w sieniach, na dworze poczynało lać i pioruny biły w drzewa po górach, a nad schodami słychać było żywą rozmowę pana ze sługą. Zszedł wreszcie stary.

— Pan prosi.

— Chodźmy — rzekł Adryan i szepnął na ucho Wackowi — nie mów swojego nazwiska.

Dzieciak głową dał znak, że rozumie. We drzwiach salki stał pan Krzysztof opierając się na kiju, postrzegłszy Adryana powitał go dosyć wesoło, ale idący za nim chłopak zaniepokoił go widocznie.

— A to kto? — zapytał.

— To, tak sobie, przyjaciel mój, dobre chłopię.

Ta rekomendacya niepodobała się jakoś panu Krzysztofowi, namarszczył brwi, ale do pokoju ich wpuścił; burza się srożyła nad lasem. Gdy chłopak kłaniając się stanął tak przed panem Krzysztofem, że mu się mógł lepiéj przypatrzéć, zdziwienie i niepokój odmalowały się na jego twarzy. Wacek był do ojca bardzo podobny.

— Kto taki? — zapytał Krzysztof wskazując na niego.

— Krewny mój.

Oczy Krzysztofa skierowały się znowu na stojącego Wacka, który nawzajem ciekawie mu się przypatrywał.

— Ten kawaler — rzekł Adryan — pierwszy raz pewnie w życiu widzi taki stary zamek, nie dziw że mu to wszystko ciekawe.

— Nie ma nic ciekawego, ruina, kupa gruzu i po wszystkiém — rzekł prędko pan Krzysztof — mieszkanie puszczyków takich, jak ja.

— Przed kilku dniami miałeś tu pan z nas gości — dodał Adryan.

Krzysztof się zarumienił nieco.

— Proszę panów siadać — rzekł odwracając rozmowę.

— Moja ciotka, któréj ja miałem szczęście towarzyszyć, ubolewała nad tém, żeśmy go tu nie zastali.

— Bardzo żałuję — krótko bąknął Krzysztof.

— Teraz pan jesteś zmuszonym wywdzięczyć się nam wizytą.

W czasie téj rozmowy Wacek pilno się pokojowi i sprzętom przypatrywał, a pan Krzysztof równie ciekawie chłopcu. Można było posądzić, że w nim odgadywał dziecię brata.

— Zkąd jest pański krewny? — zapytał.

— Tu w sąsiedztwie mieszkają rodzice.

Już się usta Wackowi otwierały, by powiedzieć, w Pobogowszczyznie, gdy Adryan w czas spojrzał nań i wstrzymał zdradzenie tajemnicy.

— Pan pewnie, jak ja, lubi taką ochoczą młodzież, jak ten oto pan Wacław. Powiadam panu, do konia jakby się urodził, siedzi jak wkuty, i aż mu się dusza oczyma śmieje, jadąc, a zarywa konika! ho! ho!

— Bo mi dali takiego powolnego szłapaka — ozwał się Wacek markotno. — Czego nie ubijesz, tego nie ujedziesz.

— A no, tak, bo gdyby ci żwawszego dano, albo ty jego, albo by on ciebie zamęczył — rzekł Adryan.

Głos chłopca zdawał się także czynić wrażenie na Krzysztofie, jak twarz jego, drgnął usłyszawszy pierwsze słowa.

— Ale cóż to jest! — krzyknął nagle — to chyba syn mojego brata.

Zarumieniony Wacek zerwał się z krzesła, przejęty i przypadł do siedzącego stryja. Dobre chłopię uklękło przed nim, złożył ręce i począł szybko:

— Niechże się stryjcio na tatka i na matkę nie gniewa! kiedy ja proszę.

Milczenie zapanowało na chwilę, Krzysztof rzucił się zrazu w tył krzesła, łzy mu się zakręciły w oczach, potém pochwycił chłopca oburącz, odwrócił ku światłu, począł mu się przypatrywać długo i zawołał z uniesieniem:

— Jak Bóg Bogiem, Pobogów krew!

Począł go w szerokie ramiona ująwszy ściskać i całować, i płakał. Chłopak się tulił doń szczęśliwy i szeptał: — Niech się stryjcio nie gniewa!

Nagle pan Krzysztof puścił go z objęć i wstał, począł trzéć czoło, zwrócił się znowu do chłopca, ujął go jeszcze, przycisnął do piersi i nic nie mówiąc tak samo poszedł do Adryana, ucałować go w milczeniu. Twarz pochmurna wyjaśniała mu się, to zaciemniała znowu, widocznie walczył z sobą, oddychał ciężko i jakby zrzuciwszy z piersi brzemię, począł swobodniéj mówić.

— Masz siostrę?

— A tak, proszę stryjaszka, Magdzię, młodszą odemnie, bardzo dobra dziewczyna, podobna trochę do mamy, robi już pończochę, a ja pójdę do klassy trzeciéj po wakacyach... pan Wikarski, mój nauczyciel, powiada, że ja się nieźle uczę, ale na koniu to lepiéj jeżdżę, niż na łacinie, proszę stryja. Gdyby mi i niekiego konia dali, nie zlęknę się, a jak z pistoletu strzelam!

— Krew Pobogów! — przerwał Krzysztof uśmiechając się — to nie tak jak ojciec.

Ale domówiwszy ledwie, za język się ukąsił i chłopca pocałował.

— Słuchaj — rzekł — jak będziesz miał z kim, przyjeżdżaj tu czasem do mnie, ja cię strzelać nauczę.

— A! dobrze, doskonale — całując w ręce stryja zawołał Wacek — ale téż stryjcio kiedyś do nas przyjedzie?

Spojrzał mu oczy, Krzysztof milczał. Pan Adryan, któremu się tak na podziw szczęśliwie udało, odszedł umyślnie do okna.

— Jaki by tatko, jakby mama była szczęśliwa...

— Dość, dość! — rzekł Krzysztof. — Tu w lesie strzelać ci będzie lepiéj, przyjeżdżaj do mnie.

— Ale z kim? — rzekł Wacek, to sęk. Ojciec z lada masztalerzem nie puści, a pan Wikarski tak jeździ na koniu, jak to

mówią, po łacinie. Byle co, za grzywę się chwyta i woła: Jezus Marya...

Krzysztof się roześmiał.

— Czém was tu przyjąć? — zawołał wesoło i wstał — boć to goście.

Podszedł ku drzwiom za kij chwyciwszy.

— Niech stryjcio się nie fatyguje, ja kogo zawołam.

I chłopak poleciał przodem.

— Siarczyste chłopię! — rzekł do Adryana gospodarz — a żeś to wasze mnie tak wziął zdradą i przywiózł go tutaj. — I uścisnął Adryana.

Wacek powracał wiodąc za sobą starego. Pierwszą rzeczą, gdy go ujrzał na progu Krzysztofa, było zapytanie:

— Wiesz kto to? — i wskazał na Wacka.

— Zarazem się domyślił — mruknął stary sługa.

— Czémże tu ich przyjmiesz?

— A no, szczęście, że od Wilczków przynieśli poziomki i śmietanę.

— Brawo! — zawołał Adryan — podwieczorek gotowy.

— A suto! — dodał gospodarz.

Sługi już nie było.

Na podwórzu jakby niebo chciało być w zgodzie z mieszkańcami zamku, szybko przechodząca burza ustawała. Z za podartych chmur dobywało się słońce, tęcza nad lasami promieniała, grzmot tylko rozlegał się w oddali, pan Krzysztof okno otworzył.

— Patrz! chłopcze — zawołał — jak to tu w lasach pięknie, jak cicho, jaka woń z nich płynie, jakie niebo lazurowe nad głowami.

— A juści, że pięknie — odparł Wacek — ale pusto, proszę stryja, jabym się tu strasznie nudził bez ludzi.

— Boś młody — rzekł Krzysztof—a gdy ci oni dokuczą...

— Ja im nie dam sobie dokuczać — ozwał się wesoło Wacek — o nie! prędzéj sam im dokuczę.

Adryan się roześmiał, śmiech starego wtórował mu.

— Daj ci Boże nie dać się ludziom — rzekł wzdychając.

Tymczasem podano poziomki i śmietanę na tych samych pootłukanych talerzach i miskach, któreśmy już tu raz widzieli. Pan Krzysztof sam zapalił fajkę, a gości poprosił do stołu. Siadł przy Wacku i zamyślony patrzał na niego. Ciekawym się zdawał każdego słowa i gdy którego niedosłyszał, kazał je powtarzać sobie. Nowa dlań była ta przyjemność, a zmieniona i rozweselona twarz mówiła, jak nią był przejęty.

— Wielki urok ma młodość — rzekł w końcu — niepojęty. Ktożby to powiedział? — I umilkł znowu.

— No, teraz my w drogę, póki nowa się jaka chmura zkąd nie wyrwie — odezwał się Adryan wstając.

— Ja was przeprowadzę do krzyża, droga oslizła, lepiéj, żebyście zeszli piechotą, a konie sprowadzić. I, słuchaj Wacek, konia w cuglach trzymaj, aby ci się nie pośliznął na błocie.

— A już ja, proszę stryja — zawołał Wacek — nie dam mu pod sobą utknąć, można być spokojnym. Tylko mi się raz trafiło, że kasztanowaty kuc ze mną padł i jam się przez łeb wywalił, ale dałżem ja jemu potém za moje guzy, bom zaraz na niego siadł. — I śmiał się strzelając oczyma Wacek.

Zeszli tedy w dolinę ku krzyżowi rozmawiając, burza już się była oddaliła, błędnych kilka chmurek przeciągało po lazurowém niebie, powietrze było ochłodło, obmyte lasy zieleniały świeżo i lśniąco, pan Krzysztof szedł jakoś raźniejszy przeprowadzając swoich gości, niewiele mówiąc, ale chłopca klepiąc po ramieniu i uśmiechając mu się pocichu. Gdy przyszło na koń siadać, opatrzył i kuca, na którym Wacek miał jechać, pochwalił nogi, spróbował sam, czy przyciągnięte były dobrze popręgi, a gdy chłopak siadł i raźno kopnął się z miejsca, rozjaśniła mu się twarz i sypnął brawo.

Po chwili wesela jednak, jak wszyscy, co odwykli od niego, pan Krzysztof usiadł na ławce, niezważając, że wilgotną była po deszczu i zadumał się smutnie.

— Dziwne rzeczy stały się ze mną — rzekł w duchu — wieko trumny, w któréj byłem zamknięty odchyliło się, mam-li uwierzyć znów w życie? Śnią się znowu jakby młode marzenia, powraca Wanda, rodzina, świat. Uciekać mam, czy zostać? poddać się, czy walczyć?

Zmięszane obrazy dni ostatnich cisnęły się tłumnie; zrozpaczony powrót z Zamostowa i ten szał, w którego przystępie o mało nie zerwał węzła łączącego z życiem, przywiązanie Dosi, dowody przyjaźni Teodora, odwiedziny hrabiny, naostatek to dziecię. Zagadką dlań były uczucia Wandy, odepchnęła go, gdy przybył, teraz się zdawała jeśli nie żałować kroku swego, to litować nad nim. Kartkę, na któréj zapisała swą bytność, czytał i odczytywał pan Krzysztof, serce mu biło. Czasami chciałby był biedz ku niéj i paść jéj do nóg i o litość prosić, to znowu duma nie pozwalała. Mamże ją uczynić nieszczęśliwą i mogęż złamany przynieść jéj to szczęście, do którego ma prawo? Najdziwaczniejsze pomysły krzyżowały się w jego głowie, ale po owych błyszczących marzeniach, skończyło się wszystko na zwątpieniu jakiemś i zwrocie ku dawnemu. Wrażenia teraźniejszości pełzły wobec wyrobionych dawniéj postanowień i nałogów, zdało mu się, iż powinien był potargać na nowo oplątające go węzły, powrócić do ciszy i samotności, uciec w lasy, i zabronić ludziom przystępu do siebie.

Słońce zaszło za chmury i góry, mrok wieczorny okrywał już zamek, gdy pan Krzysztof wstał i skierował się ku swemu, jak je czasem nazywał, legowisku. Stary sługa zamyślony czekał nań pod gankiem z Hermesem. Pustelnik, który tak długo bronił się wszelkiéj pokusie, uczuł jakiś wstyd na widok człowieka, który był świadkiem jego słabości, czytać się zdawał w oczach starego towarzysza rodzaj politowania.

— Cóż ty mówisz na to? — mruknął zbliżając się.

— A co mam mówić? — odparł stary — pan więcéj pewnie masz rozumu nade mnie, wiedziałeś dlaczegoś od nich uciekał, musisz wiedziéć czemu ich nie odpychasz teraz? aby tylko panu było dobrze. Jużci Pan Bóg stworzył nas, abyśmy w kupie żyli.

— Ale tak spokojni jakeśmy byli, nie będziemy już, gdy się tu raz ludzie dostaną.

Stary głową pokiwał, zawinął się i poszedł dawać wieczerzę.

* *
*

Unikając podziękowań, przez jakąś delikatność Adryan nie chciał z powrotem zajechać do państwa Pawłowstwa. Doprowadził Wacka do samych wrót niemal, pocałował go, kazał się kłaniać rodzicom, a sam ścisnął konia i puścił się na prost do Zamostowa. Tryumfująco zajechał chłopiec sam jeden przed wrota. Matka już oddawna o niego była niespokojna, lękała się, aby go burza niepochwyciła gdzie na drodze, aby go koń nie zrzucił, aby stryj nie był nieludzkim względem niewinnego dziecięcia. Zaledwie kłus stępaka dał się słyszéć, wybiegła pani Pawłowa, gdy już Wacek z konia zsiadał, pochwyciła go za główkę i zaczęła ściskać; czerwona ze zmęczenia, ale wesoła twarzyczka uspokoiła ją znacznie. Ojciec nadchodził.

— A pan Adryan? — zapytali.

— Kazał się kłaniać i odjechał, bo mu było bardzo pilno.

Nadbiegła Magdzia, obstąpili wszyscy chłopca nagląc, by mówił, jak tam było.

— Ale wszystko doskonale. Stryjciowi nie mówiliśmy kto ja taki, aż się sam domyślił, rozpłakał się i zaczął mnie ściskać, a potém byliśmy już jak najlepiéj. Nakarmił nas poziomkami, obiecał mnie nauczyć strzelać, pozwolił, żebym przyjeżdżał do niego, nawet był wesoły, choć mówiono, że zawsze chmurny chodzi. Konia opatrywał, popręg próbował.

Tak się rozpoczęło opowiadanie, któremu długo nie było końca, Wacek przypominał sobie coraz nowe szczegóły, wracał do już opowiedzianych, ale był bardzo szczęśliwy. O wiele rzeczy pytać go nie śmiano, ojciec się cieszył choć tém, że znowu rodzinę łączyła nić jakaś, którą czas mógł umocnić.

Jakkolwiek pan Wikarski istotnie bardzo po łacinie konno jeździł, postanowiono chłopca z nim i ze starym woźnicą, choć raz w tydzień posyłać do stryja. Pan Paweł obiecywał sobie nieco później sam towarzyszyć dziecku, aby za przyjęcie go podziękować, pani Pawłowa po cichu wzdychała do tego, aby i ona mogła wreszcie dostać się na zamek ten zaczarowany i pokazać Magdzię swoją.

Paweł radził stopniami i powoli iść, aby Krzysztofa nie zrazić. Od dawna weselszego wieczora nie pamiętano w Pobogowszczyznie. Pawłowéj łzy stawały w oczach, przykro jéj tylko było, że temu prawie nieznanemu dobroczyńcy nawet podziękować nie mogła. Hrabina wiedziała także o celu wyprawy Adryana i była trochę niespokojną o nią, posłyszawszy głos jego, wyszła co prędzéj dowiedziéć się co się stało. Panna Kornelia i rejent już obiegli młodego rycerza. Pocałował w rękę ciotkę.

— Dokonałem dzieła szczęśliwie — rzekł — tak jakem się spodziewał, bo rachowałem, że w tém sercu, które zaschło z wierzchu, jest jeszcze czucie i życie. Nieomyliłem się wcale, trzeba było być świadkiem sceny téj, aby pana Krzysztofa pokochać. Łzy mu się rzuciły z oczów, uścisnął chłopca i już się od niego nie mógł oderwać. Tak zmienionego anim się go widziéć spodziewał. O! niech mi ciocia wierzy, tylko gorące, wielkie serca mogą być zdolne do heroicznych dziwactw i do znoszenia długiéj takiéj dobrowolnie narzuconéj sobie pokuty.

Hrabina nie odpowiedziała nic. Pan Teodor, który był także wtajemniczony w tę wyprawę i o jéj skutku chciał co najprędzéj się dowiedziéć, przystawił się konno z Zieleniewszczyzny. Pierwsza próba, choć ją odbolał, zachęciła go do odnowienia

znajomości z siodłem, zdawało mu się, że przez to młodszym się wyda. Przybył więc w rejtroku i spacerowym ubiorze z dawną wydobytą gdzieś z tłómoków szpicrutą, i nadszedł właśnie, gdy Adryan zdawał z missyi swojéj sprawę. Musiano przed nim powtórzyć wesołą nowinę, któréj rad był serdecznie.

— Pan Adryan doprawdy dokazuje cudów! ktoby się tego mógł po takim trzpiocie spodziewać! — zawołała panna Kornelia.

Okrywano go pochwałami, Teodor pomyślał sobie w duchu: — Muszę go mieć za sobą, niech-że jeszcze mnie wyswata, o czém zresztą nie wątpię.

Po herbacie, przy któréj rozmowa mimowolnie wracała do pana Krzysztofa, a hrabina milczała, ponieważ wieczór był piękny, towarzystwo całe na ganek się przeniosło, a Męczyński z cygarem wyprowadził Adryana do parku. Gdy się nieco oddalili a rozmowa wesoły zwrót przybrała:

— No, cobyś pan na to powiedział — odezwał się Teodor — żebym ja jeszcze o ożenieniu pomyślał?

— Pan? o ożenieniu — podchwycił Adryan — powiedziałbym, że lepiéj trochę późno, niż nigdy.

— Znajdujesz-że trochę późno?

— Że niezawcześnie, to pewna.

— To wiem — mówił Teodor — że się czuję młodym. Kto rachuje na lata zawsze się myli, one różnie płyną dla ludzi, metryka nic nie dowodzi.

— Jestem téż tego zdania.

— W latach dojrzalszych dopiéro ożenienie loteryą być przestaje.

— Myślisz pan? — zapytał Adryan — ja nie wiem, dla mnie, *c'est du grec.* Zdawałoby mnie się jednak, że małżeństwo zawsze jest loteryą, boć choć się znają narzeczeni, nigdy obrachować nie mogą, jak się z sobą zbliżywszy godzić będą. Więc myślisz się pan żenić? — rzekł Adryan — będzie to zapewne obrachowane teoretycznie małżeństwo.

— Trochę teoryi, a dużo serca.

— Dużo cukru, i ja słodko wszystko lubię — rzekł Adryan — serce słodzi wszystko. Masz pan jakie projekta?

Teodor wprawdzie miał na ustach tajemnicę swą, ale się powstrzymał od objawienia jéj, chciał sondować wprzódy Adryana, gdyby można naprowadzić go na to zręcznie, aby on sam wpadł na myśl swatania go.

— Projekta! — powtórzył pan Teodor — hm! snuje się ich wiele. Stałego tak stanowczego nie mam jeszcze nic, lękam się. W moim wieku posunąć się i zostać odepchniętym, przykro.

Niechciał się przyznać, że to go już spotkało, a raczéj odprawę, którą otrzymał, uparcie sobie chciał inaczéj tłómaczyć.

— Tu w sąsiedztwie nie ma w czém wybierać, o ile ja je znam — dodał Adryan — panien nie wiele.

— Nie jestem koniecznie za panną, mogłaby być wdową, — cicho szepnął Teodor, sądząc, że Adryana to na myśl jakąś naprowadzi.

— No, i wdów nie widzę — odparł młody chłopak udając niepojętnego — oprócz cioci, która, o ile wiem, wcale się za mąż nie wybiera.

Teodor puścił dym nagle z cygara, i zamilkł.

— Wié pan co — dorzucił zbliżając się doń poufale — pan jesteś w niebezpieczeństwie w domu. Panny przeczuwają tych, co się chcą żenić. Mężczyzni tego wieku i takiego wykształcenia jak pan, wywierają urok wielki na młode istoty. A nuż się w panu która z Zamorskich rozkocha? Uważałem, że panna Liza...

— To dziecko — mruknął Teodor.

— Ale, rozgarnięta bardzo — mówił Adryan — żywa... w takiéj główce lęgną się czasem dziwne myśli. Cóż pan byś na to powiedział?

— Nie znasz mnie dobrze, panie Adryanie — odezwał się z powagą Teodor — młode dziewczę może na mnie chwilowe

uczynić wrażenie, ale stałego, głębokiego uczucia nierozumiem, chyba dla osoby poważnéj i z naszego świata.

Adryan popatrzał nań.

— Panny Zamorskie są bardzo miłe, lecz zawsze przyznaj...

— To im daje urok i oryginalność.

— Ale to straszy, wychowanie pierwsze nigdy się nie ściera, ślady jego zostają na wieki.

— Hm, trochę oryginalności — uśmiechając się — rzekł Adryan.

— Oryginalność jest jak brodawka — wtrącił Teodor — za młoda *c'est un grain de beauté*, na starość wyrasta poczwarnie.

— Notuję to w moim pugilaresie, jako aksyomat z doświadczenia zaczerpnięty — śmiejąc się zawołał Adryan. — Czuję, że to prawdą być musi, chociaż przekonać się o tém nie miałem czasu.

— Z kobiet, jakie na kilkadziesiąt mil wokoło znam — ciągnął Męczyński śmieléj, gdyż pochlebił mu młodzieniec — nie ma ani jednéj, coby się z hrabiną porównać nawet mogła.

— Zupełnie jestem tego zdania, bom ciocią zachwycony — rzekł Adryan — ale wié pan, że się jéj trochę boję. Jest-to bóstwo, które zdaleka i na kolanach czcić potrzeba.

— A tak! tak! — poklasnął Teodor.

— Bądź co bądź, całe życie na kolanach! — szepnął Adryan.

Męczyński się zadumał.

— Ciocia jest trudną, nie łatwo się jéj kto podoba i — po pierwszém małżeństwie, nie dziwuję się temu.

— Ale jak się panu zdaje, czyżby to miało być nieodwołalném, że nigdy za mąż już nie pójdzie?

— Za nic nie ręczę — ramionami ruszając dokończył Adryan — lecz zdaje mi się, że w każdym razie nie łatwo zmienia przekonania.

Wydatniéj już nie chciał się spowiadać pan Teodor, ziarno

było rzucone. Intelligentny młodzieniec powinien się był domyśléć reszty.

Druga część zadania zależała na tém, aby Adryana zapewnić o najczulszéj przyjaźni i zjednać go sobie, resztę więc rozmowy temu celowi poświęcił pan Teodor. Chłopak i tak był szczery, lgnący, przyjacielski, sympatyczny; zaczęli więc mówić o czém inném, i spoufaleni bardzo wrócili do ganku.

Z salonu rozlegała się muzyka panny Kornelii, którą ona miała za znakomitą, choć w istocie tylko anielska cierpliwość hrabiny znieść ją mogła. Teodor przysiadł się do Wandy zamyślonéj i smutnéj i usiłował ją rozweselić, co mu się nie udało wcale.

Następnych dni pan Krzysztof chodził po lasach, jak dawniéj, parę razy zaszedł do chaty Wilczków. Za drugim zdziwił się nieco, gdy mu Dosia rumieniąc się powiedziała, że ich pan Adryan odwiedził.

— A on tu po co? — zapytał marszcząc się.

— Przejeżdżając, przychodził wody się napić, pogadał chwilkę bardzo grzecznie z matunią i ze mną, i więcéj nic.

— Wcale niepotrzebnie, niepotrzebnie — zamruczał stary przyjaciel. — Młodzież, zwyczajnie młodzież, bałamuty, a ręczę, że gdyby tu świeżéj twarzyczki Dosinéj nie było, pewnoby nie zajrzał.

Dosia twarz przysłoniła fartuszkiem.

— Więc nie wychodzić jeśli nadjedzie?

— A zapewne — rzekł pan Krzysztof — po co? ożenić się z waćpanną nie ożeni, a bałamucić się dać... nie godzi się, do czego to?

Zamyśliło się dziewczę.

— I, proszę jegomości — dodała z cicha — on tak na bałamuta nie wygląda, a ja znowu nie jestem łatwa, żeby mi kto bardzo głowę zawrócił. Chwilkę pogadać z takim panem, co rozumno i pięknie mówić umié, zawsze się czegoś nauczy...

— A! czasem więcéj niż potrzeba — rzekł Krzysztof — wierz mi. Trzpiot jest.

— Jak jegomość zakaże!

— Co ja mam kazać lub zakazywać — ofuknął stary — to do ojca i matki należy.

— E! e! — zawołała Dosia — ojciec i matka znają mnie i wierzą, oni téż ani kazać, ani zakazywać nie będą, jać trochę rozumu mam.

— No, zapewne, ale jak ci się bałamut podoba?

Milczała Dosia zamyślona.

— A cóżby to było złego?

— Gdybyś go pokochała.

— Gdzie zaś! — odparła spokojnie Dosia — mnie się to zdaje niepodobném, nie można się pokochać nierównym, tak jak się rozmówić niepodobna, gdy jeden stoi na górze, na dole drugi.

Krzysztof popatrzał na nią, wydała mu się rozsądną i chłodną.

— No, tak prawdą a Bogiem, podobał ci się?

Wilczkówna jakby w sercu prawdy szukała, pomyślała nieco.

— A, pewnie — ozwała się rumieniąc — jakby się podobać nie miał. Chłopak chwat, i znać nie pieszczony, bo stoliki nosi w ręku, a o piękne słowo mu nie trudno i nie brzydki, i śmiały.

— Wszystkie przymioty — mruknął stary ponuro. — Tém ci gorzéj, moja Dosiu, życzę więc szczerze, gdyby panicza znowu napadło u chaty pragnienie, niech mu lepiéj matka wody wyniesie, albo chłopak.

— Jak każecie — rzekła Dosia posłuszna — tać to wy to lepiéj znacie, co trzeba, a co się nie godzi.

Śmiałe dziewczę zadumało się, i poszło do roboty, a gdy Wilczek nadszedł, Krzysztof go wziął na stronę.

— Był tu, słyszę, ten panicz z Zamostowa — rzekł cicho — żeby się tu nie plątał tylko koło Dosi. Wpadła mu w oko, on jéj, a do czego się to zdało?

Wilczek się roześmiał.

— A! jaśnie panie — rzekł — o nią się nie bójcie! żebym tak zbawienia pewnym był, jak tej dziewczyny! Nic się jej nie stanie. Niech się on jej boi, nie ma się ona lękać czego. Rozum ma.

— Ale to młode — dodał Krzysztof.

Machnął ręką ojciec.

— Niech pan będzie spokojny, byle się krok posunął zbyteczny, da mu ona taką odprawę, jak należy, o to frasunku nie mam.

Niewypadało więc i panu Krzysztofowi tak bardzo się troszczyć, ale pomyślał sobie, że jednak na tę wielką miłość dziewczęcia dla siebie, z którą się tak oświadczyła, wiele rachować się nie godziło. Parę słów młodego chłopaka już ją ostudziło. Poszedł w las zamyślony.

— Nie bardzobym ją ożenieniem uszczęśliwił — rzekł w duchu — ale też dać o tém pokój myśléć.

Zamierzył, jeśliby Adryan nadjechał, dać mu, tak zdala, nauczkę, ażeby dziewczę szanował i do Wilczków na rozhowory nie uczęszczał. Wieczorem powróciwszy dosyć znowu smutny, gdy przewracał po szufladkach wpadł mu w rękę papier z kilką słowy przez Wandę nakreślonemi, stanął zadumany nad niemi.

— Pojechaćby tam potrzeba, ażeby się nie okazać mściwym i gniewnym — lepiéj obojętnym. Pojechać trzeba, powtórzył.

Jazda nie była tak łatwą, wózek ubogi, którego się nigdy nie wstydził dawniéj, zdał mu się śmiesznym. Nie chciał wystąpić, jak bernardyński kwestarz przed pałacem. Konia wierzchowego dobrego nie miał. Pieszo nie było daleko... pieszo pustelnikowi było najprzyzwoiciéj.

Pójdę pieszo! co mi to szkodzi.

Dzień jeden upłynął na rozmyślaniach, drugiego rosła już niecierpliwość, ubrał się trochę staranniéj, niż zwykle, a że lasy

swe znał tak, iż drogi nie potrzebował się pilnować, poszedł wprost ku Zamostowu.

Była godzina popołudniowa, słońce dopiekało, wydobywszy się z puszczu w zarośla, skierował się ocienioną ścieżyną, którą po raz pierwszy już przebył, gdy z rozbudzonemi wspomnieniami, mimowolnie biegł w nadziei zobaczenia hrabiny. Drożyna ta prowadziła nie od strony pałacu, ale w kończyny parku.

Gdy rów opasujący go zobaczył pan Krzysztof, niemal chciał się cofnąć. Strach go jakiś ogarnął. Wstydził się tego uczucia i zebrał na męztwo. Od pola furtka ogrodowa stała na pół otwarta. Wszedł nią do parku.

Z téj strony był on rodzajem starego lasu, niemal dziko puszczonego, mnóstwo czapli gnieździło się na ogromnych osadach nad stawkiem i wrzask ich słychać było nad głowami. Żwirem wysypana drożyna wiła się między zaroślami. Gdzieniegdzie przecięty widok w dali dozwalał ujrzéć to budowelkę jakąś, to ugruppowane jakby umyślnie dla perspektywy drzewa. Cicho tu było, pięknie i smutno. Gospodyni snać ogród stworzyła na obraz i podobieństwo swoje, poważnym, zamyślonym, ponurym.

Pan Krzysztof szedł nie śpiesząc, nie szukając drogi, błądząc trochę, doświadczając jakiegoś błogiego uczucia, które mu dawała myśl, że był tam, gdzie ona mieszkała, królowała, rządziła, i gdzie jéj stopy tysiąc razy wycisnęły się na wilgotnym piasku.

Tak idąc, wyszedł wreszcie na zieloną, szeroką łąkę wśród któréj kilka drzew stało samotnych; po brzegach jéj wdzięcznie pożenione różnych barw zarośla składały się na klomby pięknego kształtu. Tu i owdzie stała ławka kamienna. Lasek starych lip i klonów zasłaniał mu widok z lewéj strony, ścieżka go okrążała. Szedł nią rozglądając się, gdy na zawrocie o kroków kilkanaście spostrzegł postać niewieścią siedzącą, z głową nad książką spuszczoną. Twarzy jéj widać nie było, ale mógłże niepoznać w niéj Wandy i nie przeczuć.

Stanął niechcąc ją przestraszyć swojém zjawieniem się niespo-

dzianém i niemiłém, gdy szelest jego kroków snać zwrócił czytającéj uwagę, podniosła zwolna głowę, spostrzegła przybysza, na chwilę zdawała zdumioną i jakby przelękła, ale natychmiast powstawszy zwolna, postąpiła parę kroków ku niemu i z wyciągniętą dłonią na powitanie zbliżyła się do pana Krzysztofa. Na ustach miała uśmiech uprzejmy.

— Bardzoś mi pan miłą zrobił niespodziankę — odezwała się — myślałam o panu, tak doprawdy! ale nieodgadniesz dlaczego! Sądziłam, że nie zechcesz mnie odwiedzić, a pragnęłam tego. Chcesz pan ze mną iść do domu, czy spoczniesz tutaj?

Pan Krzysztof w istocie był dosyć zmęczony, ale nic nie odpowiedział.

Hrabina usiadła na ławce, z któréj tylko co powstała i wskazała mu miejsce przy sobie. Posłuszny usiadł.

— Wié pani, że tu jest bardzo pięknie. Wszedłem przypadkiem przez furtkę ogrodową, bo — bo z domu idę pieszo.

— Jakto? pieszo, tak daleko?

— Wprost przez lasy, odległość nie jest tak bardzo wielka — mówił Krzysztof — ja chodzić lubię i nawykłem wiele. Ogród ten, w którym nigdy nie byłem, dziwnie mi się wydał pięknym.

— Tém miléj mi to słyszéć, bom ja go niemal sama bez nauki i instynktem stworzyła — odezwała się hrabina. — Był-to las, zarośla, bagno. Powoli, jedno przybyło, drugie wyrąbano, co roku się coś dodało. Cóż pan myślisz? to także pustelnia moja, jak wasza tam, choć na pozór otwarta, ale i tu mało bywa ludzi, wolałam i lubiłam być samotną, a jako kobieta stroiłam klatkę moją.

— Nie wiem, czy jest weselszą od mojéj, ale to pewna, że piękniejszą — rzekł Krzysztof.

Pierwszy raz widzieli się tak oko w oko, w blasku dnia jasnego; ukradkiem Krzysztof spoglądał na nią, była młodą, piękną, zawsze tąż samą, ale cierpienie zostawiło ślady w tych oczach, co

we łzach pływały i w ustach co się uśmiechały. Oczy suchsze były może po łzach wypłakanych, usta nie śmiały się tak dziecinnie, uśmiech ich był wyrazem rezygnacyi i miłosierdzia. Hrabina w twarzy Krzysztofa zoranéj bliznami długich bólów, widziała dawnego Krzysia, ale jakby obleczonego żałobą. Oboje stali teraz, po latach tylu, swobodni, jedno naprzeciw drugiego z takiemi jakiemiś uczuciami dziwnemi w sercach, że sami się w nie zajrzéć lękali.

— Sądzę, że życie nauczyło was wiele przebaczać — *tout connaître, c'est tout pardonner* — odezwała się hrabina — powinniście więc darować mi tę rozmowę pierwszą, którą wyrzucam sobie. Byłam pod wpływem jakiegoś uczucia, które przeszło, rozwiało się, zgryzotę tylko zostawując po sobie. Dlaczegóżbyśmy nie mieli na drugim życia końcu podać sobie przyjaznych dłoni i żyć w świętéj zgodzie?

Wyciągnęła mu białą rękę, na któréj widok pan Krzysztof pobladł, była to ta sama, na któréj gorącemi pocałunkami przed laty wycisnął pożegnanie, ta sama dłoń sympatyczna, któréj dotknięcie odbijało się w sercu, łzy mu się w oczach zakręciły, milcząc zbliżył usta i nie śmiał ich przycisnąć nawet. Dłoń drgnęła i usunęła się nagle, a hrabina mówiła daléj:

— Wszakże możemy, powinniśmy być dobrymi przyjaciołmi, panie Krzysztofie, pan mi wiele przebaczyć powinieneś, ja wiele zapomniałam. Jesteśmy oboje spokojni.

Mówiła o spokoju, a głos jéj był drżącym, zamilkła, długo czekać musiała na odpowiedź, nareszcie otworzył usta pan Krzysztof.

— Pani byłaś zawsze tak dobrą — rzekł — że mnie przebaczysz winy. Czym winien, nie wiem, ale jeśli jest wina, ta nigdy na kobietę nie spada.

— A! nie mówmy o przeszłości — przerwała hrabina — nie dotykajmy jéj. Cóż skargi pomogą? życia upłynionego wskrzesić nie można. Szczęśliwą jestem, że was widzę spokojnym

4*

i przejednanym z życiem, a mam nadzieję, iż przejednacie się téż i z ludźmi, a wreszcie z tą biedną kobietą, którą ja jestem.

Rozmowa tak poczęta, byłaby nie wiem jaki obrót wzięła, gdyby ze strony przeciwnéj nadchodzący Adryan, który nucił piosenkę wesołą, nie zjawił się niespodzianie. Spostrzegłszy gościa, o którym nie wiedział, którego się tu niespodziewał i widząc go siedzącego spokojnie przy ciotce, chciał się cofnąć nimby go zobaczono, ale hrabina skinęła na niego. Było za późno.

— A! to gość drogi! — zawołał zbliżając się Adryan — ale, gdzież, jak, którędy?

— Zabłądziłem w lesie i wszedłem od parku — rzekł Krzysztof witając się — a byłem tak szczęśliwy, żem tu zastał panią hrabinę.

Wanda wstała i uprzedzając idących za nią, powoli iść zaczęła ku pałacowi. Krzysztof stał się milczący, nadto był wzruszonym jeszcze kilką słowy, które zamienili z sobą; hrabina weselszą może być chciała, niż w istocie się czuła. Adryan nie krył radości, jaką mu sprawiło to spotkanie. Gniewał się tylko na siebie, że nadszedł tak nie w porę, obiecując to sobie wynagrodzić, jak najtroskliwszém czuwaniem nad tą parą, któréj niemal opiekunem być pragnął.

— To są stare dzieci — myślał — potrzebujące pokierowania niemi, więcéj niż młode dziatki, szczęściem, że ja tu jestem, i że się w dobre ręce dostali.

Na ganku siedziała z robotą kanwową, pomiętą i od lat trzech będącą prawie w jednym stanie panna Kornelia. Podniosła oczy i zobaczywszy pana Krzysztofa, stanęła osłupiała. Nie mogła pojąć zkąd się wziął, nie wszedłszy urzędownie przez ganek i jéj kontrolę. Oczom prawie uwierzyć nie chciała. Adryan, który to postrzegł, rozśmieszony był wyrazem zdumionym jéj twarzy. Nie dając poznać po sobie ani ciekawości, ani zadziwienia, kuzynka złożyła tę nieszczęśliwą robotę kanwową, do któréj ile-

kroć się wzięła, zawsze jéj coś przeszkodzić musiało, i zbliżyła się do hrabiny.

— Zkądże pani wzięła gościa?

— Spotkaliśmy się w parku — odpowiedziała gospodyni — bardzo miła niespodzianka.

— Ja jestem z tych gości, co piechotą przychodzą — rzekł pan Krzysztof.

Kornelia uśmiechnęła się nie odpowiedziawszy nic, towarzystwo całe usiadło w ganku. Rozmowa we czworo nieskończenie była trudniejszą od téj, którą poczęli sam na sam, ale na to był Adryan, żeby cugle pochwycił i pokierował nią zręcznie.

— Spodziewam się — zawołał — że teraz gdy droga do Zamostowa już dobrze prześledzoną została, miłego gościa zobaczemy częściéj u siebie. Szedłeś pan długo?

— Pewnie daleko krócéj niżby się jechać potrzebowało — mówił Krzysztof — bom szedł jak oczy niosły, zupełnie prosto, i dopiéro z puszczy mojéj wyszedłszy, trochę krążyć musiałem.

— Droga jest dziką?

— Owszem bardzo piękną, dopiéro, gdy się park Zamostowski zobaczy, może się dziką wydawać.

— Nieprawdaż — rzekł Adryan — że dzieło cioci jest zachwycające?

Nie dając odpowiedziéć zagadnionemu, chłopak się zbliżył do panny Kornelii i cicho coś jéj szepnąwszy, wyprowadził ją do sąsiedniego salonu.

— Panno Kornelio — rzekł śpiesznie — mówmy o czém pani chcesz, kłóćmy się o co się pani podoba, ale nie siedźmy im na karku i nieprzeszkadzajmy.

— A toż dlaczego? — zapytała stara panna.

— Pani się nie domyślasz?

— Nic a nic.

— Pani byś miała być tak niedomyślną? — powtórzył Adryan.

— Pan wiész co francuzkie przysłowie powiada, iż najgłuchszy jest ten, który słyszéć niechce.

— A dlaczegóżbyś pani niechciała słyszéć?

Panna Kornelia nogą aż tupnęła.

— Cóż to panu w głowie? — zawołała — możebyś rad tego łysego cioci nastręczyć za męża?

— A gdyby?

— Nigdy w świecie! Nudziarz! dzik! fantastyk! nigdy świecie.

Odwróciła się zagniewana.

— Ani pan myśl o tém. Ja znam lepiéj od was hrabinę. Ona jest teraz szczęśliwą, bawi się kwiatami i ogrodem, swobodna, pani swéj woli. Chcesz-że ją uratowaną znowu popchnąć na morze i burze! Bądź co bądź, zapowiadam panu, wszem wobec i każdemu z osobna, że co do mnie, będę o ile sił przeszkadzała niedorzecznemu projektowi.

— Mnie się zdaje — zawołał Adryan — że ciocia jest pełnoletnią, i że nikt jéj nie ma prawa ani pomagać, ani radzić, ani odradzać i przeszkadzać.

— Doskonały! — przerwała zniecierpliwiona stara panna — jemu wolno wszystko, a mnie nic! Pan bierzesz w opiekę starego tego waryata, a mnie nie pozwalasz bronić mojéj drogiéj kuzynki od niego.

— Ona się sama obroni, jeśli zechce.

Kornelia zacisnąwszy usta umilkła i ciągnęła nazad do ganku, gdy Adryan drogę jéj ku drzwiom zastąpił.

— Mam nadzwyczaj zajmującą kwestyę — rzekł — którą z panią pragnę roztrząsnąć, zostańmy jeszcze w salonie.

Ton ten żartobliwy, zwykle dosyć wesołéj pannie Kornelii, zdawał się nie być do smaku, spojrzała na chłopaka surowo, pominęła i weszła na ganek prawie szturmem biorąc wnijście.

Wszedłszy zajęła miejsce jak najbliżéj pana Krzysztofa i nie długo czekając zwróciła się ku niemu.

— Więc tedy klauzura pańska skończona i towarzystwo nasze zyskuje w panu bardzo cennego członka — poczęła szydersko. — Przyznam się panu, żem się zawsze tego spodziewała, że pan nie wytrzymasz w tych leśnych nudach i towarzystwie Wilczków. Ale, à propos, niechże nam téż pan powié co o téj cudownéj Dosi, o któréj całe sąsiedztwo prawi zadziwiające rzeczy. Czy prawda, że tak piękna, rozumna, nawet... (roześmiała się), dystyngwowana?

Pan Krzysztof wymierzoną nań napaścią zrazu się zmięszał, hrabina spojrzała na kuzynkę marszcząc brwi, z wymówką i niecierpliwością, to jednak nic nie pomogło, panna Kornelia była rozdrażnioną. Niespodziewała się jednak, by milczący pustelnik tak zagadnięty, zdobył się na rześką odpowiedź, a raczéj nieznała charakteru dziwaka, który przyparty do muru, umiał się bronić dzielnie. Twarz Krzysztofa przebiegł uśmiech ironiczny.

— W istocie — rzekł — Wilczek, Wilczkowa i Wilczkówna, wszyscy razem warci, aby ich poznać, by się im przypatrzéć i oddać im sprawiedliwość. Są to leśne kwiaty, które wyrosły na podziw pięknie i bujno.

— Doprawdy? — podchwyciła Kornelia.

— Tak jest, szczególniéj Dosia — dodał pan Krzysztof — niech mi poświadczy pan Adryan, który ją widział i sprawiedliwość jéj oddaje.

Złośliwie spojrzała stara panna na chłopaka, ale ten się wcale nie zmięszał. Hrabina milczała, Krzysztofowi twarz zachodziła rumieńcem.

— Wezwany na świadectwo — śmiejąc się rzekł Adryan — nie zaprę się mojego uwielbienia dla panny Wilczkównéj.

— Aż uwielbienia — wtrąciła ciotka.

Kornelia się śmiała szydersko.

— Powtarzam, uwielbienia, nic podobnego nie widziałem

w życiu — mówił Adryan. — Piękność wcale nie nadzwyczajna, i ta najmniejszą jéj zaletą, fenomen osobliwy w tém, że tam nic sztucznego nie ma, że jest śmiała i rozsądna, że jest sobą.

— Wychował ją pan Krzysztof — syknęła panna Kornelia.

— Tak jest — rzekł stary — ja i jéj ojciec. Ojciec jest rodzajem filozofa, równie oryginalnym.

— Nasze sąsiedztwo ma bo szczęście do oryginalności — śmiejąc się mówiła panna Kornelia, która nieśmiertelną robotę kanwową chwyciła znowu i kłóła ją nie szyjąc, gdyż nadto była poruszoną. — Zabawna to rzecz oryginały, ale z niemi żyć...

— Moja droga — przerwała hrabina — jesteś dziś w takiém usposobieniu...

Kuzynka zmilczała, wzrok Wandy wywołał tylko uśmiech ironiczny.

— Pani, co masz tak dobre serce — dodał Adryan zwracając się do Kornelii — ręczę, że gdybyś zobaczyła Dosię, zaczęłabyś być dla niéj z tą sympatyą, jaką my mamy wszyscy.

— Panowie dla młodych i ładnych pań i dziewczątek macie sympatye na zawołanie — zaczęła Kornelia — to mnie nie dziwi.

— Nie przeczę — rzekł Adryan — wszystko co miłe, dobre i piękne sympatyą obudza.

Kornelia podniosła oczy gniewne nieco, Adryan się skłonił.

— Pochwaliłeś pan owo leśne cudo — poczęła żywo — dlatego, że w niem nic nie ma sztywnego, ale naucz-że mnie pan, gdzie się kończy natura, a sztuka poczyna? Gdybyśmy zeszli do stanu natury, bylibyśmy obrzydliwi.

— Musiałem się źle wyrazić — przerwał Adryan — sztuką nazwałem, co się kłamstwem nazwać było powinno, kłamanych rzeczy i ludzi kłamanych niecierpię.

— Na bardzo zajmujący przedmiot wprowadziliście państwo rozmowę — wtrąciła hrabina — ale przewiduję chwilę, gdy

w mgły metafizyczne nas uniesie. Czyby go zmienić nie wypadało?

Pan Krzysztof, który się przypatrywał ciekawie złośliwéj kuzynce, do niéj mowę obrócił zupełnie spokojnie.

— Spytałaś mnie pani o Wilczków — rzekł — ta rodzina była niemal całém mojém towarzystwem przez długie lata, gdym z umysłu od wszelkiego unikał, cóż dziwnego, żem się przywiązał do niéj. Wielem się téż mógł od niéj nauczyć.

— I jakże się po tych ideałach wydaje teraz nasz biedny świat? — spytała Kornelia.

— Jeszczem się nie miał w nim czasu rozpatrzéć — rzekł pan Krzysztof.

— Z góry odgaduję, że o nas wypadnie sąd niekorzystny — mówiła Kornelia.

— Nie wiem — spokojnie odparł Krzysztof — człowiek w ogóle jest bardzo różny, a zawsze ten sam, gdy się w niego głębiéj wpatrzy. Cywilizacya jest jak politura, która z drzewa dobywa piękne słoje i sęki na widok powszechny, ale natury jego nie zmienia.

— Szczególniéj o sęki się obawiam — roześmiała się stara panna.

— Samotność i cierpienie uczą pobłażania — rzekł pan Krzysztof. — Wszędzie złe i dobre się mięsza, idzie o to, co przeważa.

Pan Krzysztof mniéj się dzikim i dziwnym wydał niż się może wszyscy spodziewali, on sam nie poznawał siebie, tak nań oddziaływało towarzystwo; widok hrabiny, jéj odzyskana uprzejmość i uśmiech sympatyczny Adryana. Na stole leżało kilka rozłożonych książek, machinalnie wziął jednę w rękę.

— Miałeś pan przynajmniéj książki na zamku? — zapytała hrabina.

— Nie zbywało mi na nich, ale mogłem miéć tylko stare, nowe mnie nie dochodziły, żyłem cały w kronikach, w herbarzach,

w Biblii i kilku pisarzach starożytnych. Dawniéj pisano mniéj, nienadużywano słowa, wszystko więc niemal co pozostało z przeszłości ma daleko większą wagę, pełniejszém jest i silniejszém, książki te powtarzać można, myśl pracuje nad niemi. Szczególniéj zajmowała mnie nasza przeszłość.

— Szlachecka! — wtrąciła Kornelia. — Przyznam się panu, że téj miłości dla świata, co w guzach szukał przyjemności, pociechy w kieliszkach, u którego kobieta była zepchniętą do kądzieli, trudno dziś podzielać.

— Bo tego świata państwo wcale nie znacie. Choć nie zbyt od nas oddalony znikł prawie bez śladu i jak po człowieku zostaje, co w nim najmniéj pięknego, kości suche, tak po tym świecie pozostały téż rusztowania, co go trzymały, życie, co je oblekało, znikło. Trzeba być wieszczem, aby je odgadnąć i odtworzyć.

— Nie ma większych kłamców, jak poeci — odezwała się panna Kornelia.

— Tak, ale nie ma większego fałszu, nad to, co się zimną często prawdą nazywa. Prawda życia, jak woń kwiatu, ulatnia się i uchodzi.

Westchnął pan Krzysztof, a hrabina chcąc przerwać rozmowę niewłaściwą, wspomniała umyślnie o panu Teodorze.

— Nie wiész Adryanie, czy dziś nie przyjedzie?

— Panny Zamorskie go nie puszczą — wtrąciła śmiejąc się Kornelia.

— Jestem pewny, że gdyby mógł przyjechałby niezawodnie, ale po uszy w interesach.

— Za późno pono je sobie przypomniał — rzekł Krzysztof — wątpię, ażeby je mógł uratować.

— Sam pewno nie — odezwał się Adryan — ale by mógł wezwać w pomoc pana Pawła, a ten by to może potrafił.

Krzysztof na wspomnienie brata, zamilkł spuszczając głowę, rozmowa rozbiła się o to imię. Adryan zniecierpliwiony chodził

po ganku, niekiedy spoglądając gniewnie na pannę Kornelię, chciał ją oddalić, aby dozwolić Krzysztofowi swobodniejszéj rozmowy z hrabiną, a mimo młodzieńczéj przemyślności, sposobu na to znaléźć nie umiał.

Nawet obowiązki gospodarskie, które na siebie brała stara panna, wyciągnąć jéj ztąd nie mogły. Byłyby więc odwiedziny pana Krzysztofa pozostawiły tylko po sobie rozdrażnienie, gdyby hrabina sama nie zaradziła temu. Kilku słowami cichszą zawiązała rozmowę ze swym gościem i powoli zchodząc ze wschodów wyciągnęła go z sobą ku drzewom, które naprzeciw ganku się znajdowały, tak blizko, by nie zejść z oczów osób pozostałych, a dosyć daleko, by nie miéć natrętnych słuchaczy. Panna Kornelia spojrzała gniewnie za kuzynką, a Adryan się tryumfalnie uśmiechnął.

— Tryumfujesz pan — szepnęła stara panna — ale poczekaj! nie potrwa to długo! Znam dobrze hrabinę, jest do zbytku grzeczną, ale ma wiele charakteru, i żaden z tych starych, nieznośnych kawalerów połamanych pewnie jéj nie skusi.

— *Il ne faut jurer de rien !* — rzekł Adryan.

— Nierozumiem pana — z gniewem przerwała Kornelia — pracujesz przeciwko sobie samemu i na zgubę ciotki, dla któréj masz, jak mówisz, przywiązanie. Trzeba być tak młodym, jak pan, ażeby być tak...

— Dokończ pani — odezwał się Adryan — tak głupim? chciałaś pani powiedziéć. Ja nawet ten epitet przyjmę z pokorą.

Kornelia zerwała się nagle zniecierpliwiona, złożyła swą kanwową robotę, zwinęła ją, rzuciła w kąt i okiem gniewném zmierzywszy hrabinę i jéj towarzysza, weszła w głąb' domu, na sługach spędzić zły humor, którém ją to nabawiło.

Adryan pozostał w ganku, zdala mógł tylko odgadywać, co z sobą dawni mówili znajomi. Hrabina była widocznie poruszoną, Krzysztof się także ożywił, rozmowa szła z zajęciem i trwała

bez przerwy aż do herbaty, którą Kornelia umyślnie snać przyśpieszyła, ażeby ją coprędzéj zakończyć.

Gdy gospodyni wróciła do salonu, i ona i towarzysz jéj znajdowali się w stanie umysłu dowodzącym przynajmniéj, że sporu między niemi nie było, i że zgoda i pokój panowały, których starania panny Kornelii nadwerężyć nie mogły.

Nad wieczór Adryan kazał przygotować konie, aby odwieźć Krzysztofa, w chwili, gdy się żegnał podszedł ku niemu z czapką w ręku i zaprosił go do powozu. Siedli do niego razem i choć się pustelnik bronił, chcąc iść pieszo do domu, dał się skłonić wreszcie, by go odwieziono przynajmniéj ku granicy.

Zły humor panny Kornelii nie pochodził jedynie z wielkiéj miłości do hrabiny. W Zamostowie było jéj bardzo dobrze, dopóki trwał ten stan, jaki tu zastała, najmniejsza zmiana mogła zachwiać jéj wszechwładztwem i związanemi z niemi korzyściami. Panna Kornelia sama przed sobą tłómaczyła opór przeciw wszelkim nowym związkom, przywiązaniem do kuzynki, chociaż w niem więcéj było miłości własnéj i obawy o siebie samą. Nie przyznając się do tego, panna Kornelia instynktem zachowawczym broniła swojego stanowiska. Wieczorem, gdy zostały same, kołowała naprzód ostrożnie około przedmiotu, który pragnęła zaczepić, naostatek gwałtownie wtargnęła *in medias res.*

— Moja droga pani — rzekła — coś ta odnowiona przyjaźń, odgrzewane stosunki ze starym dziwakiem, domyślać się każą. Czyż pani miałabyś znowu dobrowolnie chciéć sobie narzucić nieznośne pęta? Będąc swobodną...

— Moja Kornelciu — przerwała hrabina — dajże mi pokój! Niechcę miéć nieprzyjaciół, potrzebuję stosunków przyjaznych, czyż zaraz masz się więcéj domyślać, niż jest!?

— O! bo znam mężczyzn, pozwól kurze grzędy, może mu znowu coś przyjść na myśl, a ja drżę o szczęście wasze.

— A! bądź-że spokojną. — Hrabina ruszyła ramionami. Kornelia nie zdawała się tém zapewnieniem wcale uspokojoną.

— To ten szaławiła, faworyt pani, siostrzeńczyk, wszystkiéj téj biedy nam naprowadza. A! bo to ta teraźniejsza młodzież!

— Kornelko! w jakimże ty dziś jesteś humorze?

— Jestem zła, bo się o panią boję. Przyznam się, że gdyby już miała się popełnić ta... niedorzeczność i iść znowu za mąż, przecieżby coś można lepszego znaléźć nad pana Krzysztofa.

— Ale zkądże to zamążpójście? — spytała hrabina.

— Czuję, widzę, że do tego idzie. Pani jesteś nadto dobrą, ci ludzie są natrętni, a wspomnienie dawne, a politowanie, a to, a owo, i niewola w końcu gorsza od pierwszéj.

— Kornelciu! powtarzam, zkądże to zamążpójście, o którém się nikomu nie śni?

— Ja widzę daleko naprzód!

— Proszę cię!

Stara panna chodziła żywemi krokami po salonie, zburzona i chmurna. Kilka razy w ten sposób zaczynała się i zrywała rozmowa. Hrabina była małomówna, poznać jednak mogła kuzynka, że ta napaść jéj nie smakowała, i że się jéj przez nią naraziła. Rozeszły się uczciwie każda w swoją stronę, a Kornelia długo samotna chodziła po swoim pokoju.

— To są intrygi, na które ja pozwolić nie mogę — mówiła do siebie. — Hrabina widocznie znudzona za mąż wyjść pragnie, Teodora nie chce, Krzysztof, ten nieznośny dziwak, wziąć ją może. Niewola i nudy w domu. Pedant stary! Wynosićby się trzeba nazajutrz. Ale na to radzić muszę, tonący brzytwy się chwyta.

Panna Kornelia siadła pisać list, zamknąwszy się na klucz, sześć stronnic napełniła pismem pochyłem i zamaszystém i dopiéro odetchnęła swobodniéj. Odczytała, poprawiła, dodała jeszcze pół ćwiartki, dopisała komentarze na bokach, i list zapieczętowawszy przechowała go starannie. Uspokoiło ją to znacznie i rozweseliło.

Nazajutrz wstała rano, wyszła do ogrodu i list wczorajszy

zniknął. Zdawało się, że tajemniczo został wysłany. Zdradzić musiemy kuzynkę hrabiny.

Z dawnych stosunków potarganych i nadwerężonych, pozostał jeden jeszcze, niezupełnie zerwany. Pani kasztelanowa Chorzyńska, u któréj jakiś czas przebywała panna Kornelia, ale się z nią w końcu *pour incompatibilité d'humeur* rozstać musiała, miała pewną słabość do niéj, kłóciły się często i godziły prędko, aż wreszcie żywe słówko, wyrzeczone za pośpiesznie, opłakiwane potém, zmusiło pannę wyjechać z tego domu. Kasztelanowa miała syna, wdowca, zwanego Walerkiem, bardzo miłego łotrzyka, którego już raz była ożeniła, który po roku żonę stracił, a teraz po świecie bąki zbijał, nie mogąc się ożenić.

Był to młodzieniec wychowany jak najstaranniéj, wielce zdolny, ale nałogowy gracz i płochy, tak, że nawet dobiegające do czterdziestówki lata, nie mogły go ustatkować. Kasztelanowa pragnęła go ożenić, ufając, że kobieta, którąby kochał poprowadzić go potrafi. Był bowiem Walerek łagodny na pozór, czynił z nim co kto chciał, lecz nazajutrz przychodził ktoś drugi i odrabiał. Póki był z matką słuchał matki, wpadłszy w inne towarzystwo ulegał jego wpływowi. Czynił to wszystko z jakimś sceptycyzmem miłym, jakby do żadnego kroku w życiu wagi nie przywiązywał. Szło mu głównie o to, aby z życia drogi uprzątnąć sobie wszelkie zawady, jakimkolwiek bądź kosztem. Uniknąć cierpienia było dlań najwyższém zadaniem. Bardzo piękny mężczyzna, choć na twarzy jego znać było znużenie, był najmilszym gościem, witano go wszędzie serdecznie, kochał po pół godziny każdego namiętnie, ale nazajutrz mógł go nie poznać. Toż samo działo się z kobietami, bóstwem dlań była każda, dopóki drugiéj nie zobaczył.

W przekonaniach swych Walerek, był, jak w uczuciach, przyjacielem świętego spokoju; zgadzał się na każde wygłoszone, potakiwał mu, a wkrótce potém, jeśli z tém było dogodnie, utrzymywał przeciwne zdanie. Dla niego wszystko służyło do

zabawy, nic nie brał seryo — świat go bawił, serca mu nic nie poruszało. Ruszał ramionami i śmiał się z ludzi, którzy w coś wierzyli i do jakichś poświęceń byli gotowi.

Z tém wszystkiém, był to najmilszy z ludzi, a twarz jego wyrażać się zdawała taką dobroć i łagodność, oczy niebieskie tak się uśmiechały, różowe usta taką namaszczone były słodyczą, iż go każdy pokochać musiał mimowoli.

Pomimo swych przymiotów Walerek nie mógł się ożenić, zgrywał się okrutnie, często odchorowywał hulanki, plątał się w stosunki najdziwaczniejsze i kasztelanowa ręce łamała z rozpaczy nad przyszłością. On się śmiał, całował ją, rozbrajał gniew i nazajutrz broił tak samo. Wszyscy mówili, że go należy ożenić.

Panna Kornelia, która przed dwudziestu laty, umiała mu się nawet podobać i wodziła go trochę na pasku, obrachowała teraz, iż nicby szczęśliwszego wypaść nie mogło, nad to, gdyby go ożeniła z hrabiną. Hrabina i ona władałyby nim zupełnie, w domu nicby się nie zmieniło. Walerek podobać się mógł i musiał, był młody, czuły, piękny i dowcipny. Widywała go niegdyś pani Wanda za życia męża, ale w Zamostowie nie był od tego czasu. Kasztelanowa wyjeżdżała mało, była to osoba otyła, ciężka, cicha, modląca się po całych dniach i niby zajęta jakąś robótką, ale w istocie w myślach zatopiona i roztargniona tak, że nim jéj kto na pytanie odpowiedział, już nie wiedziała sama, o co zagadnęła. Celem jéj życia był ów Walerek nieszczęśliwy, nad którego losem bolała, bo go kochała namiętnie. Połowa majątku już poszła dla tego drogiego dziecka. List panny Kornelii miał na celu sprowadzenie kasztelanowéj z synem do Zamostowa i odnowienie dawnych stosunków.

Jak się spodziewała kuzynka, tak się stało; jednego poobiedzia sześciokonna kareta przywiozła staruszkę, a czerokonny kocz jéj syna.

Hrabina, która odwykła od nowych twarzy, przestraszona była tym najazdem, wytłómaczyć go sobie nie mogąc. Kasztela-

nowa wystrojona była w klejnoty familijne, Walery ubrany jak lalka.

Był to mężczyzna w sile wieku, nieco już otyły, ale wyglądający bardzo młodo, z niebieskiemi oczyma, z różowemi usty, z zarodkiem łysiny i ogromnemi angielskiemi faworytami. Znać w nim było człowieka wielkiego świata, nawykłego do stolic i salonów.

Szczęściem dla gospodyni, przyjazd pana Teodora, bytność Adryana, ułatwiały jéj wielce przyjęcie tych gości. Nie potrzebowała się zajmować wielce kasztelanicem, a cała oddała dobréj staruszce, która pytając nieustannie: Co mówisz! uśmiechała się na wszystko. Piękny Walerek mało uczynił wrażenia na hrabinie, a co gorzéj, przypominał jéj męża, u którego bywał, nietylko sobą samym, ale téż obejściem i domniemanym charakterem. Byli to niegdyś wielcy przyjaciele i ludzie jednego obozu.

Pan Teodor, który łatwo przeniknął, co znaczyło przybycie kasztelanica, posmutniał i zafrasował się, chociaż Walerek i jego i Adryana uprzejmością i wesołością zaraz sobie od pierwszych słów ująć umiał. Młody siostrzeńczyk, domyślił się także projektów kasztelanowéj, ale po sobie nie pokazał tego, tknęło go coś nawet, jakby przeczucie, że przyjazd ten pannie Kornelii nie musiał być niespodzianką; dostrzegł rumieńca gwałtownego na jéj twarzy, w chwili, gdy gości oznajmiono. Kasztelanic bawił gospodynię, którą już był do najwyższego stopnia zachwycony, gdy niespokojny Teodor odciągnął na chwilę Adryana na stronę.

— A wiész co to te odwiedziny znaczą? — szepnął mu.

— Domyślam się.

— Stara kasztelanowa podjeżdża tu z tym towarem, którego, mimo pięknéj jego powierzchowności, nikt niechce. Mam nadto dobre wyobrażenie o hrabinie, ażebym się lękał wrażenia, zawsze jednak bliżsi i domowi, przestrzedz powinni; Walerek jest najpłochszym z ludzi pod słońcem; dobry, miły, serdeczny,

ale do niczego, a zapaliwszy się, żonę by w djabełka przegrał i duszę w dodatku.

— Wiész pan co? — rzekł zdrajca Adryan — dobrzeby było, żebyś to pannie Kornelii powiedział, ona prędzéj jak ja znajdzie zręczność z tego korzystać.

I odszedł. Teodor tak jakoś zapalił się, iż natychmiast wśród salonu spotkawszy starą pannę, pobiegł za nią do jadalnego pokoju.

— Na miłość Boga — zawołał — co to znaczy kasztelanowa z synem? pani nie wié?

— Ja? a zkądże ja mam wiedziéć o tém.

— Jakto? pani się nie domyśla?

— Ja nie jestem domyślną wcale.

Teodor roześmiał się.

— Muszę więc panią przestrzedz, Walerek, który się ożenić nie może, a pragnie, przybył pewnie nie bez myśli. Trzeba go znać.

— Bardzo miły człowiek! — odezwała się panna.

— Nie przeczę bynajmniéj — rzekł Teodor — nie podobna go nie pokochać, ale jutro nas wszystkich w karty przegra.

— Od pół roku wiem, że matce dał słowo i nie gra — odparła panna Kornelia.

— I płochy.

— Może był, alež wiek! ustatkował się zupełnie — wtrąciła kuzynka — a przyznam się panu, że przy nim wszyscy, wiele was jest, wydajecie się nieokrzesanemi.

Pan Męczyński sapnął.

— Niewiedziałem, że w takich łaskach u pani!

— A na cóż mu łaski moje się przydały — żywo szczebiotała panna — on ani moich, ani niczyich nie potrzebuje. Nie ma kobiety, którаby go pokochać nie była zmuszoną, gdy się o to postarać zechce.

Teodor zamilkł skrzywiwszy usta.

— Tak pani sądzi.

— Nie ja, ale wszyscy.

— Szczęśliwy człowiek! — sucho rzekł Teodor i odszedł.

Gdy się to działo, Walerek w ganku zalecał się już gospodyni, która bardzo grzecznie, ale przyjmowała go zimno i seryo, nie dając mu się spoufalać, do czego aż nadto był skłonnym. Nie zraziło to pretendenta, który snać mając to w instrukcyach, wkrótce przeszedł od pani do siostrzeńca, chcąc i jego serce podbić.

Adryan zwykle otwarty i żywy, na ten raz przybrał postawę sztywną, ale że niemal grał rolę półgospodarza, musiał być grzecznym.

— Śliczny park — rzekł Walerek — co za kampania senioralna! Jak tu czuć ducha i smak gospodyni, co za wdzięk we wszystkiém! Dawno bardzo nie byłem w Zamostowie, jestem nim prawdziwie oczarowany.

— Ja także — rzekł Brzoski. — Ciocią i jéj rezydencyą razem.

— Nie dziwuję się, gdyż jedno doskonale odpowiada drugiemu — mówił Walery — pan tu spędza...

— Wakacye — wtrącił Adryan — i bardzo mile. Sąsiedztwo mamy nie liczne wprawdzie, ale wystarczające dla cioci, która nie lubi zbyt tłumnego, ani zbyt wrzawliwego towarzystwa.

— A! a! — rzekł Walery — ale tak młoda osoba.

— Umysł poważny nad wiek, dla niéj spokój i cisza najwyższém dobrem.

— Ha! to przyznam się panu, że jak na wakacye, nie koniecznie właściwe sobie wybrałeś miejsce pobytu.

— Dlaczego? — odparł Adryan — w Zamostowie mam ciszę, a gdy chcę swawoli i śmiechu trochę, jadę do pana Teodora, którego dzierżawcy dom jest bardzo wesoły.

— Tak! u dzierżawców często się bardzo dobrze bawi — dodał Walerek. — Są to ludzie, co potrzebują stosunków i przyjmują hojnie. Są panny? — zapytał po chwili.

— Dwie, i bardzo ładne — mówił Adryan — oprócz tego mam polowanie w lasach u pana Pawła, u Krzysztofa Poboga, w naszych i Zieleniewszyznie.

— Gdybyś mi pan zrobić chciał ten zaszczyt, prosiłbym go do siebie.

— O! serdecznie dziękuję, wakacye się kończą, a ja jestem pono na odjezdném, liczę już dnie ostatnie.

— To szkoda.

W istocie Walery rad był wyjazdowi temu, bo go uprzedzono, że siostrzeniec podejrzany jest o popieranie kogoś innego. Zaczęli mówić o psach, koniach i innych młodzieńczych zabawach, a Adryan nieomieszkał przybyłemu tak odmalować życia i usposobień ciotki, aby mu odjąć wszelką nadzieję. Trudno to jednak było z takim pewnym siebie człowiekiem, który nawykł był do łatwych zwycięztw i o niczém nie wątpił. W rozmowie z hrabiną, kasztelanowa nie mogła się powstrzymać od pochwał tego swego Walerka.

— Powiadam ci, droga moja, nie dlatego, że to syn mój, ale drugiego takiego chyba nie ma na świecie. Młodość miał cokolwiek burzliwą, ale któryż mężczyzna przez to nie przechodzi? Dziś zaś, co to za statek, rozum, a co za serce złote? dla mnie, co za syn! dla przyjaciół, dla wszystkich co za anielska dusza. Łzy mi stoją w oczach, gdy mówię o nim. I proszęż cię, kochana hrabino, takiego człowieka dotąd ożenić nie mogłam! a tak tego pragnę. Chciałabym spokojną umrzéć widząc go szczęśliwym.

Piękna Wanda, domyśliwszy się ukrytéj w tém zaczepki, poczęła gorliwie swatać rozmaite panny i wdowy, ale kasztelanowa każdéj miała coś do zarzucenia. Wzdychała patrząc na nią. Odwiedziny trwały dosyć długo, szczególniéj dla gospodyni, pana Teodora i Adryana. Męczyński postanowił nieodbicie przesiedzieć tych gości i stołka Waleremu przystawić. Kasztelanic wyjeżdżał niezadowolniony wcale, popisywał się świetnie i czuł, że nie uczynił wrażenia, matka téż była jakoś smutna. Napomy-

kała kilka razy, że Walerek pragnąłby bywać częściéj w Zamostowie, na co odebrała tylko bardzo zimną odpowiedź. Jakoś go nie zapraszano. Hrabina oświadczyła nawet, że nie jest pewną, czy na czas jakiś nie wyjedzie z domu.

Humor Kornelii, zrazu bardzo wesoły, pod koniec się téż zmienił i stał ponurym. Spodziewała się wcale innego wrażenia, a choć tłómaczyła sama przed sobą, że od pierwszych odwiedzin niepodobna było wymagać wiele, jednakże gniewała się na hrabinę.

Po wyjeździe kasztelanowéj, Teodor już z kapeluszem w ręku przysiadł się do gospodyni, od niechcenia jakoś zacząwszy jéj opowiadać żartobliwie żywot i sprawy kasztelanica.

Z początkiem słuchała ich roztargniona hrabina, lecz wkrótce przerwała mu tém, że wiedziała to wszystko z dawniejszych czasów. Musiała nawet wspomniéć z tego powodu męża, czego zwykła była starannie unikać. Dała do zrozumienia, że nie radaby słuchać więcéj.

Jakby domyślając się téj małéj intryżki, przysiadła się zaraz panna Kornelia, usiłując ją zneutralizować.

— Znałam dawniéj pana Walerego — odezwała się — zawsze to był człowiek niezmiernie miły, ale jakże dziś zyskał, jak zyskał, jak spoważniał. Co za dowcip, jakiego coś sympatycznego, a jakie serce, jaki to syn dla matki!

— W istocie? — spytała hrabina — zmienił się tak bardzo w twych oczach? Ja tego nie znajduję!

— A! pani moja — poczęła Kornelia — jak można tego nie widziéć.

Rozpoczęty w ten sposób panegiryk kasztelanica ciągnął się długo, bo panna Kornelia i wymówną była i wielomówną, czy poskutkował osądzić było trudno, gdyż Wanda słuchała go chłodno i niewiele zdając się do tego przywiązywać wagi. Teodor nareszcie odjechał, a Adryan, gdy zostali sam na sam, uwziął się, aby Kornelię doprowadzić do niecierpliwości, dalszemu cią-

gowi pochwał kasztelanica stawiąc najrozmaitsze przeszkody i najpocieszniéj rozłamując rozmowę. Hrabinę bawiła wesołość siostrzeńca i rozdraźnienie staréj panny, która w końcu musiała sama śmiać się, aby gniewu nie zdradzić.

ROZDZIAŁ II.

Zbliżała się w istocie chwila wyjazdu Adryana, który jak mógł pobyt swój przedłużał w Zamostowie. Zajmowało go tu wszystko, ale któż wié, czy ten młody opiekun, któremu się tak szczęśliwie powiodło zbliżyć jednych, drugich pousuwać, który zdawał się jak z pionkami na szachownicy postępować z témi co go otaczali, nie mając do posuwania się na niéj woli własnéj, kto wié, czy ten panujący nad innemi chłopak, sam nad sobą panować umiał. Wieczory spędzane z pannami Zamorskiemi nie poruszyły wcale młodego jego serca, a rozmowa jedna z prostą dziewczyną, wyjść mu nie mogła z pamięci. Dosia wabiła go, jak zagadka. Za drugim razem spotkawszy się z nią, przekonał się, że pierwsze wrażenie mylném nie było, dziewczę miało dlań urok dziwny. Nic nie mówiąc nikomu, a korzystając z pozwolenia pana Krzysztofa, poszedł w las jego polować sam jeden. Nie wiem, czy co zabił, czy co widział nawet, lecz tak się obrachować jakoś potrafił, że na skraju lasu z Dosią się spotkał. Wracała z poziomkami dla pana Krzysztofa.

Dziewczę się nieco zmięszało z początku zobaczywszy Adryana, ale natychmiast oprzytomniało.

— Dobry wieczór pannie Wilczkównie.

— A! dobry wieczór panu.

Chciała odchodzić zaraz.

— Cóż to pannie tak śpieszno.

— No, nie, ale — (zarumieniła się) — jeszczeby téż dopiéro, gdybym z panem w lesie miała gawędzić, kiedy już i tak...

— I tak? co? proszę dokończyć.

— Mówią, że to nie uchodzi.

— Któż mówił?

— A jegomość stary...

— A zkądże wiedział o jakiéj rozmowie?

— Ja mu sama o niéj powiedziałam, bo się kryć z niczém nie umiem. Stary powiada, że młodzi wszyscy to bałamuty.

Rozśmiał się Adryan.

— Niech mu panienka powié, że starzy są gdéry.

— Ale co panu po mojéj rozmowie, jam prosta dziewczyna.

— I prosta rozmowa najmilsza—rzekł Adryan.

— Ja od pana tobym się jeszcze czego nauczyć mogła, ale pan ode mnie?

— O! bardzo wiele! — patrząc jéj w oczy wesoło, rzekł Adryan — ja jestem uczony z książki, a panna masz mądrość leśną, która więcéj warta.

— Na cóż pan kłamie! — odezwało się dziewczę, które odchodzić chciało, a stało, jak przykute.

— Prawdę mówię.

— Jak się dowié jegomość, jak mnie spotka, to dopiéro będzie! — szepnęła jakby sama do siebie — bądź pan zdrów.

Pobiegła kilka kroków, Adryan stał i patrzał zamyślony.

— Jeszcze słówko! — zawołał — tylko słówko.

Stanęła.

— Czego pan chcesz?

— Pożegnać się z panną Dosią.

— Albo co?

— Jadę ztąd, i któż wié, może tu nigdy nie powrócę, może panienki nie zobaczę nigdy.

Podniosła oczy jasne na niego.

— A to dlaczego? — spytała — któż panu broni?

— Mieszkać będę w innych stronach, więc choć dobre słówko.

Spuściła oczy.

— E! pan bałamucisz! a czyż ja wiem, co za dobre słowo mam powiedziéć, dobre słowo? Najlepsze słowo... Niech Bóg prowadzi — dodała cicho, a głośniéj rzuciła: — Do zobaczenia! do zobaczenia!

I uciekła żywo. Pan Adryan stał długo w miejscu, dopiéro, gdy mu z oczów znikła, powoli powlókł się do Zamostowa. Przez cały wieczór zamyślony był i smutny, zdawał się czekać chwili, gdy się pozbędzie panny Kornelii i nareszcie został sam na sam z ciotką. Pocałował ją w rękę.

— Mam rozmaite prośby do kochanéj cioci — rzekł — ale potrzebuję ośmielenia.

Roześmiała się hrabina.

— Ty?

— Czasami bywam strasznie bojaźliwy — rzekł Adryan.

— Ale kiedyż?

— Gdy się obawiam, że mogę być źle zrozumianym.

— Mów-że, o co idzie?

— Nie jest-to tak łatwo, jak się zdaje.

Rękami potarł włosy, odrzucił je na ramiona i począł:

— Prośba jest oryginalna, jak ja czasem bywam. Oto prosiłbym pani hrabiny dobrodziéjki, ażeby kiedykolwiek przejeżdżając drogą około chaty pana Wilczka, stojącéj na saméj granicy lasów pana Krzysztofa, raczyła wstąpić, pod jakimkolwiek pozorem, a wstąpiwszy, starała się widziéć i rozmówić z panną Dosią Wilczkówną.

— A! znowu ona! tyle o niéj mówicie, żem doprawdy jéj ciekawa.

— I należy ciekawości téj dogodzić.

— A potém?

— Jeśli się Dosia podoba, jeśli ją znajdzie ciocia taką, jaką się ona nam wydaje, czemużby jéj nie można wziąć do

Zamostowa na wychowanie? — Z takiego szlacheckiego kruszcu zrobić artystyczne arcydzieło, nie byłożby to godném jéj serca? nie zajęłożby to cioci i nierozradowało, gdyby pod jéj oddechem pączek ten rozkwitł pięknemi, pełnemi barwami?

— Ale cóż ci się śni? — zawołała hrabina — ja? wychowywać to dziecko lasu? czyżby mi ją dali rodzice?

— Z pewnością — rzekł Adryan — byłoby to dzieło chrześciańskie godne serca waszego.

— Tak — przerwała hrabina — oderwać ją od tego życia, w którém jest szczęśliwą, dać jéj nowe pragnienia z jéj stanem niezgodne, na to, ażeby wyrzucona ze społeczeństwa, stała się istotą zwichniętą i biedną, jeśli nie gorzéj, jedną z tych nienależących do żadnéj klassy wyrzutków, związkami krwi połączonych z ludem, a duszą z temi, co ją odepchną, lub... Adryanie, znać, żeś młody.

— Nie zapieram się tego — odparł Adryan spokojnie — właściwością mojego wieku jest marzenie, lecz, gdyby Dosia stała się tém czém marzę?

— To cóż? — zapytała hrabina.

Adryan pocałował ją w rękę.

— Burę dostanę — ożeniłbym się z tą Dosią.

Pani Wanda śmiać się zaczęła, lecz wkrótce twarz się jéj zasępiła.

— Mój Adryanie — rzekła — przypuść, żem cię usłuchała, wzięłam Dosię. Ty naturalnie rok lub więcéj nogą byś niepostał w moim domu, zajęłabym się nią całém sercem. Po tych dwóch latach, alboś ty się gdzieindziéj zakochał i zapomniał o narzuconéj mi wychowanicy, albo porzucasz i znajdujesz dziewczę zmienione, pozbawione tego wdzięku prostoty, który miał urok dla ciebie, i Dosia osiada na koszu, nieszczęśliwa na życie całe.

— Dlaczego? dlaczego? — podchwycił Adryan. — Mój Boże! więc wychowanie i światło jest tak niebezpiecznym darem, który

z sobą niesie pragnienia, jakich świat nasycić nie może? Więc nauka może być trucizną? więc ona tylko namiętności i żądze rozwija, a nie rozum, co nad niemi panuje? Ja sądzę, że wychowanie powinno uczyć człowieka godzić się z przeznaczeniem, z pracą, z niedolą nawet, i dawać mu siły, a nie osłabiać? Jakieżby to było wychowanie, coby gorszym oddało dziecię, niż wzięło? Dlaczego ma stracić prostotę? To są wszystko dla mnie rzeczy niezrozumiałe, chyba tém wytłómaczone, że wychowanie jest złe, a ja o takiém wiedzieć niechcę. Niech jéj ciocia da dobre, a da jéj skarb. Z takiém ona nie powstydzi się rodzicom pomagać w najcięższéj pracy, i ubóstwo lżejszém się dla niéj stanie.

Adryan mówił z zapałem, który hrabinę ujął, zbliżyła się doń i pocałowała go w głowę.

— Masz słuszność — rzekła — jam mówiła o wychowaniu tém tuzinkowém, pospolitém, któremu imię to dają niesłusznie, tyś je pojął lepiéj. Gdybym wiedziała, że potrafię...

— Ciociu, niech głowie pomoże serce... temi tylko dwoma czynnikami coś dokonać można, one są jak dwie części składowe powietrza, którém oddychamy, żadną z nich żyć samą nie można, spojone z sobą, dają życie. Serce może się obłąkać, rozum może się omylić, we dwoje są nieochybni...

— Ja ci się oprzéć nigdy nie umiem — szepnęła hrabina — więc zobaczemy...

Adryan aż upadł przed nią na kolana, pochwycił jéj ręce, całując z zapałem i wybiegł szybko.

Nazajutrz, jakby się wstydził pokazać po téj wieczornéj scenie, Adryan pojechał do pana Teodora. Godzina była, w któréj się go zastać spodziewał, a nie znalazł. Powiedziano mu, że jest na folwarku.

Nie pytając co się tam działo, niespodziewając się, ażeby mógł być natrętnym, Adryan poszedł znajomą przez ogród drożyną. Zbliżając się ku dworowi, postrzegł w podwórzu kilka bryczek

i jeden koczobryk wyświeżony, ludzi pełno kręciło się około domu. Okna były otwarte, a przez nie gwarna i wesoła dolatywała rozmowa. Wstrzymało to nieco pana Adryana, który nie uważał, że chłopak go wyprzedził i dał znać panu Męczyńskiemu o jego przybyciu. Już chciał się zawracać, gdy razem pan Teodor i Zamorski w granatowym fraku, białéj kamizelce, nankinowych spodeńkach, wybiegli naprzeciw niemu.

— Prosimy pana! prosimy!

— Wpadam tu niespodzianie na uroczystość jakąś, bardzo przepraszam.

— Żadna uroczystość, panie dobrodzieju! Do ubogiéj chaty kilku łaskawców raczyło przybyć, aby być świądkami szczęścia rodziców. Panie dobrodzieju, mojéj córki Michaliny zaręczyny z Maciorkiewiczem...

Nie było się wymówić sposobu. Na ganek z kieliszkami wychodziła już szlachta, kilku z zawiesistemi wąsami tarabatkowych, dwóch we frakach jakby z archeologicznego zbioru pożyczonych, wreszcie Maciorkiewicz, ładny chłopak ubrany *ad hoc* wykwintnie, z wąsami blond i bródką podstrzyżoną. Trzeba się tedy było przedstawić szanownemu towarzystwu i pójść powinszować zarumienionéj pannie, ubranéj w białą suknię z pąsowemi wstęgami. Zupełnie podobnie ustrojona była Liza, któréj ufryzowane włosy spadały w puklach na białe ramiona. Matka dnia tego miała złoty łańcuch na szyi i zégarek.

Pan Teodor po kilku kieliszkach węgrzyna, ze szczególném zuchwalstwem uśmiechał się do pięknéj Lizy, która go jawnie i oczywiście kokietowała. Fortepian stał otworem, bukiety gdzie się tylko mogły zmieścić. Na stole już zburzonym szturmem, jaki doń przypuszczano, cały zastęp butelek i plama od czerwonego wina świadczyła o gościnności gospodarzy. Niesiono już kielich panu Adryanowi, dla spełnienia za zdrowie przyszłéj pary.

Maciorkiewicz tego dnia był najnieszczęśliwszym z ludzi;

serce go ciągnęło ku narzeczonéj, a Misi się zdawało, że przyzwoitość wymagała, aby się dlań okazywała jak najchłodniejszą, odsuwała się więc od niego z przesadzoną skromnością. Za to Liza uśmiechami, wejrzeniami, słówkami, obdzielała wszystkich, co się nią zachwycali, a najobficiéj pana Teodora, który dybał na nią widocznie, stawał przed nią bezwstydnie z kieliszkiem i całując w ręce nieustannie, szósty raz pił jéj zdrowie. Matka udawała, że nie widzi, ojciec, że nie rozumié. W panu Teodorze zdawała się odbywać walka wewnętrzna, któréj płomień wino podsycało. Ujął Adryana za rękę i odprowadził go na stronę.

— Proszę cię, kochanie moje, przypatrz się téj dziewczynie. Hebe! powiadam ci.

— Hebes! — pomyślał Adryan, ale głośno się odezwał: — Weź-że ją waćpan, aby mu nektar nalewała całe życie.

— Tak, ale, ba! — zawołał Męczyński — zapewne, a lata! Młodym się to ja czuję, a jednakże rachunek, rachunkiem. No, i ten świat, ten świat...

Wskazał nieznacznie na taratatki.

— Z dziewczyny jeszcze zrobiłoby się może co należy, bo instynkt ma przedziwny, a no, rodzice, krewni, cioteczni, wujeczni, stryjeczni, wszystko to rękawiczek nie nosiło chyba na niedzielę i wełniane. Bigosem karmione, chustki do nosa uważa za luksus i po francuzku ani w ząb!

— Tak, to prawda — szepnął Adryan — ale Hebe.

— A oczy! patrzaj tylko — mówił Teodor — taż to błyskawice z nich lecą i pioruny, w samo serce. A biust! proszę cię, biust! marmur żywy... a...

Przerwał, bo się właśnie Liza zbliżała, jakby czuła, że na nią patrzą i chciała się jeszcze bliżéj pokazać w całym blasku. Pan Teodor zawołał:

— Pijemy pani zdrowie!

— A! panie — zawołała trzpiotnica — państwo mi wszystkie zdrowie wypijecie. Dość już tego.

— Ja nie tyle się obawiam o zdrowie pani — zawołał Adryan — co o pana Męczyńskiego, upija się zarówno winem i wzrokiem pani i gotów postradać przytomność.

— O! o! panowie jéj zawsze macie dosyć, ażeby z nas sobie żartować — odpowiedziała żwawo Liza — wszystko, co mówicie, ma pozór słodyczy i grzeczności, a w istocie to tylko niemiłosierne szyderstwo.

— Zkądżeś pani się nauczyła takiéj niewiary? — spytał Adryan.

— Pani, co jeszcze z wieku złudzeń i marzeń nie wyszłaś — dokończył Teodor.

— I my mamy tradycye nasze — odpowiedziała Liza.

— A! więc to przestrogi mamy! — rozśmiał się Teodor — ale niech pani wierzy, że mężczyzni są, jak djabli, nie tak czarni jak ich malują.

Porównanie do djabłów rozśmieszyło Lizę, spojrzała na Teodora, którego twarz rozczulona winem i widokiem Heby, dziwnie sentymentalnie była wykrzywioną, Adryan także się uśmiechnął.

— Ja ręczę za mego przyjaciela pana Teodora, że wcale czarnym nie jest, mimo wszelkich tradycyj, ma tylko tę wadę, że jest nieśmiały, pani powinna mu dodać odwagi.

Ostatnie słowa wyrzekł ciszéj, tak, by ich pan Teodor nie słyszał, dziewczę bystro spojrzało na Adryana, dając mu niby znak, że go zrozumiało, i zwróciło wzrok na Teodora, który oczów z niéj nie spuszczał.

— Żal mi mojéj Misi — rzekła figlarnie — najprzód moje prawo starszeństwa stracone, potém towarzyszka i przyjaciółka mi ubywa, naostatek, lituję się nad jéj losem.

— Przecież to małżeństwo nie przymuszone — rzekł Teodor — ale z przywiązania i wzajemnéj skłonności.

— A ktoby tam wierzył w męzkie przywiązanie — zawołała Liza.

— Czy i to należy do tradycyi? — spytał Adryan.

Liza się śmiała spoglądając na pana Teodora, wyzywając go oczyma; Męczyński zbierał się na jakąś ostrą i strzelistą odpowiedź, ale się lękał powiedziéć za wiele.

— Pani — rzekł wreszcie — niech się wszystkie kobiety boją, niech nie wierzą, ale nie godzi się tak mało ufać sobie, pani, co masz oręż na podbicie serc najtwardszych... w wejrzeniu, w uśmiechu, w głosie, w dowcipie...

— I w czém-że jeszcze więcéj? — spytała Liza.

— I w całéj swéj uroczéj postaci... i...

— Dziękuję panu — zawołała Liza — a jednak z całą tą postacią, nie mogłam uprzedzić Misi i nieznalazłam dotąd dla siebie Maciorkiewicza.

Imię to wymówiła z pewnym żartobliwym przyciskiem, pan Teodor pomyślał o możliwości pokrewieństwa z Maciorkiewiczami i dreszcz go jakiś przeszedł, ostygł znacznie i zamyślił się. Dziewczę to postrzegło i oczyma znowu ogrzewać go zaczęło, a że kieliszek był wypróżniony pobiegło po butelkę by go nalać, wymagając, aby pan Adryan i Męczyński wypili zdrowia, które zalegały. Stało się jak kazała.

Towarzystwo niezmiernie było ożywione, gwar panował w pokojach i w ganku, Liza pomagała matce, biegała więc ciągle i chwilami tylko zbliżała się do Teodora, który ją ścigał oczyma.

— Na miejscu pańskiem — szepnął Adryan — nie czułbym się bezpiecznym przy takiéj zwodnicy, zobaczysz pan, że padniesz jéj ofiarą.

— Niebezpieczeństwo jest w istocie wielkie — odezwał się wzdychając Teodor — ale między nami mówiąc, serce moje nie jest zupełnie wolném.

— Nie zupełnie? więc kątek jakiś zajęty? — rozśmiał się Adryan — nie mógłbym się dowiedziéć przez kogo?

Teodor napił się wina, westchnął i rzekł z powagą.

— To moja tajemnica, kiedyś, może, ale dziś jeszcze jéj

zdradzić nie mogę. Dziewczę to bawi mnie, to prawda, lecz rozum każe stronić od pokusy. Chodźmy.

Wyszli obaj na ganek, gdzie męzkie towarzystwo rozprawiało o koniach, o gospodarstwie, o myśliwstwie i innych sympatycznych przedmiotach. Adryan miał zręczność przypatrzéć się po raz pierwszy temu szczerości pełnemu, serdecznemu kółku poczciwéj szlachty, która była najpewniejsza, że ogromne brzemię pracy dźwigała na swych ramionach. Stękali wszyscy, kieliszki krążyły do koła, a pracowitsi upominali się o karty do preferansa i wista, aby nie próżnować.

Teodor zaledwie się schroniwszy tu od pokusy, i porzuciwszy Adryana, prawie natychmiast wciągniony wzrokiem Lizy, powrócił znowu do pokoju. Nigdy może tak wielkie mu nie groziło niebezpieczeństwo. Dziewczę, jak ostrogą ukłute zaręczynami siostry, dobijało nieszczęśliwego Męczyńskiego, który się bronił tylko wspomnieniami hrabiny trochę, a nazwiskiem Maciorkiewiczów...

Rodząca się namiętność zaczynała sofizmatami zasłaniać się od napaści. Można się przecież było wynieść gdzieś tak daleko, aby tam o Maciorkiewiczach słuch nie dochodził. Liza tego dnia wydawała mu się tak piękną, tak pełną życia! Nie właściwiéj-że było jéj młodością dopełnić swéj dojrzałości, niż sprzęgać dwie istoty przeżyte, jak on i hrabina?

Wszystko to mówił sobie pan Teodor, i już, już nabierał odwagi do stanowczego kroku, gdy wiekowi właściwa obawa i brak téj woli sprężystéj, co do czynu popycha, cofały go i onieśmielały.

Lizie zdawało się, że już dosięga celu, gdy nagle stary kawaler stygł, ziąbł, zamyślał się i milczący odchodził. Stało się to i teraz, bo zaledwie kilku słowy począł sentymentalną rozmowę, która daleko bardzo, z pomocą zręcznéj współuczestniczki, zaprowadzić go mogła, gdy się Maciorkiewicz nawinął, oblał go jak zimną wodą i pan Teodor na ganek powrócił.

Adryan, zdrajca, skorzystał z tego i wsunął się do salonu, w którym panna starsza gospodarowała.

— Co téż pani za nielitościwą jesteś — rzekł — dla tego nieszczęśliwego Teodora!

— Ja? ja? — niby przestraszona spytała Liza — nie rozumiem.

— Rozumiész pani doskonale — mówił Adryan — a gdybyś nie rozumiała, to się domyślisz. Niegodzi się tak męczyć tego biednego człowieka. Wszakże on widocznie najokrutniéj jest zakochany.

— W kim? — z udaną powagą spytało dziewczę.

— No, nie powiem, jeśli pani nie wiész — rozśmiał się Adryan — ale rachuję na to, że téj osobie w któréj on się tak zapamiętale kocha, zechcesz pani powiedziéć, aby mu trochę odwagi dodała. Pan Teodor jest mąż dojrzały — mówił żartobliwie ciągle chłopak — a w jego wieku ludziom zbywa na silnéj woli, potrzebują aby im zadać nieco gwałtu, aby im litościwą dłoń podać. Pani mnie rozumie?

— Nie zupełnie — odparła Liza — bo zkądże pan wiedziéć możesz, czy ta osoba, ten ktoś, życzy sobie ośmielać pana Teodora, a nie przeciwnie?

— Spodziewam się tego — odezwał się Adryan — bo pan Teodor jest człowiek miły, dobry, zacny i godzien sympatyi.

— Ale sympatye się rodzą, a któż wie?

— Jeśli jéj nie ma, nie trzeba przynajmniéj zostawiać go w błędzie, i okazać mu, że może sobie szukać jéj gdzieindziéj.

— Przepraszam pana — śmiejąc się i mrużąc oczki rzekła Liza — daj mi pan słowo, że powiész prawdę! Czy proszono pana o pośrednictwo?

— Daję słowo, że nie — odparł Adryan.

— Więc tak, przez miłosierdzie nad tym nieszczęśliwym?

— Nie inaczéj.

— Cóż to za dobre serce! — parsknęła Liza spoglądając mu w oczy.

— Pani jesteś tak zachwycającą istotą — zakończył Adryan — że każdy by jéj służyć pragnął, ale jesteś niedoświadczoną, przynoszę więc tylko dobrą radę, ot tak, czy się zda na co, czy nie, i rzucam ją pod nóżki pani, choćbyś ją zdeptać miała.

Liza się zarumieniła czując odgadniętą, zakręciła się, spojrzała bystro, nieodpowiedziała nic i uciekła.

Zatrzymano Adryana mimowoli, chociaż po razy kilka brał za kapelusz, chcąc się wysunąć. Zamorski miał na to sposób doskonały: zaczynał zaraz utyskiwać nad tém, że zapewne takie towarzystwo hreczkosiejów i ich proste, wiejskie przyjęcie, do smaku paniczowi być nie mogło. Naturalnie trzeba było czynem protestować przeciw temu przypuszczeniu i zostać na dłużéj. Nad wieczór, podano przez pożyczanego kuchmistrza wystylizowany obiad, do którego i gość przypadkowy zasiąść był zmuszony. Teodor znalazł się, istotnie mimowoli, koło panny Lizy, zdawało się to być w przeznaczeniu.

Naprzeciwko posadzono Adryana, który mógł czynić postrzeżenia nad bardzo trafną metodą kokietowania na przemiany zaczepnego i odpornego panny Lizy. Potrafiła ona do końca obiadu tak wyłącznie opanować dziedzica, że nie obawiając się nawet oczów licznych świadków zwróconych na siebie, cały nią tylko był zajęty, a gdy od stołu wstawano, podał jéj rękę i przy czarnéj kawie jeszcze poczętą przeciągał rozmowę.

Ku wieczorowi potrafił wreszcie Adryan, z wielką przebiegłością zdobywszy swój kapelusz, wysunąć się przez ogród, aby powrócić do Zamostowa. Już oddychał swobodniéj po téj wrzawie, gdy szybkie kroki usłyszał za sobą i uczuł się za rękę pochwyconym. Był to pan Teodor, który z odkrytą głową wymknął się za nim i cały zdyszany zawołał mu nad uchem:

— O... włos!

Niezrozumiały był ten wykrzyknik, ale wnet nadszedł komentarz.

— Co? — spytał Adryan.

— O włos, żem głupstwa nie zrobił — westchnął stary kawaler — dziewczyna mnie opętała, miałem już na ustach słowo, któreby mnie było związało! Szczęściem, wczas rozum przyszedł. Już nie powrócę do nich, nie, nie... Dosyć tego igrania z ogniem.

— Szanowny panie — rozśmiał się chłopak — ale dlaczegóż nie masz odwagi, jeśli na ochocie nie zbywa?

— Tak! zapewne, ale widzisz... Te dwie metryki, a potém, widzisz, ci Maciorkiewicze, a naostatek, to śliczne dziewczę może odszedłszy od ołtarza dopiéro przekonać się, że kochać mnie nie potrafi. Nie! nie! nie!

Pan Teodor po obiedzie był trochę zanadto ożywionym i szczerszym niż kiedykolwiek.

— Wiész co? — rzekł — dla mnie ideałem jest nie ta pokusa, ale, już ci się przyznam, twoja ciocia. Przed nią bym padłszy na kolana oświadczył się w pięć minut, gdyby na mnie okiem rzucić raczyła!

— Ah! — zawołał Adryan zdziwiony — bardzo mi pana żal, żeś tak niewygodnie swój sentyment umieścił. Ciocia była długo nieszczęśliwą, i nie wiem, by drugi raz chciała iść do ołtarza. W najszczęśliwszym razie, zresztą, czyż nie widzisz pan, że stokroćbyś był z nią w trudniejszém położeniu, niż z tą różową i białą pokusą, dla któréj sam możesz być ideałem, i która cię słuchać będzie, gdy z moją ciocią...

Niedokończył.

— Rozumna uwaga, za którą dziękuję — odpowiedział Teodor — ale cóż, gdy tam serce ciągnie.

— A do Lizy?

— E! to płocha pokusa.

Zaczęli się śmiać, pan Teodor odprowadził Adryana do ganku, pożegnał go, postanowił jak najmocniéj na folwark już nie

powracać, zasiadł w swoim pokoju, ale w kwadrans, Zamorski, Maciorkiewicz i trzech obywateli przyszli za zbiegami, aby ich prosić, by towarzystwa nie pozbawiali tak drogiéj ozdoby i uczynili mu zaszczyt dotrwania z niemi. Adryana już nie znaleziono, Teodor padł ofiarą, powracać musiał, pił znowu i całego rozumu swego potrzebował, by po wieczerzy sam na sam w oknie stojąc z Lizą, nie wyrzec nieodwołalnego słowa.

Tego dnia jednak na wargach mu drgając, nie przeszło ich. Teodor został ocalony. Liza nad rankiem rozbierając się w swoim pokoiku, zamyślona, tupała nóżką z niecierpliwości.

— To niegodziwy uwodziciel i zdrajca! — mówiła — gdybym się nie wstydziła, płakałabym ze złości. Doprowadzi zawsze prawie do... do ostatniego słówka, zdaje się, że już nic a nic nie braknie, tylko dokończyć syllabę. Nie! téj jednéj syllaby niczém mu z ust wyciągnąć nie można. O! czekaj pan! gdy się pobierzemy, bo ja muszę być jego żoną, odpłacę za to, chybabym nie żyła! odpłacę!

Męczarnie pana Teodora w inny tylko sposób powtarzały się na pustelniku... Powrócił do zamku z odwiedzin w Zamostowie, w stanie ducha, który go przerażał. Zostawszy sam na sam z sobą, czuł się rozgorączkowanym, pomięszanym, a co najgorzéj, niepewnym własnych wrażeń i ich następstw.

Wieczór był gdy się z Adryanem rozstali, i pan Krzysztof przeszedłszy pieszo ścieżynkę od krzyża do zamku, znalazł się w spokojnym swoim dziedzińcu, okolonym murami, a dwa Hermesy, stary i młody, wyszedłszy na spotkanie, lizały mu ręce, skacząc i witając.

Cisza i spokój téj kamiennéj trumny, otoczyły go znowu, ale do koła głowy czuł ulatujące jak mary, słowa, dźwięki, wspomnienia, nawet nadzieję. To ukojenie, którém go karmiła jego pustelnia, już z niéj uciekło, została tylko grobowa cisza i tęsknota. Minął dziedziniec, nie powitał słowem starego sługi, poszedł roztargniony wprost na górę do swojéj izby.

Na stoliku stał przygotowany talerz poziomek, przysłany przez Dosię, pan Krzysztof spojrzał nań i nietknął. Stary przyniósł świecę i postawił przy oknie, na zwykłém miejscu, ale próżno czekał, aby mu co powiedział pan Krzysztof i wysunął się w końcu z westchnieniem.

Znał on już z oznak zewnętrznych, ten stan duszy swojego pana, który zburzonym będąc zwykle, błędny, godzinami bił się po swém mieszkaniu, jak w klatce! Tym razem tylko zapomniał o towarzyszce zwykłéj swych dumań—o fajce. Z rękami zaciśniętemi na piersiach, z głową spuszczoną, chodził, stawał. Powtarzał sobie każde słowo Wandy, od pierwszego z nią spotkania w parku aż do pożegnania, każde z nich tłómaczył, rozbierał, ważył. Nie ze wszystkich swych odpowiedzi był zadowolonym, znajdował, że więcéj, że szczerzéj mógł się wynurzyć przed nią, zdawało mu się, iż powiedział za mało, a nie to, co był powinien. Wnikał w jéj duszę, i nie był pewnym, czy ją zrozumiał. Wszystko dlań było wątpliwém.

Czasami znajdował w niéj dawną swą ukochaną Wandę, znajomą, to znowu, inną, drugą, podobną do tamtéj, ale ostygłą i niewiary pełną. Dwie jakby postacie łączyły się w jednéj, dwie twarze miała ta żywa, oblicze umarłéj i rysy wskrzeszonéj.

Z przestrachem porywał się za piersi, w któréj serce biło; znowu czuł, że kochał, że dał się wyciągnąć do świata żywych i że strącenie go napowrót do mogiły, byłoby śmiercią straszliwszą nad tę, którą się przemęczył.

Co miał począć? sam nie wiedział, dokąd uciec? czy z przeznaczeniem się zgodzić i odrobiną kropelką zwilżając spiekłe usta, czekać, aż ducha z nich resztka uleci.

Pomimo téj mocy, jaką miał nad sobą, pan Krzysztof przekonał się, surowo badając, że do dawnego stanu powrócić nie potrafi. Do szczęścia nie miał ni prawa, ni nadziei osiągnięcia go, ale dla czegóż miał odpychać cień jego?

Rozmyślając wpadł na to postanowienie, iż mu starczy wi-

dzićć, słyszéć, być przypuszczonym przed jéj oblicze i karmić się okruszynami. To dlań było dozwoloném, dlaczegóż miał chciéć wszystkiego lub nié, i nie przyjąć w pokorze jałmużny? Dawniéj byłby pewnie oburzył się sam na taki wydział połowiczny szczęścia, na cień jego, zamiast rzeczywistość; dziś gotów był przyjąć niewiele, aby nie wracać do pustyni i ciszy.

Zamek wydał mu się ponurym, brudnym, nieznośnym. Na ścianach jego wisiały wszędzie wspomnienia męczarni długoletnich, jak te zeschłe głowy i ćwierci ciał, które na grozę zbrodniarzy dawniéj na blankach twierdz rozwieszano.

Dumając, ani się spostrzegł, jak świeca dogorzała w lichtarzu, zasyczała i zgasła. Znalazł się sam, w ciemnościach, a przez szyby okien wpadał brzask dnia wczesnego, który już na wschodniem rodził się niebie. Zmęczony rzucił się na posłanie. Jedynym ratunkiem na ten stan niepokoju, było znużenie cielesne.

— Jutro w las! w las! — rzekł, kładąc się — kilka dni w ostępach, kilka nocy na barłogach, głód, trud, bezsenność, złamią i... uleczą.

Gdy się zbudził, słońce już było wysoko, obawiając się jakiéj przeszkody, natychmiast porwał strzelbę, zawołał Hermesa, zapowiedział w domu, że nie powróci pewnie dni kilka i uciekł ścieżyną w głąb swych lasów.

W torbie miał trochę chleba, trochę wody w blaszance, i flaszeczkę z wódką; starczyło mu to na długo. Jagody w lesie koiły pragnienie, i zaspokajały głód, wreszcie miał zawsze chatę Wilczków, jako schronienie, gdyby się czuł nadto znużonym.

Błądzenie to po lesie, dawniéj tak skuteczne, teraz wszakże prawie było niepodobném. Siadał co chwila i dumał, lub roztargniony rozbijał się o drzewa. Ptastwo i zwierz pierzchały mu prawie z pod nóg bez wystrzału.

Dwa dni i dwie noce spędził w takiéj wędrówce bez celu, po różnych zakątach, nie zaglądał nawet do Wilczków, bo i tam lękał się znaléźć wspomnienia i zamiast pokoju, rozdrażnienie no-

we. Wreszcie znużenie i wyczerpanie zupełne, trzeciego dnia zaprowadziły go do zagrody leśniczego po południu.

Dosia spostrzegłszy go zdaleka, jak zawsze, wybiegła na spotkanie i zabrała mu torbę i strzelbę, pocałowawszy go w rękę. Spojrzała mu w twarz i znalazła go bardzo mizernym i bladym.

— Znowu pan pewnie kilka dni po lesie błąkać się musiał, bo widać, jak okrutnie zmęczony. No, czy to się godzi! Pan mnie nauki daje, a mógłby mnie posłuchać.

Wyszła i pani Wilczkowa.

— Pewnie pan głodny! Słyszę trzeci dzień, jak z zamku! — miłosierny Boże, a toż się pan zamęczy!

Pan Krzysztof prawie nic nie odpowiadając siadł na przyźbie. Zakręcili się zaraz wszyscy, aby go czém posilić. Wilczek, który już od półtora dnia niespokojny zdaleka się za nim włóczył niepostrzeżony, także nadszedł z innéj niby strony do domu. Dosia, która dawniéj umiała go rozweselić i usta mu rozwiązać, tego dnia mimo szczebiotania, dokazać tego nie mogła. Patrzał na nią nie widząc i milczał. Podano na prędce co w chacie było gotowego, bo się go po troszę spodziewano, pan Krzysztof ledwie czego dotknął i zabierał się spoczywać, gdy drogą po nad zagrodą ujrzano posuwający się powóz, któremu się kazano zatrzymać.

Nie dostrzegłszy jeszcze, kto w nim był, pan Krzysztof natychmiast pierzchnął z ławy, na któréj siedział i schował się do dworku.

Z powozu wysiadała właśnie hrabina Wanda, która przybyła sama jedna, nie wziąwszy nawet z sobą nieodstępnéj towarzyszki, panny Kornelii. Służący tylko szedł za nią.

Do dworku Wilczków rzadko kto, mimo jego położenia nad drogą zachodził, zdziwili się więc wszyscy postrzegłszy piękną panią, która zwolna, rozglądając się weszła na podwórko i skierowała się ku chacie. Wilczek znał hrabinę z widzenia, i jako gospodarz posunął się na jéj przyjęcie. — W progu dworku

stała opodal nieco Dosia, fartuszek trzymając pod brodą, wcale niezmięszana tém niespodzianém zjawiskiem. Trochę głębiéj za nią, bojaźliwie wyglądała sama Wilczkowa. Grzmilas był zamknięty, a Hermes pana Krzysztofa, który dla pań pięknie ubranych miał poszanowanie, wystąpił z Wilczkiem na powitanie z taką uprzejmością, jakby był jéj dawnym i dobrym znajomym.

— Choć nieznajoma panu Wilczkowi — odezwała się hrabina — ale znając go z jego gościnności, pozwoliłam sobie zajść tu, aby chwilkę spocząć... a jeśli będziecie łaskawi mi dać szklankę mléka...

— Pani hrabina — odezwał się stary kłaniając — wcale nie jest nam nieznajomą. A któż to pani na okół nie zna, i kogo pani kiedy nie poratowała? Toć to szczęście takiego miéć gościa... bardzo proszę — mówił prowadząc. — Dosiu! — zawołał — krzesełka...

Hrabina ciekawém okiem rzuciła na dziewczę, ale jéj znikło. W chwileczkę potém niosła już zarumieniona stołek i ustawiała go przed dworkiem. Miała więc pani Wanda czas dobrze się jéj przypatrzéć. Dosia była, jak na dzień powszedni, ubrana bardzo skromnie, w koszuli, kaftaniku, spódniczce ciemnéj i fartuszku nie bardzo białym. Nie miała nawet trzewików, a ręce zakasane po za łokcie, zarumienione i opalone. Już chciała uciekać Dosia, gdy hrabina chwyciła ją za rękę i zatrzymała.

— Zatrzymaj-że się, moja piękna panno Dosiu — odezwała się słodkim głosem, wesoło — tylem o was słyszała, że radabym poznać bliżéj.

Dziewczę wcale bojaźliwém nie było.

— Pani słyszała o mnie? A od kogóż? — zawołała.

— A! od bardzo wielu osób.

— Od wielu! — powtórzyła Dosia myśląc — to już nie wiem, bo my tu mało kogo widujemy. Chyba, jak nasz pan był chory, to tu więcéj się czasem gości trafiało, a tak...

— Pusto tu, cicho, ale ładnie — mówiła hrabina — a nie tęskno?

— Tęskno? a dlaczegóżby tęskno być miało, tać to raj, proszę pani — szczebiotało zupełnie już ośmielone dziewczę. — Taki śliczny las dokoła, łąki zielone, cicho, tylko pracować i modlić się, a Pana Boga prosić, aby ztąd nie wypędził.

— Szerszego świata nie jesteś ciekawa? — zapytała hrabina, a ojciec odpowiedział, uśmiechając się, za nią.

— My tu wszyscy swojemu radzi.

— Przecież — odwracając się ku niemu rzekła Wanda — Dosi by nie zawadziło i coś więcéj widziéć i trochę się rozpatrzéć.

— A jéj to po co? — odezwał się Wilczek — wysokiéj edukacyi my nie potrzebujemy, a co dla zbawienia duszy wiedziéć potrzeba, to się nauczyło.

— Główkę, słyszę, ma Dosia bardzo otwartą — wtrąciła hrabina.

— A no, na to się skarżyć nie mogę — począł Wilczek — dziewczyna roztropna... Com téż ja umiał, a z książek miał i wiedział, tém się z nią podzieliłem.

Hrabina wpatrywała się w nią bacznie, ale i Dosia równie ciekawa badała strój, twarz i każdy ruch pięknéj pani.

— Pewnie to najlepsza nauka, co z ojcowskiego serca płynie — ciągnęła daléj Wanda — ale pan Wilczek na to nie może miéć widzę czasu.

— A ja téż, proszę pani — odezwała się Dosia. — O! żeby tak czas! jabym się uczyła bardzo chętnie i czytała a czytała, ale matce trzeba pomódz, a tu koło domu dużo roboty. Mamy proszę pani krówki i ptastwo, i gospodarstwo, no i o krośnach nie można zapomniéć, a ogród! to téż pilności potrzebuje. Dzień od brzasku do wieczora jak mignął, i już go nie ma. Chyba w święto, albo w niedzielę, to się tam jaką godzinę poczyta.

— Ale to prawdziwie szkoda — mówiła hrabina — że

przy takiéj ochocie tak mało czasu. Coś by na to poradzić potrzeba, panie Wilczek.

Zamilkła chwilę, jakby się namyślała.

— Juściżby się kimś posłużyć znalazło, a Dosię by doprawdy trzeba dać jeszcze na naukę.

— A! niech Pan Bóg obroni! — zawołał Wilczek — niech Matka Boska uchowa. Jabym ze strachu zdechł, żeby mi poczciwego dziewczęcia nie popsuli, a głowy mu nie przewrócili!

Dosia się uśmiechnęła, kręcąc głową.

— Bo by téż można Dosię powierzyć nie na takie ręce, gdzie sumienia nie ma.

— Ale nie! nie! — dodał Wilczek — lepiéj tak jak jest!

Całéj téj rozmowy przez na wpół otwarte okno dworku słuchał pan Krzysztof i serce mu biło. Czuł się wzruszonym, rozrzewnionym prawie. Usposabiał go ku temu stan jego duszy. Chciał wyjść, pokazać się, wmięszać do rozmowy, i nie śmiał, kilka razy poruszał się już i wstrzymywał, wreszcie nie mogąc wytrwać tak dłużéj, wyszedł z chaty.

Wanda obróciła się słysząc kroki czyjeś, postrzegła go i mocno się zarumieniła. Krzysztof miał twarz wypogodzoną, tak jak jéj nie widziała jeszcze.

Zbliżył się z uśmiechem ją witając.

— Nie mogę dłużéj podsłuchiwać rozmowy — rzekł — i siedziéć w ukryciu... Przychodzę za moją wychowankę podziękować

— Siadaj-że pan — odezwała się hrabina, a kiedy los tak zdarzył, że tu jesteś, czemum niewymownie rada, musimy razem coś dla téj miłéj wychowanki obmyśléć, nieprawdaż?

— A możemy się posprzeczać? — zapytał Krzysztof, któremu Dosia właśnie drugi stołek przyniosła i ustawiła. Chciała odejść zaraz, lecz hrabina dała jéj znak by pozostała.

— Sprzeczajmy się, byleśmy się nie gniewali, gniew własny i cudzy ciężą na duszy.

— Słyszałem, żeś hrabina życzyła dla Dosi wychowania

i nauki... mnie się zdaje — rzekł Krzysztof —iż jest pewien stopień obojga wystarczający do rozwinięcia moralnéj strony człowieka, bez niepokojenia go i przeszkadzania mu do jego powołania... Dosia właśnie jest w tym stanie szczęśliwym, który starczy jéj potrzebom. Nauka czasem bywa, jak fabrykowane piwo, zamiast koić pragnienie, budzi je do nieskończoności.

— Tych wszystkich obaw ja nie podzielam — odeżwała się Wanda — im człowiek staje wyżéj, tém widzi lepiéj. Nauka, to uzbrojenie do życia, nadto go miéć nie można.

— Nie chcę się sprzeczać z panią — po cichu dodał Krzysztof — zwłaszcza, że życzenie jéj z tak pięknych wypływa pobudek.

— Szczególniéj z téj, że jak wszyscy mówicie i ja sama widzę — przerwała hrabina — zdolności są wielkie, których zagrzebywać nie należy.

— Więc cóż? oddamy ją na pensyę? ah! — zawołał Krzysztof — biedne dziewczę wymęczyłoby się okrutnie.

— Ale nigdy w świecie — poczęła żywo Wanda — trzeba, żeby ktoś z miłością i poświęceniem się nią zajął.

— Gdzież znaléźć kogoś takiego?

Hrabina zmilczała nieco, podniosła głowę, spojrzała na Krzysztofa i uśmiechnęła się.

— A mnie byście ją nie powierzyli? — spytała — mieszkam tak blizko, że ojciec i matka widywać by ją mogli, onaby do nich dojechać i dojść nie miała trudności, jabym miała zajęcie, a w dodatku pan Krzysztof dla wychowanki przyszedłby mnie téż może czasem odwiedzić.

Uszom swym nie chciał wierzyć stary, a Dosia poczęła patrzéć z większą coraz uwagą na hrabinę.

— A! pani — zawołał Krzysztof — to chyba niepodobna, takie poświęcenie.

— Ale to byłoby najmilsze w świecie zajęcie, jabym to za łaskę poczytywała.

Dosia wcale nie opierała się rzuconéj myśli, rozbierała ją w duchu.

Przywołano Wilczka, który się był usunął.

— Słyszysz, co hrabina wnosi? — rzekł Krzysztof — radaby Dosię wziąć na jakiś czas do siebie.

— Do garderoby? — spytał Wilczek marszcząc się.

— Nie, nie, do mnie, przy mnie by była, czytałybyśmy razem i bawiłybyśmy się rozmową. Kiedy niekiedy mogłaby tu przyjechać.

Stary poszedł w rękę pocałować hrabinę, oczy mu pojaśniały.

— Ale czyżby to mogło być? a...

— Gdyby jéj źle i nieznośnie było, wszakżeby każdego czasu powrócić do was mogła.

W ten sposób rozpoczęło się traktowanie o Dosię, a ta milcząc słuchała go nie odzywając się ani słowa. Mówiono za i przeciw, wezwano matki, która niepewną była, czy ma się cieszyć, czy płakać, naostatek wyrok o sobie zostawiono jéj saméj.

Hrabina patrząc jéj w oczy ujęła jéj opaloną rękę i spytała:

— Jakże ci się zdaje, możesz mi zaufać? chcesz jechać ze mną?

Stała Dosia milcząca, spojrzała na Krzysztofa, który po sobie nic poznać nie dawał, na ojca milczącego także, na matkę widocznie zaniepokojoną, zdała się ich pytać i badać, jakie to na nich uczyni wrażenie.

— Jeśli rodzice i opiekun pozwolą — rzekła — a no, to z ochotą, tylko matusi trzeba kogo dać, coby jéj pomagał, bo sama nie wydoła, albo gospodarstwo upadnie.

— O tém ja pomyślę — zawołała hrabina.

Dosia przyklękła u kolan Wandy.

— No, to mnie pani bierz, jeśliś łaskawa, będę cię słuchać jak matki.

Pocałowawszy ją w obie ręce, pobiegła ojca, matkę i pana

Krzysztofa całować rozradowana i wzruszona. Nagle spojrzawszy po sobie, stanęła, jakby przestraszona.

— Ale jak ja się tak we dworze pokażę! a! mój Boże! to się dopiéro ludzie będą śmieli! Tu w chacie wszystko dobre, ale tam...

— Na to, poradziemy! — szepnęła hrabina — ja jutro po was przybędę ze wszystkiém, co potrzeba; pojedziesz ze mną.

Ktoby się był przypatrzył panu Krzysztofowi, jak się wśród téj rozmowy mienił, jak chłód z siebie zrzucał, jak coraz śmieléj zbliżał się do hrabiny, zdziwić by się musiał nagłéj metamorfozie. Szczęście, którego doznawał, przeistoczyło go zupełnie, dawna owa dobra, łagodna, żywa i śmiała Wanda znowu stała przed nim. Miał prawo zbliżyć się do niéj, mówić, patrzéć, czegóż mu więcéj było potrzeba? Wychowanka stawała się węzłem, który łączył ich na nowo.

Hrabina także czuła się tego wieczora szczęśliwszą, niż od dawna była, nie wiedząc czém, dobra myśl, dobry uczynek wlał w nią życie, którego jéj brakło. Ucałowawszy Dosię i szepnąwszy jéj na ucho, że jutro przyjedzie z południa po nią, siadła do pojazdu i odjechała. Gdy znikło im z oczu to zjawisko, dopiéro się całéj rodzinie rozwiązały języki swobodniéj. Wilczkowa zaczęła płakać nad utratą córki, znajdowała tyle niebezpieczeństw na dworze, iż jéj od siebie puścić znowu nie chciała, ojciec sam nie wiedział co począć, pan Krzysztof milczał. Trzeba się było dać wszystkim myślom i uczuciom wydobyć, wymówić i samym się przewalczyć. Ku wieczorowi w istocie uspokoiła się matka, ojciec rozweselił, a Dosia, która na chwilę nie straciła odwagi i nie zachwiała się gdy jéj wolę zostawiono, oświadczyła stanowczo, że pojedzie. Wreszcie i pan Krzysztof był w końcu za tém, ale bez łez i troski obejść się nie mogło tak ważne postanowienie, a matce zawsze ta mila odległości wydawała się gdzieś za światem. Dosia raz w tydzień obiecywała odwiedzać rodziców.

W rozmowie téż nieznacznie wspomniała hrabina, że jéj sio-

strżeniec odjeżdża i zapewne przez czas długi w Zamostowie bywać nie będzie mógł, dla nauk, które musiał dokończyć. Wpłynęło to wielce na zgodę ze strony pana Krzysztofa.

Panna Kornelia, która przejażdżką hrabiny była wielce zaintrygowaną, gdyż celu jéj nie wiedziała, a domyślała się jakiegoś niebezpieczeństwa, czekała na powrót niecierpliwie. Wanda wysiadła w dobrym humorze, weszła i powitała ją tém, że ma jéj dobrą zwiastować nowinę.

— Dobrą? tom bardzo ciekawa, co też to być może — spytała Kornelia — a gdzież pani była, jeżeli zapytać wolno?

— Jeździłam po nad granicą i lasami, a odpoczywałam kilka chwil u Wilczków, gdziem spotkała pana Krzysztofa. Jestem z tego bardzo rada, bom z nim zawarła znowu zgodę i jesteśmy przyjaciołmi.

— A! i to ma być ta dobra nowina? — spytała Kornelia zagryzając usta.

— To jedna, a drugą jest, żem sobie wzięła jeśli nie na wychowanie, bo to by było może za późno, to na wykształcenie jéj nieco, Dosię! córkę leśniczego.

— A! tę sławną Dosię! tę nieporównaną, którą się to wszyscy tak zachwycają.

— Tę samą — odpowiedziała spokojnie hrabina — jest-to w istocie miła i zdolna dziewczyna, chciałabym przyłożyć się w czémś do jéj wykształcenia.

— Pani ją bierze do garderoby? — zapytała Kornelia.

— Wcale nie, będzie przy mnie — odezwała się hrabina — będzie ze mną.

Kuzynka zamilkła widocznie dotknięta tém, że leśniczanka miała zasiąść może obok niéj na krzesełku.

— Pańska fantazyjka! droga pani — poczęła z uśmiechem ironicznym — ale ja nie mam w tém głosu, wychowasz pani koczkodona i niewdzięcznicę, głowa się jéj przewróci, ale cóż to do mnie należy.

— Czasem gdy się ma dobre intencye to i fantazye mićć wolno — zakończyła hrabina.

Na tém przerwano rozmowę, panna Kornelia usunęła się zburzona i niemal gniewna.

— Zobaczemy — rzekła — jeśli położenie moje stanie się do nieznieslenia, trzeba będzie inaczéj pomyśléć o sobie.

Bądź co bądź z usposobienia panny Kornelii łatwo wnieść było i gospodyni, że Dosia będzie miała wiele do przetrwania ze starą panną. Zapobiegając jak najtroskliwiéj stykaniu się ich z sobą, tegoż dnia gabinet przy swéj sypialni kazała hrabina urządzić dla Dosi, i cały wieczór temu poświęciła.

Panna Kornelia przyszła niby w pomoc, ale nie mogła się wstrzymać od ostrych słówek i żarcików. Czuła, że ofiara ta wyśliznie się z jéj rąk, już zaostrzonych na przyjęcie. Poczęła ją nazywać nie inaczéj, jak faworytką. Hrabina zdawała się na to nie zważać wcale.

Adryan, który późno z polowania powrócił, dowiedziawszy się o tém, co już w całym dworze było głośném, poleciał dziękować ciotce.

— Proszę cię, żadnych podziękowań, bo ja to nie dla ciebie czynię, ale z egoizmu, dla siebie; poddałeś mi myśl, za którą ci jestem wdzięczną. Na nieszczęście spełnienie jéj musi być hasłem do twojego odjazdu. Nie mogę na to pozwolić, abyś mi ją tu bałamucił.

— Jadę — rzekł Adryan posłusznie, całując ją w rękę — wprawdzie parę dni dłużéj potrzeba mi się było zatrzymać, ale te przebędę u Teodora. Ciocia ma słuszność, i ani słowa. Kiedyż przybywa wychowanka?

— Jutro!

— Więc ja raniuteńko się do Zieleniewszczyzny przenoszę.

— Jeszcze raz ci dziękuję za myśl dobrą, któréj się cała chcę poświęcić; zbliżyła ona do mnie i przejednała ze starym

przyjacielem, panem Krzysztofem. Spodziewam się, że przed odjazdem pojedziesz do niego na pożegnanie.

Adryan spojrzał na hrabinę, mówiła jakoś tak spokojnie, tak łagodnie, że mu dodała śmiałości do wystąpienia z tém, co mu na sercu leżało...

Pocałował piękną rączkę raz jeszcze.

— Gdy się zuchwałemu raz coś uda, to on jeszcze bardziéj się uzuchwala — odezwał się — niech mi ciocia pozwoli być szczerym, albo zamknie od razu usta. Pan Krzysztof kochał, kocha i kochać musi ciocię, czyż nie należałoby miéć litości nad nim.

— Adryanie, o tém ani słowa — poważnie zaczęła hrabina — wkraczasz już w te sfery, których prawa nie masz dostąpić, chcę być w zgodzie z panem Krzysztofem, ale nic więcéj, rozumiész mnie, nigdy, nic więcéj...

Wstała zarumieniona cała.

— Przepraszam — rzekł Adryan — zdawało mi się, że szczęście cioci...

— Ja jestem zupełnie szczęśliwą, i tego, co mam, stawić nie myślę na kartę. Zostaw mnie saméj sobie. Chcę być swobodną. Życia zostało nie wiele, lata biegną jak strzały, dobijem się tak jakoś do końca. O szczęściu, o jakiém wy marzycie młodzi, nam się już myśléć nie godzi. Dosyć, mój Adryanie, proszę cię.

Zamilkli więc. Jakiś czas trwało milczenie to, ale hrabina chodziła po pokoju poruszona, i długo się uspokoić nie mogła.

Chłopak zaczął mówić o czém inném, posiedział jeszcze, i zapowiedziawszy, że nazajutrz rano wynosi się do pana Teodora, a raz tylko przyjedzie jeszcze na pożegnanie, wyrzekł dobranoc i wyszedł. Zostawało mu przed odjazdem wiele do czynienia, chciał być u Pawłostwa, u Krzysztofa, i uspokoić się, że Teodor przestanie nudzić hrabinę. Co do kasztelanica, o tego los był spokojnym, nie pojmował bowiem, ażeby się mógł podobać.

W Zieleniewszczyznie zastał starego kawalera w uporządkowanym nieco ogrodzie, który teraz wcale czysto wyglądał, świeżo

wynudzonego przez starego Olszaka i zadumanego o przyszłych losach. Pan Teodor ziewał mocno, i na losy swe narzekał. — Był w tém usposobieniu, w jakiém się szczególniéj starzy kawalerowie często znajdują, gdy chmury obloką im horyzont i wszystko wydaje się czarném, okropném, rozpaczliwie smutném.

— Masz pan załogę ze mnie na trzy dni — rzekł podchodząc Adryan. — Ciotka mnie wypędziła z Zamostowa, a że przede dniami trzema wyjechać nie mogę, stawam u pana na egzekucyi.

— Jakto, wypędziła? cóżeś zbroił? czy może jaka awanturka w garderobie?

— Uchowaj Boże! wcale nie jestem skłonny do tego, ale hrabina bierze na wychowanie Dosię i uważa, że tam, gdzie ona ma być, ja jestem niebezpieczny i nieprzyzwoity; kazała mi jechać precz. Jadę.

— Co? co? co? Dosię bierze hrabina? zkądże, na miły Bóg, do tego przyszło?

— No, z dobrego serca.

— Czy z nudów może, ale czemuż lepiéj za mąż nie idzie?

— Spytaj pan ją! ja nie mogę! — śmiejąc się rzekł Adryan. — Przyjmujesz mnie pan na trzy dni?

— Na trzy miesiące, trzy lata! — zawołał ściskając go Teodor — témbardziéj, że mnie formalny spleen napadł. I dziw! Nieszczęśliwszéj doli nad moją, nie znam. Nigdy mi się w życiu nic nie udało.

— Wiész pan dlaczego?

— Szukam właśnie przyczyny.

— Ta jest bardzo prosta, nigdyś pan do niczego nie przywiązywał takiéj wagi, aby chcieć prawdziwie i wytrwale dążyć do tego wszelkiemi siłami. Przysłowie łacińskie mądrość narodów, powiada: *Amor* i *Labor*, wycięża wszystko.

Teodor ramionami ruszył.

— No, niech sobie będzie jak chce, dosyć, że mi na świecie wszystko opak idzie. Co tu począć? co począć!

Zamyślony przechadzał się i wzdychał.

— Przyjacielu kochany, trzeba chcieć i mieć wolę, to wasza rzecz. Ja potrzebuję się z Krzysztofem pożegnać, jedziesz pan ze mną?

— Dziś? nie mogę za nic! — przerwał Teodor — jutro.

— Zajęty pan dzisiaj jesteś?

— Tak, zajęty jestem, tak — powtórzył roztargniony pan Teodor.

Przeszedł się parę razy po ścieżce, dobył z kieszeni chustkę, zawiązał na niéj węzełek, zmięszał końce, zebrał je w rękę i patrząc na nie chodził znowu.

— Ciągnij pan węzełek i rozstrzygnij o moich losach — rzekł do Adryana.

Chłopak śmiać się począł.

— W ślepe losy nie wierzę — kłaniając się i cofając, odparł Adryan — nie ciągnę, ale o cóż chodzi?

Gorączkowo jakoś schował pan Teodor chustkę do kieszeni.

— Na starość człek głupieje — odezwał się smutnie.

— Nie, ale słabnie.

— To wychodzi na jedno.

Rozmawiali o wszech rzeczach, między innemi o hrabinie, za którą jak najuroczyściéj zaręczył Adryan, że za mąż iść nie myśli, co zasmuciło Męczyńskiego na chwilę, aż z folwarku nadszedł Zamorski zapraszając na obiad. Pan Teodor wcale u siebie kuchni nie miał.

Poszli tedy do Zamorskich, gdzie kobiet nie zastali w pokoju, ale salonik cały zarzucony mnóstwem bielizny i rozmaitych części wyprawy, którą robiono dla Misi. Kobiety same się nią zajmowały.

— Wié pan co — rzekł uśmiechając się Zamorski — my ludzie w dorobku, musiemy każdą rzecz robić oszczędnie, po gospodarsku. Moja żona wyrachowała, że dwie wyprawy razem

sprawiając taniéj nam wypadną. Zachód jeden, Liza przecież kogoś sobie znaléźć musi, szyje się więc dubeltowa wyprawa!

Teodor pokiwał głową.

— Doskonała myśl! — potwierdził Adryan.

Wtém wpadła Liza i chwyciła się za potarganą główkę.

— Ot to nas panowie pięknie zastali wśród tych gałganków! Dopiéro się wyśmiewać będziecie z parafiańszczyzny.

— Przynajmniéj nie ja — rzekł Adryan — bo mi się panie przy domowych zajęciach wydajecie najpiękniejszemi.

— Taka proza! — westchnęła Liza.

— Życie jest prozą! są poezyi chwile, ale tło szare, takie przeznaczenie. W poezyi popalilibyśmy się prędko.

Lizy oczki błysnęły.

— Krótko żyć, a dobrze! — szepnęła.

— Nie długo i dobrze — poprawił Adryan.

Teodor stał nad sztuką płótna i dumał. Krajały się z niego podobno poszewki i prześcieradła.

— Dla pani także robi się wyprawa! — rzekł sentymentalnie do Lizy.

— Któż to panu powiedział? — ofuknęła żywo Liza, i pogroziła ojcu, który się śmiał, pewien, że nie zgrzeszył.

— Masz więc pani już kogoś w zapasie — mówił Teodor.

Liza figlarnie oczki spuszczała, jakby mówiła: Nie chciałeś mnie, muszę sobie innego szukać.

Męczyński był w humorze najgorszym, poszedł do okna, siadł w niem i zamyślony patrzał na obory, które wcale poetycznie ani malowniczo nie wyglądały. Liza ścigała go oczyma zdaleka. Wyszła i pani Zamorska z nożyczkami u pasa, a czepkiem trochę na bakier i Misia wreszcie dosyć smutna. Wazę niesiono na stół.

Adryan rad był odgadnąć dlaczego dziedzic dnia tego nie chciał się ruszać z domu, przeczuwał, że coś się stanowczego święciło i w milczeniu robił postrzeżenia. Ale po obiedzie na-

gle Teodor jakby zmienił zdanie, sam wniósł, żeby jechać do państwa Pawłostwa. Wymknęli się pod niebytność Lizy w salonie.

— Walczę z sobą — mruknął Teodor na ucho przyjacielowi — dziewczyna mi podobała, powiem ci szczerze, rodzice wcaleby nie byli od tego, ona oczkuje i uśmiecha się, odwagi nie mam! Wieczorem czasem już, jużbym się oświadczył, strach ogarnia i odkładam do jutra. Nazajutrz rano o białym dniu wydaję się sam sobie śmiesznym. Łysina i gdzieniegdzie siwe włosy. Tfu! do kata. Ale w końcu raz trzeba się decydować, bo tylko co niewidać drugiego jakiego Maciorkiewicza. Gdyby mi ją kto wziął, byłbym w rozpaczy, a sam się posunąć nie mam odwagi. Jedźmy do Pawłostwa, zyskam dzionek i namyślę się.

— Czy znasz pan tę anegdotkę o wiarusie, co stał dwanaście lat u wdowy na kwaterze na wsi? — spytał Adryan.

— Nie przypominam sobie.

— Posłuchaj-że jéj pan — kończył chłopak. — Dwunastego roku, gdy wiarus zawsze myślał się oświadczyć, wyszedł rozkaz do pułku, żeby zmienił kwatery. Wiarus był w rozpaczy, utrzymywał, że gdyby jeden dzień jeszcze, wszystkoby się jak najszczęśliwiéj skończyło. Boję się, żeby co podobnego nie spotkało pana.

Pojechali tedy do Pobogowszczyzny. U państwa Pawłostwa zastali po staremu wszystko. Wacek był już trzy razy u stryja, a za czwartym wybierała się z nim matka i Magdzia. Wielka panowała obawa i niepewność, jak się ten krok uda. Pan Krzysztof był już tak usposobiony, że niebezpieczeństwo zdawało się nie grozić żadne, biedna pani Pawłowa, odkładała także z dnia na dzień, nie mając odwagi do stanowczego kroku.

— Jedźmy jutro wszyscy — rzekł Adryan, którego to niecierpliwiło.

Chwycono się téj myśli, Teodor témbardziéj, że to znowu przeciągało walkę, któréj lękał się ostatecznego wypadku. Opo-

wiadanie o Dosi, o panu Krzysztofie, zajęło wszystkich, pani Pawłowa myślała, czyby nie najbezpieczniéj było przez hrabinę i z jéj pomocą dobić przejednania, ale Adryan odważnie brał wszystko na siebie.

— Kochana pani — rzekł na wyjezdném — nie odkładajmy, bijmy żelazo póki gorące, pan Krzysztof jest w dobrém usposobieniu, potrzeba z tego korzystać.

— Ja chcę dla niego urządzić w jednym z folwarków mieszkanie — dodał Paweł—po co ma się wędzić na tym starym zamku, który mu kiedyś jeszcze może runąć na głowę. Mógłby las sprzedać, a folwark okupić, albo mu go dam dożywotnią dzierżawą, bo wiem, że choć od brata darmo go nie weźmie.

— To na późniéj — dodał Adryan — najprzód niech-no lody prysną.

Umówiono się więc nazajutrz jechać do zamku. Teodor i Adryan mieli przybyć na ranny obiad i razem ruszyć do pana Krzysztofa.

Gościnni gospodarze tak wstrzymywali swych gości, że późno już wrócili do Zieleniewszczyzny. Nie było żadnego projektu wstępowania na folwark, ale przejeżdżając około niego posłyszano dźwięki fortepianu. Liza, którą cały dzień zajmowała wyprawa, wieczorem marzyła przy fortepianie. Teodor nagle powziął myśl powiedziéć dobranoc Zamorskim.

— Wierz mi, Adryanie — rzekł — to dobre wcale ludziska, prości sobie, ale co w sercu to na dłoni, żadnego fałszu, i Liza poziomeczka. Wstąpiemy na chwilkę tylko.

Zamorski palił fajkę w ganku, zerwał się uszczęśliwiony.

— Tylko dobréj nocy państwu życzym i uciekamy! — krzyknął Teodor.

Muzyka ustała, Liza wypadła na ganek.

— Takeś mnie pan nastraszył! Słyszę krzyk, myślałam, że się pali!

— Pani — szepnął Adryan — w sercu pana Teodora istotnie się pali, ale...

Liza się odwróciła od niego.

— Bez ponczyku panów nie puszczę. Moja żona tak poncz lekki robi, najlepszy do poduszki, że w życiu nic podobnego nigdzie nie piłem... po szklaneczce...

Zaczęto się targować, noc była księżycowa, śliczna, siedli w ganku. Liza pobiegła z matką poncz przyrządzać, Teodor, który pod wieczór miewał paroksyzmy odwagi o mało nie pobiegł za nią, wstrzymał się w progu i zawrócił. Uląkł się sam siebie. Wiedział, że w téj porze nie powinien był wierzyć sobie. Adryan spojrzał nań z politowaniem i uśmiechnął się.

Ponieważ pani Zamorska już była rozebraną po całodziennych trudach kosztując spoczynku, Liza ją u wazy zastępowała i znowu porównanie do Heby przyszło na myśl Teodorowi.

Przez wdzięczność za ten przydomek, o którym wiedziało dziewczę, dolewało staremu kawalerowi trunku, który wcale słabym nie był, ale w istocie smacznym i zdradziecką słodyczą krył energiczny charakter. Energia téż w części udzieliła się panu Teodorowi, który przy ostatniéj szklaneczce, pochwycił rączkę, co ją podawała i namiętnie do ust przycisnął.

W téj chwili Zamorski niezmiernie coś zajmującego opowiadając Adryanowi, uczuł potrzebę odprowadzenia go na drugi koniec ganku, i nikt nie widział tego całusa.

— Co pan robisz! — zawołała Liza.

— Całuję tę cudowną rączkę! — odparł Teodor, który jéj nie opuszczał — O pani! o pani! gdybyś pani wiedziała.

— Co? ale cóż takiego?

— Gdybyś pani domyśléć się mogła! o pani!

— Nie jestem domyślna, ale ciekawa, powiedzże pan.

— Nie mam odwagi.

— Wstydzisz się pan.

— Wstydzę się, a odwagi nie mam.

— Czy to tak co zdrożnego?

Teodor pocałował jeszcze raz paluszki, które mu się nie wyrywały i westchnął.

— To szczęście, że nikt nie patrzy, a pan tak sobie pozwalasz. Puść-że pan rękę, proszę.

— Niech się nasycę tą śliczną rączyną! o pani!

— Za kilka dni już kto inny mićć będzie prawo do niéj, i...

— Kto taki? — zapytał przestraszony Teodor.

— Nie mogę powiedziéć, ale jest ktoś taki.

— A ja o tém nic nie wiem!

— I nikt jeszcze — szepnęło dziewczę. — Misia mi wstyd zrobiła, musiałam sobie szukać narzeczonego.

— Ale któż taki? kto? kto śmiał.

Liza parsknęła.

— A pan co masz za prawo.

— Ja? prawa? tak, ja żadnego nie mam prawa, ale życzę pani tak dobrze... tak... tego...

— Dziękuję, i chciałbyś pan przeszkodzić dla tego, że życzysz mi dobrze?

— Wié pani co? — szepnął Teodor — ja, ja pani coś powiem, jutro, to jest zapytam ją jutro o coś, coś takiego, zobaczy pani.

— Dlaczegóż nie dziś? — zapytało dziewczę.

Teodor zamilkł. Niewiedział już jak radzić sobie, spoglądał jakby ratunku błagając na Adryana i Zamorskiego, lecz ci byli tak zatopieni w głośnéj i żywéj rozmowie, iż wcale nań nieuważali. Ojciec pod rękę trzymał młodzieńca i coś mu za oborami pokazywał, a tu tymczasem losy starego kawalera rozstrzygać się miały. Dałby był wiele, gdyby mógł to jeszcze odłożyć choćby do jutra, lecz Liza powtarzała: Dlaczegóż nie dziś.

— Wie pani, dziś, nie, nie czuję się godnym, to jest nie mam odwagi.

— Ale ja jestem niezmiernie ciekawą — poczęła Liza. — No, dobrze, słowo szlacheckie, jutro mi pan to powiész, tak?

— Jutro, tak pani, niezawodnie.

— Kiedy?

— Wie... wieczorem — bąknął Teodor całując ją w rękę — wieczorem.

Liza się uśmiechnęła ironicznie.

— Daję panu tylko ostatni termin do jutra, albo będę się strasznie gniewała.

— A niech Pan Bóg broni!

Poncz się nareszcie skończył, panowie ogrodem odeszli do dworu.

— No — rzekł Teodor — już tedy dziś teraz się o mało, o mało nie oświadczyłem, a jutro, nie wiem jak z tego wyjdę. Ale gdybyś wiedział, kochany Adryanie, jaka *trema* mnie porywa, gdy na szalę życie przychodzi stawić. Maciorkiewicze, parafiańszczyzna, ah! ah! jestem najnieszczęśliwszy z ludzi. Liza śliczna, nie ma co mówić; ale szwagier, Maciorkiewicz! jak ci się to podoba? prawda? ładnie. Książę Hieronim jest u mnie z wizytą, prezentuję mu szwagra. Jak się zowie — Maciorkiewicz. Choć się powiesić, a dziewczyna jak malina.

Adryan śmiał się, ale już nie odpowiadał ni słowa.

ROZDZIAŁ III.

Ubrana skromnie, ale starannie, własnemi hrabiny rękami, Dosia, któréj w tych nowych sukienkach dosyć było ładnie, choć się w nich jeszcze poruszać swobodnie nie umiała, upadłszy do nóg rodzicom, popłakawszy trochę i łzy otarłszy prędko, siadła do powozu. Stary Wilczek i żona jego i chłopak i Grzmilas długo stali u wrótek zagrody, patrząc, jak im zdala wiewała chustką córka. Matka żegnając ją krzyżem świętym, ocierała łzy. Pana Krzysztofa nie było dnia tego, niechciał być natrętnym. Któż wié, może obrachował sobie by miéć prędki pozór do zjawienia się w Zamostowie?

Gdy Dosi nie stało we dworku, jakby z niego życie uciekło, posmutniało wszystko. Każdy kątek ją przypominał. Matka tę sukienkę, którą zrzuciła, przycisnęła do piersi i popłakała znowu. Stary ojciec rozumem się pocieszał, ale czémże jest rozum, gdy cierpi serce?

Tymczasem Dosia jechała milcząca i coraz większą czuła w sobie trwogę, jakby przeczuwała Kornelię, która tam czekała na nią. Przez ten dzień kuzynka miała czas pomyśléć nad sobą, położeniem i przyszłością; zdawało się jéj, iż powinna była zakochać się w wychowanicy i faworycie i być dla niéj bardzo czułą. Tym sposobem tylko zbliżyć się do niéj mogła, a potém... Myśli nie dochodziły do końca. Któż wié co tam wypaść mogło...

Gdy powóz się zatrzymał u ganku i hrabina wysiadłszy, za

rękę wzięła Dosię, aby ją zaprowadzić do jéj pokoiku, na drodze znalazła się panna Kornelia z najmilszym swym uśmiechem. Nie mogła się powstrzymać od wykrzyknienia i zachwytu nad tą śliczną wiejską, skromną pięknością. Znajdowała, że hrabina szczęśliwszego wyboru uczynić nie mogła, że twarz była sympatyczna, wzrok pełen bystrości i rozumu, uśmiech pełen słodyczy, postać nieszukanego wdzięku... Czy hrabinę ucieszyło to przyjęcie, niewiadomo, zmilczała...

Poszły do pokoiku Dosi, w którym było wszystko czego tylko dziewczę potrzebować mogło, nawet wiązanka kwiatków witała ją na nowém mieszkaniu. Jéj się to wydawało tak wspaniałém, tak pięknén, że prawie tknąć niczego nie śmiała. Potém oprowadziła ją hrabina po domu, a gdy podano wieczerzę, posadziła ją przy sobie, aby każdy ruch jéj i słowo pochwycić.

Dosia była trochę niezgrabna, lecz wpatrywała się w drugich i do nich zastosowywała. Panna Kornelia, która się przysiadła z drugiéj strony, podszeptywała téż jéj życzliwe przestrogi, aby ją sobie pozyskać. Mówiło dziewczę mało, trwożliwie, rumieniąc się mocno, wstydząc za siebie, lecz, że oprócz starego regenta nikogo więcéj nie było, wieczerza przeszła szczęśliwie.

Pokój hrabiny przez ścianę był tylko od gabinetu Dosi, drzwi łączyły je z sobą. Wanda nie uspokoiła się, dopóki jéj spać nie położyła. Ale dziewczę wstało po cichu, klękło przy łóżku i modliło się płacząc, długo, bo i szczęśliwe było i trwożne.

Nazajutrz, gdy zrana Wanda otworzyła drzwi znalazła Dosię już ubraną, a przy niéj usłużną pannę Kornelię, która już troskliwie różne jéj dawała przestrogi. Tak się rozpoczął ten dzień drugi w Zamostowie, za którym iść miał cały szereg jemu podobnych. Wanda sama zasiadła z nią do lekcyi i uczuła się tak rozgrzaną tą myślą nauki, iż dzień jéj niepostrzeżony upłynął.

Gdy się to działo w Zamostowie, nasi panowie zaspali nieco po ponczu i jego wrażeniach. Teodor wstał z bólem głowy

i trwogą tego terminu, który sam oznaczył. Pamiętał o nim dobrze.

— Nie mam znowu tak się czego trwożyć — rzekł do siebie — powiem jéj co chcę. Wszakże nie wié co jéj miałem zwierzyć. Zobaczemy, zawsze dobrze namyśléć się trzeba.

Pojechali do Pobogowszczyzny. Tu zastali w gotowości wszystkich. Matka ze szczególną troskliwością przystroiła Magdzię.

— Żeby była choć do ojca podobną — szeptała — łatwiéjby łaskę znalazła u stryja, a tu na nieszczęście do mnie, którą jeśli znosić zechce, to już dobrze!

Magdzia z zaplecionemi koskami, rumiana, świeża, wyglądała hożo, nie miała w sobie nic arystokratycznego, lecz śmiało się w niéj i promieniało życie bujne i zdrowe. Sama pani ubrała się skromnie, w suknię czarną, nie chciała być ani piękną, ani nawet miłą, chciała pokorą zdobyć serce szwagrowe.

Wacek był śmiały, czuł, że on miał grać tu pewną rolę ważną, a wiedział, że u stryja był w łaskach.

— Niech mama będzie spokojną — szeptał ciągle — niech Magdzia się nie boi, stryjo jest bardzo dobry, tylko z nim trzeba odważnie i obcesowo. Wszystko pójdzie doskonale.

Pomimo zapewnień Wacka, im bardziéj zbliżała się chwila wyjazdu, tém twarze posępniały, pan Paweł mocno był zamyślony, jéj łzy w oczach stawały. W milczeniu odbyto podróż polami najprzód, potém lasem aż do owego krzyża i ławki. Tu się pani Pawłowa przeżegnała ukradkiem i z bijącém sercem szli pod górę. Teodor i Adryan torowali drogę, za niemi postępował Paweł, a Wacek prowadził matkę i siostrę.

Pustkowie to, choć piękne, strasznem się im wydało. W dziedzińcu nie było nikogo, nawet stary Hermes gdzieś się skrył w cieniu i zasnął. Sunęli się więc na górę, Teodor otworzył drzwi. Za parawanikiem w przedpokoju, stary sługa chrapał i nie przebudził się. W salce siedział pan Krzysztof nad roz-

wartą książką nic nie posłyszawszy, nie czytał jednak w niéj, przed nim leżała kartka zapisana ręką Wandy, i zgubiona jéj rękawiczka. Usłyszawszy kroki, Krzysztof co prędzéj zamknął foliant i wstał.

Teodor i Adryan rozstąpili się, Paweł postąpił parę kroków, a Wacek, prowadząc siostrę i matkę, podszedł odważnie do stryja.

— Stryjcio do nas nie chce przyjechać — odezwał się — otóż my wszyscy napadamy na niego, bo nie może być, ażebym ja jeden miał być tak szczęśliwy. To mama, to Magdzia.

Pani Pawłowa zmięszana skłoniła się, Krzysztof chwilkę zdawał się namyślać, podszedł skwapliwie i dawnym obyczajem pocałował ją w rękę.

— Zawstydziłaś mnie pani bratowo! — rzekł głosem cichym — jam to powinien był pierwszy przybyć wam podziękować za pociechę, jaką z Wacka miałem.

Magdzia przypadła w rękę stryja całować, on ją w czoło, Pawłowi podał dłoń.

— Przebaczcie zdziczałemu — rzekł — już się to wszystko skończyło. Każdy tak życie sobie tworzy, jak umie i może.

Wielka radość z tak szczęśliwego rozwiązania długiego nieporozumienia zapanowała na wszystkich twarzach. Krzysztof się śmiał i dziećmi cieszył. Pani Pawłowéj podano krzesło i wody, gdyż ze wzruszenia trochę się jéj słabo zrobiło. Dopiéro głośna mowa w pokoju przebudziła starego sługę, który zerwał się z tapczana, stanął we drzwiach nie ubrany i oczy przeciérając; pojąć nie mógł, co się tu stało.

Wiele i różnych przyczyn złożyło się na zmiękczenie pana Krzysztofa, może najwięcéj to, że się z własnym losem pogodził, że z Wandą był dobrze, i że miła, pokorna twarz pani Pawłowéj, ujęła go wyrazem dobroci i skromności. I była to godzina, jakie rzadko dziś biją dla rodzin, których węzły z każdą chwilą stają się wolniejsze. Łzy stały na oczach, wszyscy lepszymi się czuli i silniejszymi, stanowiąc tę całość, którą mogłaby być

każda rodzina, każda społeczność, któż wié, ludzkość nawet może, gdyby członkowie jéj poczuli w sobie braterstwo, które dotąd jest czczym wyrazem. Pan Krzysztof był szczęśliwym, zapomniał o wszystkiém przeszłém, oprócz tego, co pocieszać mogło...

Dzieci ucałowawszy ręce stryjcia pobiegły do okien, bo Wacek chciał pokazać Magdzi, ze znajomością miejscowości nabytą w czasie odwiedzin, piękne widoki na góry lesiste dokoła. Paweł się nawet uśmiechał i rękę brata ściskał w milczeniu. Adryan stanąwszy z boku, świadkiem chciał być tylko tego przejednania, do którego się najwięcéj przyłożył. Nie śmiano mówić o niczém, oprócz rzeczy obojętnych, aby nie potrącić o coś, coby dysharmonijną nutą mogło tę świętą zgodę zakłócić.

Chciał u siebie czémś gości przyjmować pan Krzysztof, i nie wstydził się wyznać, że oprócz poziomek, trochy mleka i chleba nie było nic więcéj.

— Ale ja biorę na siebie urządzić podwieczorek — zawołał Adryan — niepotrzebuję nic więcéj nad ten wiejski zapas, jakim zamek rozporządza.

I skoczył do starego sługi, a z nim naprzeciwek do jadalnego pokoju, gdzie stał otłuczony kredens, dzbanek jagód, chléb i mléko. Cukier był szczęściem w zapasie i nic więcéj nie potrzebowano.

— Toby wszystko dobrze było — odezwał się stary — ale policzmy-no osoby, żeby nie było kompromitacyi, bo z talerzami będzie krucho.

— No, osób siedm! — rzekł Adryan.

— Tak, a talerzy pięć, i to liczyć z tym, który pękł przez środek i ledwie się trzyma.

— A spodków od filiżanek.

— E! — odparł sługa — o tych nie ma co i mówić, było trzy, jeden wyszczerbiony, a dwa co zostały, niebiesko jeden malowany, drugi biały, nieuchodzi.

— Kto tam na to będzie patrzał! — odezwał się Adryan. — Pięć talerzy dla starszych, dwa spodki dla dzieci, i wykręcimy się jakoś.

— Co się tyczy łyżek — gładząc głowę zawołał stary — tych nigdy nie było więcéj srebrnych jak trzy, pobielanych dwie.

— A małych łyżeczek?

— Dwie, trzecią mularz bodaj świsnął, gdy piec naprawiał, bo od tego czasu ani śladu po niéj.

Tak rozmawiając przygotował Adryan ubogie przyjęcie. Gruby obrus jeden znalazł się czysty, chléb był świeży, poziomki śliczne, mléko wyborne, czegóż więcéj pożądać było można.

— Ale ba — mruknął sługa — na dziś, to już nie ma co pana pytać, trzeba do loszku zejść i parę butelek wina wydobyć, których my prawie nie tykali, bo to jeszcze ojcowskie i dziadowskie, ale na taki dzień, pan się gniewać nie będzie.

Jedna rzecz o mało nie wstrzymała starego, pomyślał o kieliszkach. Kieliszków, licząc te, co stały na kominie w pokoju z herbami saskiemi, nie było więcéj nad cztery i jeden mały do wódki z prostego szkła zielonego.

— Pani Pawłowa i dzieci nie piją, kieliszek zielony dla mnie, a dla trzech panów dosyć tego będzie.

— Łaska Boska — rzekł stary — więc się jakoś wywiniemy, bo juściżby, po polsku i po szlachecku, bez kropli wina nie uszło.

Wziął zatém klucze od lochu stary i poszedł zapaliwszy świeczkę, a Adryan nie czekając na niego opanował talerze i spodki od filiżanek, obrus wziął pod rękę i wszedł z nakryciem tryumfalnie do pokoju. Spełniał swe obowiązki z taką młodzieńczą wesołością i ochotą, iż wszystkich tém pobudził do śmiechu. Pan Krzysztof zrazu się namarszczył trochę, ale i on wreszcie zgodził się z przeznaczeniem.

Stół postawiono w pośrodku, pani Pawłowa podjęła się gospodarstwa. Adryan został marszałkiem dworu, a Krzysztof nie

powiedział nic choć mu z komina zapylone, pamiątkowe wzięto kieliszki, choć na jednym z nich naprzeciw saskich herbów był Pobóg. Domyślił się, że stary stróż jego honoru, pamiętny dawnych czasów, sięgnął do zapomnianéj piwnicy. Jakoż w chwilę potém, na czarnéj tacy, z któréj wszelki ślad ozdób i malowania dawno był starty, wjechały dwie przysadziste zielone butelki okryte pleśnią. Dopiéro przyniósłszy je z przerażeniem przypomniał sobie sługa, że o trybuszonie na zamku od bardzo dawna słychać nie było. Głucha tradycya mówiła o nim na zapiecku, ale ztąd zniknął, na gwoździu przy kluczach także go niewidziano dawno. Mieszkańce zamku nigdy podobnego narzędzia nie potrzebowali. Przewidujący pan Adryan miał nóż, w którym się trybuszon znajdował, ocaliło to zamek od niesławy. Dobyto korki.

Dzieci i starzy posiadali do poziomek, pan Krzysztof sam Wojewodę nalewał, tak się bowiem owo wino, już prawie zdębiałe, zwało. W milczeniu spozierając na siebie trącono w kieliszki, i pani Pawłowa przyszła z kroplą, którą sobie nalała do szwagra. Ten ją po raz drugi w rękę pocałował.

— Teraz kochany Krzysiu — zawołał Teodor — jak mi Bóg miły, na uświęcenie dnia tego pamiątki, musicie do mnie jutro na obiad wszyscy. Właśnie się restauracya domu skończyła, ostatni rzemieślnik do miasteczka a odjechał wczoraj, pokój jadalny odświeżony, a na wypadek deszczu ciec już nie będzie. Czego mi zabraknie pożyczę u Zamorskich, a i ich téż prosić mi wypadnie. Uczyńcież mi ten zaszczyt i przyjemność.

Krzysztof się skłonił.

— Zgoda — rzekł — już po dawnemu pustelnikiem mi być nie dacie.

— Ale to niedosyć, i prawdę powiedziawszy, to nadużycie ze strony pana Teodora — rzekła pani Pawłowa — nam się należało jutro, tylkom nie śmiała być natrętną.

— Nie, od jutra ja nie mogę odstąpić — zawołał Teodor — bo nam pan Adryan uciecze.

— Nie puścimy go! — rzekł Paweł.

— O mnie najmniejsza — odezwał się wesoło chłopak. — Zresztą kilkanaście godzin nie uczyni mi różnicy, będę służył państwu.

Zaczęto oglądać zamek, w którym tak bardzo nie było co widzieć, oprócz małéj kapliczki i pustéj na pół rozwalonéj baszty w rogu, w któréj stała improwizowana ława kamienna naprzeciw okna wyszczerbionego; przez ten wyłom widać było u stóp wzgórza stojący krzyż i część drogi ku niemu wiodącą.

Mrok już padać zaczynał, gdy się żegnali, nie było tam słów wiele, wszyscy czuli, że najgorszemi sługami byłyby wyrazy, i że w nich więcéj było niebezpieczeństwa, niż pomocy. Pan Krzysztof milczał, mówił o rzeczach obojętnych lub bawił się dziećmi, które lgnęły do niego, Wacek z poufałością starego faworyta, Magdzia udając poważną i dojrzałą niewiastę.

W uściskach dłoni i wejrzeniach było całe uczucie dnia tego. Gdy goście posiadali do powozów, Krzysztof został długo u krzyża nad drogą, patrząc za niemi.

— Jutro o dwunastéj czekam w Zieleniewszczyznie! — wołał Teodor z bryczki — będziemy czekali.

— Tylko obiad, żeby był skromny — dodał Krzysztof — a nie, to myśléć będę, żeś się uwziął mnie zawstydzić.

Zostawszy sam z sobą, nie mógł się pan Krzysztof powstrzymać od zastanowienia, czy dobrze postąpił.

Był trochę niespokojny. Składało się tak dziwnie wszystko, ażeby zupełnie zmienić tryb jego życia? Z ubóstwem swém mógł łatwo i dobrze na zamku siedziéć odosobniony, ale jakże z niem było wejść wśród ludzi. Na to zapytanie odpowiedział sobie zawstydziwszy się go, dlaczegóż śmiało z niem wystąpić nie mógł, ani się niem chlubiąc, ani się go wstydząc. Ci ludzie, co go poszanować nie będą umieli, rzekł w duchu, nie są sami sza-

cunku godni, i ani nie mogą wymagać, abym dostatek kłamał. — Będę czém jestem.

Trudniejszém zdało się na nowo zastosować do towarzystwa, oswoić z gwarem jego i ruchem. Pan Krzysztof nawykł był i potrzebował pokoju, obiecywał więc sobie uciekać do zamku dla spoczynku i dumania, które dlań stały się nałogiem.

Nazajutrz dosyć wcześnie wyszedł pan Krzysztof pieszo, miał zamiar dojść tak do chaty Wilczków, a ztamtąd wózkiem leśniczego pojechać do Zieleniewszczyzny. We dworku zastał jeszcze wszystkich smutnych i nieoswojonych z położeniem nowém.

Wilczkowa milcząc popłakiwała, potrzebując nieustannego przypominania, że ofiara uczyniona potrzebną była dla dobra Dosi. Ale to dobro jakoś jéj nie było zrozumiałem, a obawę daleko czuła więcéj uzasadnioną.

Stary leśniczy pobiegł sam po klacz, która się spętana pasła na wygonie za ogrodem, przyprowadził ją wziąwszy za bujny włos od grzywy nad uszami, a posłuszna Jaroszowa przyszła dogryzając trawę do nagotowanych hołobli i chomąta. Siedzenie pokryto kilimkiem i wprędce wózek zajechał przed wrota.

My się musimy cofnąć nieco, do dnia poprzedzającego, bo na wieczór oznaczonym był przez pana Teodora termin do powiedzenia czegoś ciekawego i ważnego pannie Lizie. Niecierpliwiła się téż wielce widząc jak długo niepowracał dziedzic i gdy obaj z Adryanem zajechali wprost przed folwark, pierwsza na spotkanie ich wybiegła. Zamorskiego nie było, niepowrócił jeszcze od siana, którego sterty składano, pani Zamorska była nieubrana, Misia chora na fluksyę, a podwiązana za nic w świecie by się była nie ukazała.

Sprawozdania tego za niebytności członków rodziny w progu wysłuchawszy Męczyński, mocno się zafrasował.

— Wiész pan co — szepnął mu Adryan — pan będziesz miał tu pewnie do pomówienia o jutrzejszym obiedzie, ja mogę być zawadą, pójdę do ogrodu.

Przeraziło to pana Teodora.

— Na miłość Bożą — odparł na ucho — nie opuszczaj mnie, proszę najmocniéj.

Adryan więc cofnąwszy się tylko kilka kroków w tył, pozostał w ganku.

— A jaka to bieda — rzekł Teodor — że mamy pani widziéć nie mogę, mam do niéj prośbę — a tu...

— O cóż idzie, przecież sekretu pewnie nie ma, ja za pośredniczkę służę.

Spojrzała mu w oczy, jakby wczorajszą przypominając obietnicę, a razem cofnęła się z progu do pokoju, zmuszając go wnijść za sobą.

Teodor obejrzał się na Adryana, Adryan przez szkiełko właśnie się przypatrywał krowie pasącéj na dziedzińcu, jakby chciał z niéj studyum malować.

— Służę panu! — odezwała się wszedłszy do pokoju Liza — co pan każe mamie powiedziéć?

— Mam prośbę — rzekł skuszony Teodor biorąc ją za rękę i całując, czemu się nie opierała wcale — prośbę wielką. Jutro u mnie obiad, będą oboje państwo Pawłowstwo z dziećmi i panem Wikarskim, osób pięć, pan Krzysztof, pan Adryan, ja, osób już osiem, państwo Zamorscy z córkami... osób ogółem dwanaście.

— Misia na fluksyę chora — dorzuciła Liza.

— E! to do jutra przejdzie — mówił Teodor ciągle patrząc jéj w oczy. — A! pani, jaka pani jesteś śliczna dzisiaj!

— Jakto? tylko dzisiaj? — spytała Liza.

— Zawsze, ale dziś... wydajesz mi się pani...

— Dlaczego?

— Nie wiem. Więc, proszę pani, żebyście mi pomódz raczyły do obiadu. Ja nic nie wiem, co jest, czego nie ma, od Olszaka się niczego dopytać nie mogę. Bóg wié co się dzieje z bielizną, ze srebrem.

— A widzisz pan, jak to źle gospodyni w domu nie mieć — poczęła Liza — czemuś się pan nie ożenił?

Zagadnięty Męczyński stanął jak słup.

— Wié pani, po części dlatego, żem nie znalazł dotąd osoby... pani mnie rozumié, a więcéj dlatego, że znając siebie, sądzę, iż kobieta, coby za mnie poszła, byłaby najnieszczęśliwszą w świecie.

Liza niby przestraszona aż się cofnęła kroków parę.

— Cóż to ją ma tak nieszczęśliwą uczynić? bałamuctwo pańskie...

— No nie, ale wieleby o tém mówić potrzeba, więc z obiadem jak?

— A jakże dzierżawca i jego rodzina może co miłościwemu odmówić dziedzicowi? — roześmiała się szydersko Liza. — Ja się z wielką ochotą podejmuję zostać na ten dzień... klucznicą.

I dygnęła.

— *Adorable!* — zawołał w uniesieniu stary kawaler, przypadł do rączek i całował.

— A to coś mi pan miał dziś powiedzieć? — szepnęła Liza.

— Ja miałem co powiedzieć? — pochwycił niby zdumiony Teodor.

Pogrożono mu na nosie.

— Pan jesteś krzywoprzysiężcą! jakto, pan się zapierasz uroczystego słowa? a to szkaradna zbrodnia.

Namyślał się Męczyński, naostatek heroizm posunął do tego stopnia, iż zawołał:

— Tak jest, miałem pani wyznać, że gdybym był albo ja młodszym, albo pani starszą, niezawodniebym się... zakochał... i...

Nie dokończył. Liza oczy spuściła.

— Ale ja nie jestem tak bardzo młodą, a pan mi się wcale nie wydajesz starym!

— A pani! pani.

Trzeba było koniecznie z drugiéj strony zręcznego wystąpie-

nia, ażeby nie dać się wyśliznąć panu Teodorowi. Liza podała mu rękę sama, którą on pochwycił z młodzieńczym zapałem.

— Rozumiem pana — rzekła Liza — tak, zdaje mi się żem go zrozumiała, niech pan mówi z ojcem i mamą, ja nic nie mam przeciwko temu.

I zawstydzona oczy spuściła, a drżąca dłoń, jak przybita została w rękach Teodora, który pobladł ze strachu, ze szczęścia i z desperacyi.

— Mnie idzie o szczęście pani!

— Ja będę z panem szczęśliwą — szepnęła Liza — a o jego szczęście starać się będę.

Teodor o mało nie przykląkł przed nią, skończyło się jednak na przybliżeniu czułem i na szepcie bardzo pośpiesznym.

Gdy Liza zarumieniona odbiegła do matki, Teodor jak wkuty stał na środku pokoju, Adryan wchodził właśnie, i znalazł go tak zadumanym, iż pierwszych słów przemówionych doń niepołyszał.

— Stało się — mruknął po cichu — stało się!

Ponieważ i Zamorski wrócił właśnie od siana, dłużéj mówić o tém nie było można. Pan Teodor wyglądał jak z krzyża zdjęty.

Liza tymczasem wprost poleciała do pokoju matki, zajętéj krajaniem bielizny, Misia z podwiązaną twarzą siedziała przy niéj. Otworzyła drzwi gwałtownie, wbiegła i rzuciła się na kanapkę, twarz zasłaniając rękami.

— Co tobie, szalona dziewczyno! — zawołała matka.

Liza zerwała się na nogi, twarz jéj promieniała, rzuciła się matce na szyję.

— Matusiu! — oświadczył mi się!

Misia krzyknęła, matce nożyczki wypadły z rąk, ale z powagą wielką zawołała:

— Przecież go sumienie ruszyło!

Nikt nie rozbierał ściśle tego wykrzykniku, który bardzoby fałszywie mógł być tłómaczonym, gdyby nie był czysto przypadkowym i bezmyślnym. Matka chciała powiedzieć, iż dawno już powinien był to uczynić.

— Odesłałam go do tatka i mamy — mówiła zdyszana Liza klaszcząc w ręce. — Jutro u niego obiad, Pawłowstwo całym dworem, Krzysztof, my, prosił, żeby mu dopomódz, no, i tak się szczęśliwie zgadało. Niezawodnie dziś wieczorem powie ojcu...

Zamorski chociaż bardzo prostego człowieka udawał, spojrzawszy na twarz pana Teodora niemal z niéj wyczytał, że coś zaszło ważnego, a gdy mu się dziedzic wyspowiadał, że przed chwilą prosił panny Lizy o pomoc, odezwał się zaciekawiony:

— Pozwolisz mi pan dobrodziéj, żebym się poszedł rozmówić z żoną.

Gdy do pokoju jéjmości wszedł, po rozpromienionych twarzach odgadł resztę. Liza i jemu rzuciła się na szyję.

— Tatku, oświadczył mi się.

— No, patrzcież! tę psotnicę — rzekł Zamorski — z cicha pęk, postawiła na swojém — zatarł czuba Zamorski, pocałował córkę w czoło. — Daj Boże szczęście!

Zamorska, skłonna do łez, płakała. Misia siedziała markotna, Liza całowała z kolei wszystkich.

— Łysy, to prawda! — poczęła szczebiotać — ale mało to łysych w dwudziestym roku, a taki dystyngowany, taki dystyngowany, miły i kocha się we mnie szalenie.

W czasie tych zwierzeń, pan Teodor w saloniku stał oparty o krzesło, przed nim Adryan milczący. Stary kawaler powtarzał jakby sam do siebie:

— Ośmnaście i pięćdziesiąt, i Maciorkiewicz w dodatku. Głupstwo kapitalne, ale to było mojém przeznaczeniem. Musiałem coś podobnego zrobić.

— Zrobiłeś pan coś mógł najlepszego uczynić — rzekł Adryan — rzecz jest skończona, będziesz pan szczęśliwy!

Teodor westchnął.

— W dodatku, śmiech ludzki!

Powracający co żywiéj Zamorski, oświadczający gotowość urządzenia obiadu na jutro w imieniny żony, przerwał tę niefortunną rozmowę,

Z oczów jego wyczytał Teodor, że wiedział o wszystkiém, nie było już co udawać i odkładać. Adryan przepatrywał nuty na fortepianie w drugim końcu salonu.

— Kochany Zamorski — rzekł smutnie Teodor — było snać przeznaczeniem pańskiéj córki, ażeby miała starego męża. Chcesz mnie za zięcia?

Zamorski zachłysnął się i padł w objęcia dziedzica.

— Panie — zawołał — czynisz honor mojéj rodzinie ubogiéj, hreczkosiejowi biednemu, wdzięczni jesteśmy! Niech Bóg błogosławi! Liza będzie szczęśliwą, ona pana kocha, wyznała to przed matką.

— Tsyt, na miłość Bożą! — rzekł przelękły impetem Teodor — ale na cóż tak... głośno...

— Niech świat cały wié o szczęściu mojém — wołał Zamorski — wychowałem dzieci jak oka pilnując w głowie, i mogę się pochlubić, wstydu mi nie zrobi. Będziesz pan szczęśliwym.

Teodor ledwie potrafił uprosić, aby dla nieprzerywania jutrzejszego przyjęcia jego osobistą sprawą, na kilka dni ogłoszenie ważnego tego wypadku odłożyć. Zgodził się na to Zamorski, lecz w duchu obiecując sobie, że się zdradzi.

Do późna zabawił Męczyński sam u państwa Zamorskich, bo Adryan się wcześnie wysunął. Dozwolono mu z Lizą na osobności wynurzać sentymenta i czynić plany na przyszłość. Dziewczę skorzystało z téj chwili, aby go podbić i upoić ostatecznie, tak, że gdy wyszedł nacałowawszy ręce jéj do czerwoności, zapomniał nawet o Maciorkiewiczu. Był niezawodnie jednym z najszczęśliwszych ludzi na kuli ziemskiéj. Idąc przez ogród śpiewał głośno i fałszywie, palił cygaro zagasłe, machał rękami i w progu

zastawszy Olszaka, który nań czekał dla łajania go, krzyknął mu w ucho:

— Winszuj mi, żenię się, jestem szczęśliwy! rozumiész! wiész!

— No, wiem i wiedziałem o tém wprzódy od pana, że się ożenisz ze starszą — zawołał stukając kijem Olszak — musiałeś głupstwo zrobić, i tyle!

To mówiąc wyszedł, Teodora zostawując jakby oblanego zimną wodą.

ROZDZIAŁ IV.

Dwa lata upłynęło od chwili, gdy stary Olszak oświadczył panu swojemu, że popełnił niedorzeczność, którą on dobrze naprzód przewidział. Nie powstrzymało to naturalnego trybu rzeczy. Nazajutrz potém, był ów obiad u pana Teodora, w cza- którego on się sam zdradził w końcu, przedstawiając gościom swoim przyszłą domu gospodynię. — Zdrowie narzeczonych wypili wszyscy winem szampańskiem, którego podejrzanéj słodyczy i kwasku przypominającego sok porzeczkowy nikt nie uważał.

Ślub odbył się w kilka miesięcy potém, bardzo cicho, w parafialnym kościołku i państwo młodzi wprost od ołtarza odjechali do Włoch, gdzie rok cały przesiedzieli, a raczéj przepodróżowali.

Dwa lata, niezmierny przeciąg czasu dla nieszczęśliwych, chwilka dla tych, którym niebo pobłogosławiło.

W najbliższém od Zamostowa miasteczku, a raczéj lichéj mieścinie, która na tytuł ten nawet nie zasługiwała, w jedynym domu zajezdnym pod „Złotym obwarzankiem” u pana Michała Lublińskiego, właściciela hotelu i restauracyi, w osobnym pokoiku młody mężczyzna, wysiadłszy z bryczki pocztowéj, przygotowywał się przemienić podróżne ubranie. — Pomimo znacznie zmężniałéj postaci i nieco odkwitłéj twarzy, łatwo w nim było poznać pana Adryana Brzoskiego.

Powracał on z długiéj podróży i studyów, a że dał był ciotce słowo, iż ani pisać, ani dowiadywać się o nic i o nikogo nie będzie, dotrzymał go aż nadto sumiennie. Głuche ledwie dochodziły go wieści o osobach, do których przed laty dwoma wesołe wakacye go zbliżyły. Pozostała mu tych ludzi pamięć żywa, zajęcie niemi obudził jeszcze powrót w te strony.

— Co téż się tu dzieje? co znajdę za niespodzianki? — mówił stojąc przed zwierciadełkiem i uśmiechając się sam do siebie. — Ta śliczna Dosia? co téż się z nią stało? Mój Boże! serce mi jakoś na jéj wspomnienie nie bije jakby powinno! Trochę w tém było młodzieńczego szału i dziwactwa, o tak! dziwactwa, boć przecie, było to dziewczę, jak inne, śmielsze tylko trochę i roztropniejsze od swych wiejskch rówienniczek. A ciocia? nic nie wiem o cioci!

Uśmiechnął się sam do siebie. Pan Adryan postarzał, mówił w duchu, starł się z policzków rumieniec, oczy przygasły i krew płynie o wiele spokojniéj i myśl stąpa o wiele ostrożniéj. Ale to przecież ciekawe, okrutnie ciekawe, powrót w te strony od których się o mil kilkaset kręciło tak długo. Mam prawo najzupełniejsze zajechać teraz do ciotki... Łatwo by mi było popytać gospodarza, ale to odejmie cały smak niespodziance, a niepodobna, ażeby wszystko tu poszło trybem przewidzianym, żeby Dosia wykwitła na ideał... pan Krzysztof się ożenił.. Teodor odmłodniał... a madame Lise postarzała.

Błąkał się tak myślami bijąc o wspomnienia, jak mucha o pajęczynę, gdy we wrotach zajazdu dała się słyszéć wrzawa i klątwy.

Pocztylion, który przywiózł pana Adryana, kłócił się niedobierając wcale wyrazów parlamentarnych, z jakimś woźnicą, który nie pytając, czy wjazd jest wolny zapakował się bryczką w bramę, ani wprzód, ani na tył. Do dyalogu dwóch furmanów, mięszały się inne głosy, w których i gospodarza, pana Lublińskiego, wy-

szukaną mowę i jakiś znany panu Adryanowi intonacyą słychać było.

Otworzył drzwi i postrzegł na amerykance siedzącego jegomości, w którym poznał odmłodzonego sztucznie pana Teodora. Kłótnia trwała zajadła, pocztylion, jako rodzaj urzędnika, nie dawał sobie łada prywatnemu woźnicy przewodzić, sypał więc w dwu językach nieprzyjemnemi przydomkami, i niechciał ustępować.

Amerykankę musiano za tylne koła wyciągać z otchłani téj, a konie wyprowadzać. Zdało się Adryanowi, iż samo przeznaczenie zsyłało mu w osobie Teodora przewodnika i wybiegł jak stał ku niemu z otwartemi rękami.

Męczyński krzyknął. Co ja widzę! i skoczył z amerykanki rzucając się w objęcia przyjaciela.

Patrzali na siebie wzajemnie, szukając śladów dni przeżytych.

— Zmężniałeś, panie Adryanie! — zawołał Męczyński — ależ wieki, wiekiśmy się nie widzieli, jak w wodę wpadłeś, a! jakżem szczęśliwy! i jak my tu wszyscy będziemy uszczęśliwieni odzyskując cię.

Uściskali się raz jeszcze.

— Nim tam z końmi i powozem do ładu przyjdą, proszę was do mojéj izdebki — rzekł Adryan. — Właśnie się zacząłem przebierać, to mi przebaczycie. Chcę dziś być na wieczór w Zamostowie.

Pan Teodor odchrząknął jakoś osobliwie, powtórzył: — w Zamostowie — i umilkł.

— Spodziewam się, że zdrowi wszyscy — rzekł Adryan.

— A! zdrowi, zdrowi wszyscy — odezwał się Teodor — wszyscy zdrowi. — I uciął.

— Ale pan podróżowałeś, podróżowałeś, wędrowałeś — począł po chwili — świata się napatrzyłeś. Żeśmy się to nie spotkali, bo ja z żoną cały rok przebyłem za granicą, po Wło-

szech. Szczęśliwy rok miodowy, chociaż się skarżyć nie mogę i teraz, tak, i teraz miodem moje dni płyną. Jestem najszczęśliwszym z ludzi, a Liza najmilszą z kobiet. I, wiész — dodał — syna mi Pan Bóg dał, ma już rok, zdrów. — A cichutko dodał — *Atavismus* — do Zamorskiego jak dwie krople wody będzie podobny.

Westchnął.

— Jedno nieszczęście, że mi Lizka od urodzin mojego Roderyka ciągle chora, doktor z domu nie wyjeżdża, delikatna strasznie. Nie poznasz jéj jaka się z tego trzpiota poważna zrobiła dama. Tak! co się zowie, dama, choć na największe salony.

Odetchnął nieco.

— I cóż powiész na to — począł znowu — z tym Zamorskim do ładu nie mogłem przyjść po ślubie. Rachunki, kompromisa, awantury, jakoś zgoda się zrobiła, ale nie żyjemy z sobą. Liza tam czasem bywa, ja nie. I ten Maciorkiewicz godnym się okazał swojego imienia, to bałwan, ale z niemi żadnych stosunków. Wieś mi jedną zabrali i tak, pomimo posagu, z któregom skwitował, w oczy go niewidząc. Oszukałem się na Zamorskim. Pamiętasz, toż to była prostota sama i szczerość, a powiadam ci w interesach, wyga, frant... pieniacz, ze świecą szukać drugiego. Lecz, Bóg tam z niemi, poczciwa i dobra, kochająca mnie żona za wszystko nagradza i pociesza.

Adryan milczał napróżno parę razy poprobowawszy przerwać. Teodor cygaro sobie przygotowując chodził po izdebce i usta mu się nie zamykały. Spoglądając nań dostrzegł Brzoski, że mu znacznie urosł brzuszek, a zbladło lice, oczy miał otoczone jakby siecią pajęczą, drobnemi marszczkami. Szczęście téż męczy i postarza.

Nareszcie gdy ten potok wyrazów szumiąc przesłyszał, Adryan skorzystawszy z przestanku, spytał:

— A pan Krzysztof?

Teodor zapalał właśnie cygaro, które nie dobrze ciągnęło,

ssał je więc nie przerywając sobie, spojrzał tylko, ramionami ruszył i odjąwszy je od ust, rzekł sucho:

— A zdrów, zdrów.

— Gdzież mieszka?

— Na zamku — dodał wracając do cygara Męczyński.

— Na zamku! — powtórzył zdziwiony Adryan — przecież tyle wiem, że hrabina za mąż poszła.

— A no, poszła — rzekł Teodor — a cóż to ma jedno do drugiego?

— Więc chyba nie zą niego?

— A! rozumie się, że nie za niego! — dorzucił Teodor przechadzając się żywo, i zaraz wtrącił: — Gdybyś mnie posłuchał, tobyś ze mną dziś na noc pojechał do Zieleniewszczyzny, tambyś sobie spoczął. Moja poczciwa Liza byłaby ci bardzo rada, no, a potém... tobyś sobie objechał sąsiedztwo.

Adryan tak był zdumiony zupełnie niespodzianą nowiną, iż chwilę stał milczący i pytać już więcéj nie śmiał. Wyczytał mu to z oczów Teodor, przyszedł go uściskać i nacierał.

— Ale tak, do mnie na noc, słowo ci daję, to będzie najlepiéj, przypomnimy sobie dawne czasy. Jak mnie kochasz!

I nie czekając odpowiedzi, otworzył drzwi, zawołał służącego.

— Żeby mi konie były zaraz gotowe, tylko wytchnąć i siana dać trochę. Wracamy do domu.

Protestować już było próżno.

Służąca pana Lublińskiego wniosła samowar dla Adryana. Z amerykanki dobyto jakieś przekąski, zasiedli więc obaj do herbaty. Młody podróżny milczący był, nieśmiał już teraz pytać nawet. Teodor zaś, którego spotkanie z dawnym znajomym i ciepły napój z trochą wina ożywił, bo w ogóle jadło i napoje wiele nań wpływały i wracały mu rzeźwość młodzieńczą, niezmiernie był gadatliwy.

— Nie śmiem się już i dopytywać — odezwał się Adryan — bo widzę, że tu wcale nie po mojéj myśli zaszły zmiany.

— Ja ci wszystko z debatami opowiem — rzekł Teodor — ale na to trzeba czasu. Prawda, że mamy jeszcze z godzinkę — dodał spoglądając za zégarek. — Więc powoli do rzeczy. O sobie mówić ci więcéj nie będę, zobaczysz moje szczęście, mój dom, Lizę, a że Roderyk do starego Zamorskiego podobny, no, na to nie ma rady. Być może z tego wyrośnie. Wiész jak stały sprawy poczciwego Krzysztofa, pogodził się z piękną Wandą, zbliżył się nawet do niéj nieco, ale biedaczysko nie miał téj co ja, determinacyi, wahał się pomyśléć nawet o sięgnięciu po jéj rękę. Zdaje mi się, że hrabina z początku, pod wrażeniem wspomnień i jego przywiązania, nie była od tego, ale, djabeł nie śpi. Pannie Kornelii zbliżenie to nie było do smaku, wprowadziła tam kasztelanica, któżby się go był obawiał? Hrabina lekko go ceniła i nie zaszczyciła go nawet okazaniem mu swojego wstrętu. Jemu miło było w towarzystwie pięknéj pani spędzić czasem godzin kilka, ją rozrywała rozmowa jego, wesołość i może téż powierzchowność wcale miła. To pewna, że zadomowiony pan Krzysztof, ze swém fantastyczném ubraniem, z pogardą formy, z dzikim nieco pozorem, przy kasztelanicu wydawał się bardzo niepocześnie. To, co mówił, daleko więcéj było warte, ale nierównie mniéj zabawne. Z panem Krzysztofem hrabina była seryo i zawsze zakłopotana nieco przeszłością, z tamtym swobodną i wesołą. Panna Kornelia z wielką zręcznością uwydatniała przy każdéj sposobności, śmieszność jednego, a przyzwoite i miłe znalezienie się drugiego.

— Lecz jakże można było nawet porównać i kłaść z sobą w jednéj mierze takiego człowieka, jak pan Krzysztof i kasztelanica.

— Kochany panie Adryanie, przekonasz się kiedyś, że najrozumniejsze kobiety mają swoją odrębną wcale miarę i wagę na ludzi i swe słabostki. Przyczyniało się do obawy w przyszłości, że Krzysiem nie takby było łatwo pokierować, jak wedle wszelkiego podobieństwa kasztelanicem. Dosyć, że ten

wszedł do domu, został jako gość dobrze przyjęty, coraz więcéj ceniony i począł bywać téż częściéj. Zdało mi się dopatrzywszy tego, bo się to stało przed moim wyjazdem za granicę, żem powinien był przestrzedz Krzysia, który jakby nigdy nic, piechotą przychodził sobie do Zamostowa, spotykał się tam czasem nawet z rywalem, i nie okazywał, ażeby go to obchodziło. Wanda była dlań wyszukanie grzeczną, czułą, może troskliwszą o niego, jak o kasztelanica nawet, ale ten ją bawił, a tamtego zdawała się obawiać. Stało jéj może na myśli to strzelanie do siebie w chwili szału. Miłość ta cicha, głęboka, pobożna, przestraszyła ją. Pojechałem na zamek, bo Krzyś, pomimo próśb brata, wynieść się ztąd niechciał, i pozostał w swojém zaciszu, pozwoliwszy tylko — i to z wielkiemi trudnościami, nieco mieszkanie wyporządzić. Zastałem go w humorze jak rzadko, poczęliśmy rozmowę o przeszłości.

— Cóż u licha — rzekłem — dobijaj targu, Wanda dla ciebie jak najlepiéj usposobiona, wyjdzie niezawodnie gdy się jéj oświadczysz; możesz być szczęśliwym.

Krzyś fajkę nakładał i dumał.

— Zabawny jesteś — rzekł — ale czyż się godzi, powiedz mi, czy miałbym sumienie sięgnąć po to szczęście? Byłbym najohydniejszym egoistą! Czyż mi nie dosyć tego, że na nią patrzę, że z nią mówię, że mnie nie wypędza? że tam być mogę gdy zechcę?

— Tak i z pod nosa ci ją weźmie kto inny! — zawołałem — jak Bóg Bogiem, oświadcz się, spróbuj.

Krzyś się uśmiechnął.

— Któż ją może wziąć? kto taki? — zapytał.

— A no, kasztelanic.

— Ten, ten fircyk! — rozśmiał się — ale, cóż znowu? jakież masz o téj kobiecie pojęcie? Gdzież podobieństwo? człowiecze?

Zaczął na mnie burczéć, przekonywać mnie, fukać, śmiać się, no i zamilkłem.

— Wiész — dodał w końcu — nie jestem i ja od tego, ażeby szczęścia spróbować. Będę mówił z Wandą, kocham ją szalenie, ale tak jestem szczęśliwy, dziś? a nuż się ta złota nić zerwie, nuż mi każe iść precz! Lepiéj czekać, grunt przysposobić, wyrozumiéć ją.

— Ale śpiesz-że się z tém!

— Wierz mi, że się uprzedzasz i rzeczy widzisz fałszywie, mam dosyć czasu, nic nie grozi, ten wiercipięta może ją bawi, ale niewart rzemyka jéj rozwiązać.

Uniósł się pan Krzysztof, zamilkłem. Wkrótce potém nastąpiło wesele (tu westchnął Teodor), po niem te nieszczęsne układy z teściem (piękny teść), a naostatek wyjazd za granicę. Nie miałem czasu widywać Krzysztofa, ani się nim zajmować. Doszło mnie tylko, że kasztelanic coraz częściéj bywa, że bawi wieczorami czasem, że dopuszczony jest do coraz większéj poufałości. Na wyjezdném powiedziałem mu to, rozśmiał się. Wyjechałem w podróż, bawiliśmy rok. Wróciwszy do domu, dowiaduję się o Krzysiu, mówią mi, że siedzi na zamku, że zdrów, i że hrabina Wanda bodaj czy nie wychodzi już za kasztelanica, który tam bardzo często przesiaduje. Pojechałem do zamku.

Myślałem, że go znajdę w rozpaczy, znalazłem go przy osobliwszéj robocie, malował sobie herby polskie, któremi chciał ubrać szlak w jedném z odnowionych izb zamkowych. Uścisnęliśmy się serdecznie, chwalić mu się zacząłem szczęściem mojém, ztąd assumpt do zapytania, cóż, a ty? żenisz się? nie!

— Myślę — odezwał się pan Krzysztof — myślę, jednego z tych dni oświadczę się, co będzie to będzie. Jesteśmy z Wandą tak dobrze, tak przyjacielsko, że choćby mi odmówiła, przecież mnie nie wypędzi.

— Ale wszyscy prawią, że kasztelanic, że z kasztelanicem już rzecz skończona!

— Bałamuctwa — rzekł Krzysztof — ona go sobie lekceważy, no, rozrywa ją, służy jéj, czyta, gra, ale żeby do czegoś seryo przyjść mogło, nie sądzę. Żadnéj z nim ceremonii nie robi, nie raz gdy ja przyjadę, niemal go wypędza, a on idzie cicho toć z panną Kornelią. Gdybym nie znał téj kobiety, mógłbym jéj tę poufałość wziąć za złe, ale....

— Postanowiłeś więc rozmówić się z nią otwarcie?

— Tak jest — odparł Krzyś — stanowczo w tych dniach ją zapytam. Wprawdzie miłość moja inną jest wcale niż była, ale przetrwała tyle prób, iż na nią rachować może. Zna mnie dobrze.

Po téj rozmowie trzeciego dnia Krzysztof, który zwykł był najwięcéj chodzić piechotą, nadszedł nad wieczór do mnie, ale zamiast wprost do dworu, wcisnął się do ogrodu, siadł na ławce i kazał mnie wywołać. Spostrzegłem go zdaleka, przygarbionego i laską rysującego jakieś figury na piasku, nie słyszał mnie gdym nadszedł, przestraszył się niemal przywitaniem.

— Wiész! wiész! — rzekł głosem drżącym — tyś lepiéj widział odemnie. Głupim był, spóźniłem się, Wanda wychodzi istotnie za tego trutnia.

Założył ręce na piersiach i stał jak słup z oczyma wlepionemi w ziemię.

— Stało się — rzekł — jam się opóźnił, ona niewinna, potrzebowała opieki, rozrywki, zresztą, może to i dobry człowiek, a niezawodnie wart więcéj odemnie. Smutne to — dodał — lecz, jeśli ona w tém widzi szczęście swoje? Gdybyś widział, jak ująwszy mnie za rękę, czule, serdecznie pytała o zdrowie, jak mi się z tego tłómaczyła, ile mi okazuje przyjaźni? jak zaręcza, iż to naszych stosunków nie zerwie? Czegóż ja więcéj mogę żądać nad to, by patrzéć w jéj łzawe oczy i śmiejące się usta, a czasem rękę białą pocałować? Cóżby ona poczęła, gdyby poszła za mnie, co tak smutną gram rolę w salonie, który od ludzi uciekam! dowcipkować nie umiem. Z natury jestem

ponurym, a życiem złamany! Ja jéj nie winię. Mnie by się trudno było zmienić, a jéj do mnie zastosować.

Słuchałem go z sercem ściśniętém, nie odpowiedziałem nic, uściskawszy tylko. Chciałem go zaprosić do domu, odmówił.

— Pochodzimy po ogrodzie — rzekł—pomówimy, postękam i pójdę do mego lasu. Przykro by mi było spotykać się teraz z ludźmi, z któremi bym o tém mówić nie mógł, bo mi się wstrzymać trudno.

Zaczęliśmy chodzić, a ja wystąpiłem bez ogródki przeciwko Wandzie, Krzysztof ją najgorręcéj bronił, kochał ją, ale ta miłość w sercu starém była jak lawa wulkanu, gotująca się we wnętrzu, a nie mogąca wybuchnąć. Wyszukiwał najdziwaczniejsze argumenta, aby dowieść, że ta kobieta była aniołem, i że wychodząc za trzpiota, dopełniła nader rozumnego, koniecznego niemal czynu. Trzeba się było nad nim litować chyba, nawrócić go nie było podobna i pocóżem go miał nawracać. Tak, było mu dobrze. Nie dowierzając jednak temu optymizmowi, lękając się o niego, pojechałem dowiedziéć się nazajutrz. Był chory, z dnia na dzień wychudł nagle, zmizerniał, zestarzał, a postrzegłszy mnie udawał, że mu nie jest nic, i że się czuje jak zwykle.

Dnia tego on i ja unikaliśmy rozmowy o Wandzie. W kilka dni potém pojechaliśmy do niéj z żoną moją, z pierwszą wizytą. Nie znalazłem ją wcale zmienioną, ani weselszą, zawsze równie majestatyczną, smutną, poważną i dbałą o swą piękność... Kasztelanic wydawał się to jakby kuzynem i sługą... stał na boku, bawił gości, grał rolę podrzędną i skromną. Wytłómaczyło mi to po części sposób, w jaki się wkradał w łaski, pokorą. Wanda mało nań zważała, nie okazywała mu żadnych szczególnych względów, prześmiewała się nawet z niego trochę.

Nastąpiło ciche wesele, a raczéj ślub przy kilku świadkach, bez żadnego występu, bez żadnéj pozornie zmiany w Zamostowie. Krzyś przez czas jakiś nie bywał, ale kasztelanic po-

jechał do niego. Wanda żądała, ażeby przybył koniecznie i dał się skłonić do tego. Obchodzono się z nim jak z chorem dzieckiem, wzięto go pieszczotami, został przyjacielem i wielbicielem pani, jawnym na wieki wieków.

— Ależ hrabina, hrabina — przerwał Adryan — jakże mogła uczynić wybór podobny!

Teodor się uśmiechnął.

— Cóż chcesz! co chcesz, na świecie, między ludźmi, dzieją się takie rzeczy codzień. To bardzo naturalne, obawiała się wziąć sobie pana, i wolała zabawkę. Krzysztof prawie zadowolniony ze swego losu, mówi o tém bez żalu, przyznając się, że nie był wart téj kobiety, którą ubóstwia i zadawalnia się platoniczną czcią dla ideału.

Adryan tak był zmięszany wiadomością o ciotce, iż o nikogo już więcéj pytać nie śmiał, z obawy, aby się niespodzianie czego gorszego jeszcze nie dowiedzieć. A że wieczór się zbliżał, Teodor naglić począł, aby jechać do Zieleniewszczyzny.

— Wprawdzie — rzekł — posłałem przodem dać znać żonie, że wiozę jéj miłego gościa, ale gdybyśmy się opóźnili, ona taka delikatna, chora, mogłaby się niecierpliwić, a to jéj szkodzi biedaczce, jedźmy, siądziemy do mojéj amerykanki, konie pocztowe pójdą za nami.

Tak się i stało. Pomimo iż dosyć jechali prędko, był już wieczór dosyć późny, gdy się dostali do Zieleniewszczyzny. Choć o mroku postrzegł Adryan, że pod panowaniem pięknéj Lizy rezydencya przybrała bardzo arystokratyczną powierzchowność. — Dziedziniec zamykała krata żelazna z domkiem szwajcarskim u wnijścia. W ganku zupełnie przerobionym, jak dom cały, spotkała ich służba w liberyi paradnéj. Dom był rzęsiście oświetlony.

W progu salonu spotkała ich gospodyni, ale jakże zmieniona! Adryanowi zdało się, że nawet urosła, co było może sprawą wysokich korków, twarzyczka jéj pobladła, przeciągnęła

się, oczy świeciły tylko dawnym blaskiem. Ubrana z wykwintnością przesadzoną na wsi, w jedwabie i koronki, chciała widocznie udawać wielką panią, z czém jéj nie bardzo było do twarzy. Na szyi miała łańcuch złoty, na paluszkach nieskończoną moc pierścieni brylantowych, szmaragdowych, turkusowych. Nie mniéj może piękną była niż dawniéj, ale o wiele mniéj wdzięczną. Z pewną niecierpliwością wpadła na pokornego męża, który śpiesznie rękę jéj podaną, nie zbyt chętnie całował.

— Ale jakże można tak dać czekać na siebie.

— Droga...

— Co tam droga! to bałamuctwo panów! Wiedząc, że ja czekam z herbatą i niecierpliwić się muszę. To nie do darowania.

W téjże chwili zapytała służącego, czy samowar podany. Nie było go jeszcze. Opryskliwie rozkazała śpieszyć. Była widocznie w złym humorze. Z dawnego trzpiotostwa, wesołości, została tylko żywość taż sama, ale swarliwa, zgryźliwa, wielomówna.

Adryan napróżno chciał ją przebłagać. Przypatrywała mu się ciekawie, ale z rodzajem roztargnienia. Mały kaszelek przerywał rozmowę.

— Widzi pan — rzekła — co się ze mnie zrobiło. Ciągle jestem chora, kaszlę, nerwy mam okropne, klimat ten mnie zabija, wieś! proszę pana, jak można żyć na wsi?

Adryan nic nie odpowiedział.

— Pan wiész już pewnie, że mam syna, bardzo ładnego syna, jutro go panu pokażę i pozwolę pocałować w rączkę. A jaki rozumny!

Herbata podaną była w nowéj sali jadalnéj, do któréj niewiadomo zkąd jacyś przodkowie przywędrowali. Zastawa była wprawdzie Christophla i Ruosza, ale przepyszna, świecąca, wspaniała, choć o smaku gospodyni nie najlepiéj świadczyła. Był to ten przepych *de pacotille*, bez charakteru, pospolity, jaki się

spotyka po wielkich hotelach Europy lub u świeżo zbogaconych ludzi, nie mających własnego smaku i zmuszonych kupować go razem z towarem.

Lokaje posługiwali w białych rękawiczkach, podanie było wedle form wszelkich, ale herbata niedobra i chléb suchy, a reszta podobna.

Lizie szło o to, ażeby swe rączki i pierścienie pokazać mogła, podawała więc coś ciągle Adryanowi. Nie mając przedmiotu do rozmowy, wspomniał coś o dawnych dziejach, o folwarku, o owych wesołych wieczorach spędzanych u państwa Zamorskich. Liza się zarumieniła mocno, zakaszlała, odwróciła, znalazła coś bardzo pilnego do zadysponowania i nie dała mu rozszerzać się o tém. Mąż, który przewidział ten wypadek, zagadał zaraz czémś innóm.

Po herbacie zapytał Adryan gospodyni, czy zawsze zajmuje się muzyką.

— A! nie! nie! fortepian stoi rozstrojony, bo i ja ciągle rozstrojona jestem i chora. Nie mogę teraz znieść muzyki. Nasłuchałam się wirtuozów i to mnie zniechęciło, nie mogąc być pierwszą, nie chcę być mierną. Wprawdzie chwalił mnie Liszt, któremu coś grałam, ale straciłam siłę od ostatniéj słabości.

Natomiast zajmowała się Liza bardzo dziennikami, polityką, Europą, wielkim światem. Almanach Gotajski leżał w salonie, widocznie często używany na radę, bo się już niezamykał i ta część, która o rodzinach książęcych i hrabiowskich traktuje, mocno była wyczytana.

Pan Teodor był, jak się o tém przekonał po kilku chwilach pobytu Adryan, najlepszym z mężów i najprzypłaszczeńszym z perskich pantofli. Po herbacie chciał, usiadłszy przy żonie, grać rolę dawną rozkochanego i czułego, ale mu to z oburzeniem zganiono, jako rzecz nieprzyzwoitą i zakazaną. Odstąpił więc markotny.

Wszystko się jakoś tego wieczora nie składało, bo zaledwie

od herbaty wstawszy przeszli do salonu oświeconego wspaniale, gdy zaturkotało; gospodyni rzuciła się niecierpliwie, Teodor pobiegł do drzwi. Wypadek niefortunny zrządził, że przybyli właśnie na pokaz państwo Maciorkiewiczowie.

Męczyński nie umiał pokryć swojego nieukontentowania, ale, cóż począć było? Weszła najprzód pani Michalina ubrana bardzo skromnie, zmieniona na różową i otyłą kumoszkę, wesołéj i rubasznéj twarzyczki, a za nią mąż, na zamożnego ekonoma wyglądający, oboje krzykliwi, śmiejący się, i z siebie szczęśliwi. Misia zobaczywszy Adryana, którego poznała, aż krzyknęła z radości i przybiegła obie mu wyciągając ręce. Owo dziewczę smutne i milczące stało się kobieciną trochę mamę przypominającą, rysów dosyć pospolitych, lecz tryskających zdrowiem i życiem.

Gospodarz nie kryjąc kwaśnego usposobienia przywitał się ze szwagrem, i spojrzał z ukosa na Adryana, jakby mu mówił: Licho ich tu przyniosło.

Podano po raz wtóry herbatę, bo Maciorkiewiczowie byli po szlachecku głodni i z tém się nie kryli. Korzystając z ich wyjścia, Teodor zbliżył się do Adryana i zabrał go z sobą do *fumoiru*, bo w salonie palić nie było wolno. Tu podając mu cygaro, westchnął głęboko.

— No, patrz, traktuję ich jak najzimniéj, Liza ich nie lubi, a nigdy nas nie miną. I składa się, jakby naumyślnie, gdy mamy gości, przy którychby człowiek nie rad się chwalić takiém pokrewieństwem, że oni właśnie nas najadą. To mi moje szczęście truje.

Tu pan Teodor począł się szeroko rozwodzić nad szczęściem, jakiego doznawał; nad Lizą, która umiała się doskonale zastosować do nowych obowiązków i położenia.

— Uważałeś co to się z téj swawolnéj Lizki zrobiło? jaka to powaga? co za dystynkcya? hę? Ale jak, *memento quea pulvis*

es, gdy jestem najszczęśliwszy wpada mi Maciorkiewicz lub Zamorski.

Westchnął głęboko.

— Instynkt téj kobiety był niezrównany — dodał — w parę miesięcy do niepoznania się przerobiła!

Adryan nie znajdował wprawdzie, ażeby zyskała na przemianie, lecz poczciwy pan Teodor był z niéj zadowolniony. Rozmowa ustała, gdy do *fumoiru* nadszedł Maciorkiewicz, któremu podano cygaro. Zaczęto mówić o rzeczach obojętnych. Młody dzierżawca cały był zajęty księgosuszem, którego się u siebie obawiał. Rozmowa z tego tematu nie była obfitą w myśli wzniosłe. Teodor milczał, Adryan parę razy ziewnął, wkrótce potém się rozeszli. Nie śmiejąc o nic pytać, nie chcąc myśléć ani się domyślać niczego, Adryan rozczarowany mocno spać się położył. Dano mu pokój od ogrodu na dole, którego okno wychodzące na wschód, zasłaniały bzy rozkwitłe. Śpiewały w nich krzykliwe słowiki, ale ta wiosna wydała mu się mniéj daleko piękną od pierwszéj przed parą laty. I on już postarzał.

Z rana promień jaskrawy słońca go obudził, wstał nie mogąc zasnąć i poszedł, czekając aż drudzy powstają, do ogrodu. Tu także zmiana była wielka na dobre, widoczne w nim naśladownictwo Zamostowa, zrobiono z niego park niesmaczny, ozdobny w domki i altanki malowane jaskrawo, kilka gipsowych figur stało na niby kamiennych podstawach.

W chwili, gdy się tego najmniéj spodziewał, w rannym szlafroczku dosyć wiejskim, zaszła mu drogę Misia z wesołym uśmiechem.

— Myśmy tylko dwoje ranne ptaszki — odezwała się potrząsając bukietem kwiatów, który niosła w ręku. Na liściach ich i kielichach drżały jeszcze krople rosy. — Mąż mój nawet odpoczywa snem sprawiedliwego, zmęczony biedaczysko. Liza wstaje zaledwie po dziewiątéj, a Teodor także nie wcześniéj, patrz-że pan, co to się z nas wszystkich porobiło! Liza taka

wielka pani! cha! cha! ona zawsze miała do tego ochotę, Teodor bardzo dobry człowiek, ale go jéj nie zazdroszczę.

Pokiwała główką.

— Nudne to te pańskie życie z temi ceremoniami, muszą się piąć do tych, z którymi żyją, a to darmo, jakby kto niewiedział zkąd my pochodziemy. Ja sobie żyję z moim mężem swobodnie, w naszém kółku.

— Ale pani Teodorowa jest szczęśliwą.

— Tak! tak, kaszle, chora, skwaszona, znudzona! piękne mi szczęście proszę pana. Teodor téż zapada na nogi. Czy uważał pan, jak się zmienił, wyłysiał i postarzał. Czasem jak się zapomni, wygląda na dziada.

Wstrzęsła się, drgnęła, roześmiała Misia, popatrzała na Adryana i wąchając bukiet pobiegła męża obudzić.

— A już bo się téż wysypia do zbytku!

Do śniadania, które nie rychło podano, wystąpiła Liza w toalecie paradnéj, niby porannéj, z nowemi pierścieniami na paluszkach. Przyniesiono téż pontyfikalnie na poduszce tiulem i koronkami obszywanéj, z niebieskiemi wstążkami, na rękach wystrojonéj mamki, dziedzica przyszłego imienia Męczyńskich, którego matka admirować kazała. — Rozbeczał się fatalnie, a widok jego karmazynowéj twarzyczki w zły humor wprawił pana Teodora. Za to pani Maciorkiewiczowa nacieszyć się nim nie mogła.

Sama pani z powodu nie dosyć szybkiéj i zręcznéj usługi, była niecierpliwą i kwaśną.

Konie pana Adryana stały od dawna, ale go nie puszczano, wyrwał się przecież, i sam nie wiedząc czemu, zamiast jechać do Zamostowa, kazał ruszyć wprost do chaty Wilczków, która nieco z drogi była.

O Dosię wcale się nie dowiadywał, lękał się prawie coś złego posłyszéć.

Biło mu żywiéj, niż wczoraj serce, gdy się do dworku przy-

bliżył. Tu nic a nic się nie odmieniło, jakby ztąd wyjechał wczoraj. Grzmilas nawet powitał go znajomém szczekaniem.

W podwórku stał stary Wilczek ze strzelbą na plecach, z torbą borsuczą, w łapciach na nogach, które zawsze brał do lasu. Spostrzegłszy kogoś przybywającego, rękę przyłożył do czoła, usiłując rozpoznać, ale nie rychło sobie przypomniał Adryana i głos dopiéro wywołał okrzyk:

— O mój Boże, a cóż tu pan robisz! Wszak to pana wieki nie było.

— No, całe dwa lata, panie Wilczek. Jadąc do ciotki po drodze chciałem do was wstąpić, aby was powitać i dowiedziéć się, czyście zdrowi, co się tu u was dzieje?

— A! no! a no! pomaleńku, żyjemy, kto nie umarł — odparł Wilczek — jakoś smutnie, z rezygnacyą. Żony mojéj biednéj na świecie nie stało, rok jak skończyła. Panie świeć nad jéj duszą.

— Więc tak sam osierocony pan zostałeś? — zapytał Adryan poglądając dokoła i nieśmiejąc wspomniéć o Dosi.

— Sam, sam, baba tam jakąś łyżkę strawy zwarzy, choć do niéj człek dziś nie ma apetytu — mówił leśniczy — osmutniało życie.

Spuścił głowę i łzę otarł pokryjomu.

— A córka? — rzekł wreszcie cicho Adryan.

Stary spojrzał mu w oczy, nieco zakłopotany.

— Dziękuję panu za pamięć, żyje zdrowa.

I uciął. Adryan nie śmiał badać, gdzie była i co się z nią działo. Z twarzy ojca domyślał się, że nie miał się z czém chwalić, gdyż zamilkł jakoś posępnie.

— A pan Krzysztof?

— Żyje stary, zdrów dzięki Bogu, tylko już po lesie tak się nie włóczy jak dawniéj. Spadł na mnie samégo dozór, a tu się złodziejów namnożyło bez miary, że upilnować nie można i zu-

chwalstwo takie, iż człek siekiery odebrać nie śmié, aby nią w łeb nie dostał.

Chwilkę milczał Wilczek, i wnet dodał opamiętawszy się.

— A może łaska zajść do chaty i choć trochę odpocząć.

Weszli tedy do téj izby pamiętnéj, która Adryanowi przypomniała chorobę Krzysztofa i pobyt jego u Wilczków i ową Dosię, która z płaczem klęczała u łoża starego. Tu także najmniejszéj nie było odmiany, nic nie przybyło, nic nie zginęło, też same przybory myśliwskie wisiały na starych gwoździach. Wilczek, gdy kapelusz słomiany zdjął, wydał się postarzałym bardzo, twarz mu się pofałdowała. Siedli przy stole.

— Tak więc sam pan się nudzisz w téj chacie — rzekł Adryan.

— Cóż robić? Trudno tu było moją Dosię zamykać, kiedy raz na świat wyjrzała.

Ale nie powiedział nic więcéj, pan Adryan nie chciał się wydać ze szczególném zajęciem nią i zmilczał.

Poczęło się biadanie na czasy, na ludzi, na wszystko i ciężkie przepowiednie gorszéj przyszłości, do któréj szło wszystko. Wilczek wzdychał i groził nieochybną karą Bożą.

Po półgodzinném słuchaniu, Adryan widząc, że się już więcéj nic nie dowié, pożegnał starego i pojechał do Zamostowa.

Przypomnienie kasztelanica, który przy pierwszém poznaniu jakiś w nim wstręt obudził, niemiłém czyniło przybycie do ciotki. Było dobrze z południa, gdy konie stanęły przed gankiem. Na pierwszy rzut oka rozpoznać było można, iż w ogrodzie i około domu dawnego starania nie było. Pewien odcień zaniedbania dostrzedz się dawał.

Służący, który wyszedł naprzeciw Adryana, zmięszał się zobaczywszy go i jakby niewiedział co począć, ale w téjże chwili ukazał się na ganku kasztelanic z cygarem w ustach, ubrany letnio i bez wielkiego starania, z twarzą zarumienioną. Poznawszy Adryana podał mu rękę.

— Nie wiem czy Wandzia ubrana — rzekł — chodź tymczasem do mnie, każę jéj powiedziéć, że przyjechałeś.

I pociągnął go za sobą.

Pokoje najwygodniejsze w prawo, urządzone były dla pieszczonego kasztelanica, z wielkim zbytkiem i wygodą. Znać w nich jednak już było człowieka nieporządnego, który potrzebował nieładu, aby mu było wygodnie. Popiół od cygar, porozrzucane suknie, poroztrząsane książki, poniszczone sprzęty przykre robiły wrażenie.

— Prawdziwie Wandzia i ja niewiedzieliśmy co myśléć, żeście się tak długo nie zgłaszali — rzekł gospodarz rozparłszy się na szezlągu naprzeciw fotelu, w którym posadził Adryana. — No, widzisz, kochany panie — mówił śmiejąc się — czybyś się był spodziewał, że tego osławionego szulera i łotra znajdziesz mężem Wandzi. A! przyznam ci się, że i ja się tego szczęścia nie śmiałem spodziewać, ale ona czuła, że mam dobre serce, żem ją kochał, i że ze mną będzie szczęśliwa. Żyjemy jak w raju. Dałem jéj słowo, że w karty grać nie będę.

Rozśmiał się.

— No, juściż tak zapamiętale, jak dawniéj pewnie nie, ale dla rozrywki ona mi sama nie broni. Dobra jak anioł.

Gdy to mówił, otwarły się drzwi od pokojów pani Wandy i ona sama weszła blada, poruszona dziwnie, ręce wyciągając do Adryana, którego uścisnęła serdecznie.

— Jakżem ja szczęśliwa, że cię widzę!

Łzy jéj w oczach stanęły, potém jakby sobie przypomniała powagę dawną i spokój, wyprostowała się, i przybrała zwykłą swą postawę. Adryan znalazł ją zmizerniałą, smutniejszą niż była i z wyrazem znękania na pięknéj jeszcze twarzy.

— Zkądżeś się wziął? co się z tobą działo? — poczęła pytać.

Ponieważ pan sam jeszcze ubranym nie był, a godzina obiadowa się zbliżała, ciotka wyprowadziła z sobą siostrzeńca

do salonu. Dziwił się nie widząc panny Kornelii, ale o tę pytać nie miał ochoty. Wanda sama szepnęła mu wyszedłszy:

— O Dosi ci powiem późniéj.

— Więc jéj tu nie ma? — spytał Adryan niespokojnie.

— Nie ma — rzekła ciotka urywając nagle.

— A panna Kornelia?

— Odjechała.

I ta odpowiedź krótka była i sucha.

— A rejent? — spytał Adryan.

— Rejent — rumieniąc się rzekła hrabina — sam życzył sobie zamieszkać przy kościele, tam mu daję pensyjkę i ordynaryą. Widzisz mój drogi Adryanie — mówiła z tęsknym wyrazem patrząc nie ku niemu, ale na ogród — wiele, wiele się tu zmieniło rzeczy, ja téż... Cóż chcesz? tak trzeba było, kobiecie saméj zostać na starość, bez opieki, bez towarzystwa, bez przyjaciela, niepodobna. Mój mąż, wierzaj mi, jest dobrym człowiekiem. Może miéć wady, jak wszyscy, ale serce poczciwe.

Westchnęła.

— Wahałam się długo, on mnie kochał, przywiązał się do mnie, jestem szczęśliwą.

Temu wyrazowi pełnemu znaczenia, towarzyszyło cichsze westchnienie, które zdawało się mu zaprzeczać.

Oczy Wandy nie śmiały się zwrócić ku siostrzeńcowi, jakby się lękały, aby z nich innéj prawdy nad tę, którą mówiły ustami, niewyczytał.

Jest coś w każdym domu, co zdradza żywot, uczucia i stan jego mieszkańców, nie daje się to pochwycić ani opisać. Fizyognomia szczęśliwego domu może być pozornie taż sama co innego, w którym się zagnieździło cierpienie, oko wprawne po jedném niczém pozna uczucia, które tędy przepłynęły. Zamostów dawniéj wydawał się swobodnym, miło w nim było oddychać, wszystko się tu uśmiechało i kwitło, nic nie było w nim zmienionego teraz, a przecież ciężyło coś, chłód jakiś panował, przymus, tę-

sknota. W ganku wazony zdawały się powiędłe, park zarastał nieczyszczony, na sprzętach znać było obojętność gospodyni na wszystko co ją otaczało. Adryan rozglądał się i miał przeczucia przykre. Nie chciał i nie śmiał się pytać. Ciotka chodziła po salonie, rzucając po słowie, jakby się zmuszała do mówienia, jakby połykała łzy i wyrazy. Spytała, kiedy przyjechał.

Adryan opowiedział swe spotkanie i bytność w Zieleniewszczyznie.

— Jakżeś znalazł tę biedną Lizę i tego szczęśliwego Teodora? — zapytała z uśmiechem przymuszonym Wanda.

— Tak jak ciocia powiada: ją swoją wielkością zakłopotaną, jego, przejętego szczęściem zarazem i najprzejednanego z Maciorkiewiczami, których tam właśnie zastałem. Liza kaszle i skarży się, że chora.

— Nie wiem, możeby chciała jechać zagranicę — szepnęła ciotka — a pan Teodor jako dobry mąż, pośpieszy spełnić to życzenie.

O panu Krzysztofie dotąd mowy nie było. Sama wreszcie pani rumieniąc się nieco wspomniała go.

— Dobry, zacny mój przyjaciel postarzał — rzekła wzdychając — nic go już z téj pustelni, do któréj przyrósł jak żółw do swéj skorupy, wyciągnąć nie potrafi. Żyje w świecie umarłych, maluje herby. Spisuje kolligacye, a czasem nas odwiedza. Radabym go widziéć jak najczęściéj, bo go doprawdy kocham.

Powiedziała to chłodno na pozór, i westchnęła.

— Zestarzał nad miarę prędko biedny pustelnik — dodała ciszéj. — Całą jego pociechą Wacek, którego na szlachcica wedle swéj myśli wychowuje.

— A państwo Pawłowstwo? — dorzucił Adryan aby utrzymać rozmowę.

— Szczęśliwi ludzie — mówiła ciotka — gdyby się ich z majątkiem próżność i państwo nie uczepiło. Sama pani poczęła

chorować na to dla przypodobania się Krzysztofowi, ale teraz nabrała smaku i dom przestraja dla siebie.

Rozmowę przerwał wchodzący kasztelanic, który na próg z sobą wniósłszy nudę co go męczyła, ziewał witając gościa i żonę dosyć od niechcenia i co najprędzéj padł na wygodny fotel spoczywać. Miał twarz i postawę zmęczonego wielce próżnowaniem człowieka. Adryan postrzegł łatwo, że pomiędzy małżeństwem nie było téj harmonii ludzi co się kochają, a któréj się dla szczęścia ciotki spodziewał. Wanda unikała wejrzeniem męża, on miał minę zakłopotaną winowajcy. Widocznie pomiędzy temi dwiema istotami przeszła już jakaś chmura, która cień na serca rzuciła. Mówiono o rzeczach obojętnych, a ile razy Adryan chciał coś napomknąć o osobach, co go obchodziły, zbywano go milczeniem wiele znaczącém.

Po obiedzie pan kasztelanic zdrzémnął się w krześle, Adryan na ganek wyszedł z ciotką, ale i tu choć byli sam na sam, nie przyszło do prostszego wynurzenia się. Wszystko, co tu widział i co się przed nim kryło, tak rozbudziło ciekawość przybysza, iż postanowił szukać gdzieś wiadomości i klucza do téj zagadki. Ale gdzie? u kogo? zbyt nizko sięgając do znajomych sobie domowników, mógł się narazić na usłyszenie złośliwych fałszów i tłómaczeń nierozsądnych. Na myśl mu przyszedł z kolei i rejent na dewocyi w miasteczku, nie bardzo chętny do zwierzeń i dom państwa Pawłowstwa.

— Pozwoli mi ciotka — rzekł wkrótce — ażebym na godzinę jaką pojechał do Pobogowszczyzny?

Wanda zwróciła się żywo, z jakimś uśmiechem smutnym i spojrzeniem znaczącém i zadzwoniła natychmiast, aby kazać konie zaprządz dla Adryana.

— I owszem — odezwała się — pojedź tam, ale powracaj do nas, (poprawiła się), do mnie, będziemy jeszcze z sobą mieli wiele do pomówienia. Nie jestem skłonną do zwierzeń, lecz

powoli, mój drogi Adryanie, wiele rzeczy będę musiała ci wyspowiadać, a może i rady zasięgnąć.

Umilkła nagle spuszczając oczy. Spojrzała pobieżnie ku salonowi, w którym kasztelanic z cygarem w ustach odpoczywał i zdawała się chcićć dać do zrozumienia, że na teraz mówić więcéj nie wypadało.

Coraz niespokojniejszy Adryan wyszedł, gdy mu znać dano o koniach i pojechał. Wcale niespodziane jakieś znajdował tu zmiany, których nawet odgadywać nie śmiał.

Do dworu w Pobogowszczyznie wiodła ulica z klonów i lip, w części wyłamana, lecz jeszcze dosyć cienista. Zbliżał się nią do starego domu, gdy postrzegł dwie białe między drzewami sukienki. — Widocznie były to osoby, które wyszły między cieniste stare lipy przed chwilą, bo nawet kapeluszów z sobą nie miały. Jedna z nich, mniejszego wzrostu białą chusteczką zawiązała sobie twarzyczkę rumianą. Adryan poznał w niéj zdala, znacznie wyrosłą i na panienkę już wyglądającą Magdzię. Towarzyszki jéj, bardzo skromnie ubranéj i z jakąś śmiałością ruchów postępującéj obok dziewczęcia, z gałęzią zieloną w ręku, nie mógł zrazu przypomnićć. Było to piękne dziewczę, dumnie i raźnie patrzące w świat, z twarzą nie tak uderzającą czystością nieposzlakowaną rysów, jak bardziéj wyrazem pojętności i męztwa. Dopiéro po chwili wpatrzenia się, poznał w téj panience dawną Dosię.

Natychmiast kazał konie zatrzymać i wyskoczył z powozu, Magdzia ucieszona krzyknęła z radości klaskając w ręce i ruszyła się podbiedz ku niemu, ale powaga wyrostka, do któréj uczuła się nagle obowiązaną, wstrzymała ją. Dosia zarumieniła się i na ustach jéj poważnych zarysował się uśmiech mimowolny.

— A! to pan! zaraz poznałam go! — zawołała Magdzia.

— Ja także panią, jeślim nie poznał, tom się prędko domyślił — rzekł Adryan witając obie — tylko pannę Wilczkównę, któréj się tu widzićć nie spodziewałem, która...

— Mów pan otwarcie — przerwała Dosia — którą sobie inaczéj wyobrażałeś... nie mogłeś poznać.

— Przepraszam panią, poznałbym ją wszędzie i zawsze.

— Nie miałabym mu za złe gdyby było inaczéj, widziałeś mnie pan ostatni raz, podobno boso i w wieśniaczym fartuszku.— Uśmiechnęła się. — Nieprawdaż, że tak mi było lepiéj, a teraz podobną jestem do wszystkich.

Patrzała śmiało w oczy Adryanowi mówiąc te słowa, potém wzrok powoli przeniosła na zarumienioną Magdzię.

— Ale chodźmyż do dworu, państwo Pawłowstwo niezmiernie panu będą radzi. Ileż to tu razy o nim wspominano? Jak można było tak gdzieś tam daleko się schować i ani dać znaku życia?

— Tak się to złożyło — mówił Adryan bacznie przypatrując się Dosi, która pomimo stroju i zmienionych nieco, uszlachetnionych może ruchów, najmniéj podobno z charakteru swojego straciła. Coś na wpół dzikiego, śmiałego, pozostało w niéj i teraz. Piękność jéj nie straciła nic, ale nie zyskała także, można było powiedziéć, że zmężniała i dojrzała tylko. Czując, że Adryan się w nią wpatruje ciekawie, panna Wilczkówna usiłowała uwagę jego zwrócić na Magdzię, która rada była szczebiotać. — Zbliżano się ku dworowi.

— Widzi pan, poczęło dziewczę, jak się tu wiele zmieniło w Pobogowszczyznie. Nie prawda, że i dom ładniéj wygląda, ogród i sztachety, a wewnątrz, zobaczysz pan, jak mama to umiała pięknie urządzić. Nawet stryj Krzysztof pochwalił. A! jak tatko z pana będzie rad i mama i Wacek. Wacek wyrósł okrutnie, aż nadto, taki ogromny się zrobił.

Słuchając tego szczebiotania, przerywanego to uśmiechem, to słowem Dosi, Adryan ciągle się jéj przypatrywał. Smutniejszą była, niż niegdyś, poważniejszą, ale tą samą Dosią, któréj rozumem, wejrzeniem i mową otwartą cieszył się niegdyś Wilczek stary.

W ganku znaleźli pana Pawła, panny pobiegły dać znać gospodyni o gościa przybyciu. W istocie dwór wspanialszy był, wyrestaurowany z pańska, ale, niestety, bez wielkiego smaku. Ganek oszklony pełen kwiatów prowadził do środka. Tu sprzęt cały sprowadzony ze stolicy, przepyszny, wytworny, miał tę wadę, że był taki, jak wszędzie, zwierciadła ogromne, dywany przepyszne, wszystko nowe i jak z igły zwiastowało dorobkiewiczów, którym pilno było pochwalić się z mieniem i smakiem. Paweł po staremu ubrany był z wielką prostotą, ale pani wyszła strojna, z wielkiem staraniem. Nie wpływało to jednak na jéj serdeczne, przyjacielskie, szczere gościa przyjęcie, wybiegła naprzeciw Adryana ucieszona, śmiejąca się, szczęśliwa. Wacek gdzieś był na botanicznéj wycieczce.

Po wybuchu pierwszéj radości, kilka słów zamieniwszy z panem Pawłem, Adryan wybrał się z nim sam na sam do ogrodu, panie domyśliły się, że potrzebowano rozmówić się poufale, na osobności.

— Kochany panie Pawle — począł Adryan — jestem już drugi dzień w okolicy, widziałem Teodora, ciotkę, spotykam na każdym kroku jakąś nową zagadkę, bądź pan łaskaw objaśnij mnie, naucz, wytłómacz, co się tu u was porobiło.

— O czémże chcesz wiedziéć? — spytał Paweł.

— O wszystkiém i wszystkich, czego się sam domyśléć nie potrafię. Zdumieniem dla mnie jest zamążpójście ciotki.

— I było ono niem dla całego sąsiedztwa; ale mógłże kto, najlepiéj życzący hrabinie, mięszać się do tego, przestrzegać, odradzać? Najwięcéj winien Krzysztof, bo może najwięcéj mógł, a sam źle zrozumianą delikatnością się usuwał. To zamążpójście tajemnicze, niezrozumiałe, lękam się, czy uczciwemi środkami dokonane, było sprawą panny Kornelii. — W tém, powtarzam ci, jest coś niepojętego. Nie można się dziwić, że znudzona, na rzeczy obojętna dozwoliła kasztelanicowi bywać w swym domu, ale że się zdecydowała wyjść za niego!? Tylko panna

Kornelia, która tę sprawę prowadziła cichaczem, wysyłała posłańców, pisywała tysiące listów, przywabiała swego protegowanego, znajdowała preteksty do zatrzymywania go w Zamostowie, może wiedziéć, jak zmuszono hrabinę do oddania ręki kasztelanicowi, ale że ją zmuszono, to pewna.

— Jakto zmuszono? — krzyknął Adryan porywając się — możeż to być?

— Nie mówmy o tém — kończył Paweł — ale powiadam panu, zmuszono ją i to może w sposób, nie bardzo szlachetny i uczciwy. Dziś o tém nie ma już co mówić, gdy rzecz skończona.

Adryan ręce załamał.

— Na tém nie koniec — mówił Paweł. — Hrabina przywiązała się mocno do Wilczkównéj, groziło to pannie Kornelii osłabieniem jéj wpływu w domu i może wykryciem roli, jaką tam grała. Potrzeba więc było Dosię oddalić koniecznie. Zacna kuzynka wzięła się do tego w sposób nader zręczny. Poczęła kasztelanicowi nastręczać sposobność spotykania się z niewinną i niczego złego nie domyślającą się dziewczyną, która gdyby nie jéj męztwo i zacność charakteru, łacno być mogła zgubioną. Kasztelanic, jako płochy i nawykły do pokątnych romansów zawiązał skwapliwie stosunki blizkie z Wilczkówną, która w nich tylko życzliwość i przyjaźń widziała. Z drugiéj strony panna Kornelia nieomieszkała drogą kuzynkę zwolna przygotowywać i przestrzegać o zdradzie. Cała ta intryga poprowadzoną była tak zręcznie, iż najszczęśliwiéj się udała. Kasztelanic głowę stracił zupełnie, panna Kornelia władała nim, mówiła mu gdzie ma iść, co ma robić, udawała litującą się pośredniczkę, a Dosię starała się jak najmocniéj skompromitować. Przychodziło jéj to łatwo, bo dziewczę było ślepe zupełnie, nie znało świata, gardziło formami, a nieopatrzność posuwało do najwyższego stopnia. Ułożywszy tak raz schadzkę w oranżeryi, że kasztelanic

zastał tam Dosię samą, nakłoniwszy go aby z nią mówił otwarcie, panna Kornelia naprowadziła Wandę na tę chwilę, gdy mąż jéj klęczał przed Wilczkówną, a ona jak osłupiała stała niemogąc zrozumiéć, co to znaczyć miało. Zdaleka scena ta mogła się wydać daleko straszniejszą, niż była w istocie. Hrabina oczy sobie zakrywszy uciekła. Co zaszło pomiędzy nią a mężem, niewiadomo, ale odtąd pozostali z sobą grzecznie, chłodno i jak obcy. Wilczkówna zaś tegoż dnia pieszo wyszła z Zamostowa do swéj zagrody, zkąd myśmy ją wzięli do siebie. Przed Krzysztofem musieliśmy to wcale inaczéj wytłómaczyć, gdyż ani krzywdy swéj wychowanki, ani zdrady swojego ideału nie przebaczyłby kasztelanicowi. Krzysztof nie wie o niczém, prócz, że Dosia nam do Magdzi była przydatną i żeśmy ją wzięli. Tryumf panny Kornelii zdawał się zapewniony, panowanie jéj w domu ugruntowane, gdy jakaś rewokacya domowa, nieznanéj nam natury, odkryła część intrygi przed oczyma hrabinéj, która jéj dom swój kazała natychmiast opuścić. Zdaje mi się, że się u kasztelanowéj znajdować musi. Ciotka wasza niechce pokazać przed światem pomyłki, jaką popełniła, czy téż intrygi nikczemnéj, któréj się stała ofiarą, żyje więc z kasztelanicem, ale to życie męczennicy, co z uśmiechem znosi boleści.

Adryan łamiąc ręce przechadzał się po ścieżce.

— Jakto?—zawołał — i na to wszystko nie byłoby ratunku i tego nikczemnego pozbyćby się nie można?

— Jak? skandalem? rozgłosem? wstydem? upokorzeniem? — spytał Paweł. — Nie wiem jak się prowadzi, to tylko mnie doszło, że grywa jak dawniéj, że długi zaciąga, że dawne towarzystwo znowu do Zamostowa zaprasza, i że korzystając z położenia żony nie chcącéj ani się odezwać, ani bronić, żyje w sposób najnieprzyzwoitszy dla człowieka będącego głową poważnego domu. Słaba matka płacze nad tém o czém się dowiaduje, ale

panna Kornelia pilno się stara najgorsze ukryć przed nią, a resztę jako potwarz zazdrosnych tłómaczyć. Wszystko to, co wam mówię — dołożył Paweł — nie jest może rozgłośném bardzo, przecież gwarzą o tém ludzie półgębkiem i z każdym dniem stafe się to jawniejszém.

— Pan Krzysztof nic nie wié? — dodał Adryan — a bywa tam?

— Bywa, ale przed nim Wanda grywa komedyę, gra ją kasztelanic, a stary dobrowolnie jest ślepym i chce widziéć szczęście, więc je sobie sam maluje. Gdyby się prawdy domyślił! znasz go, jest niepohamowanie gwałtownym, nie kocha, ale czci i ubóstwia Wandę, mógłby się dopuścić... czegoś, coby sprawę pogorszyło, a stało się wielkich nieszczęść powodem.

Wszystko czego się nagle dowiedział Brzoski tak go przejęło, że w pierwszéj chwili chodził jak oszalały, rzucał się i zamyślał tylko, co ma począć, bo nie umiał pojąć, by na nieczynność, w obec takiego stanu, miał być skazanym.

— Kochany panie Pawle — rzekł po milczeniu długiem — jest-żeś pan pewnym tych faktów? nie są one przesadzone dowolnie, dopełnione?

— Płyną z najlepszego, czystego źródła, ta biedna, a wielce zacna Wilczkówna, o mało nie padła ofiarą intrygi — mówił Paweł — patrzyliśmy na to, byliśmy poniekąd świadkami. Ja kasztelanica znam dawno, znają go wszyscy. Wanda uchybiła lekkomyślnie wpuszczając go do swojego domu, ale nigdyby za niego nie poszła, gdyby nie zręczne manewra panny Kornelii, która ją potrafiła skompromitować, zmusić niemal do małżeństwa.

Zburzony cały, tak, że na twarzy jego malowały się wszystkie uczucia, jakie w nim opowiadanie wzbudziło, przeszedł Adryan do salonu. Poznała po nim pani Pawłowa to wzruszenie, które wesołością swą i obojętniejszą starała się uśmierzyć rozmową. Brzoski nie mógł nawet wpatrzyć się w Dosię, bo się lękał, aby

wzrok jego nie dał się jéj domyśléć, że wié te szkarady. Wilczkówna siedziała naprzeciw niego z Magdzią, spokojna, poważna, ciekawie niekiedy mierząc go oczyma. Wiedziała ona, że Adryan był pierwszym, co ją w ten świat chciał wprowadzić, i wdzięczną razem mu była i gniewną. Oboje nie przemówili już do siebie prawie i słowa.

— Byłem u ojca pani — rzekł tylko krótko Brzoski — i ucieszyłem się widząc go w dobrém zdrowiu.

— Biedny ojciec! — szepnęła Dosia — jemu tam tak pusto.

Wkrótce po podwieczorku, Brzoski śpieszył wyjechać napowrót do Zamostowa, pilno mu było widziéć się z ciotką po odkryciu tych tajemnic, i oszczędzić jéj przykrych wyznań, jeśliby je czynić chciała. W drodze napadła go burza z ulewą, tak, że i spóźnić się musiał z powrotem i dojechawszy przebierać jeszcze, nim poszedł do salonu. Wieczór już był późny. W pokojach kasztelanica rzęsiste światło i wrzawa oznajmiły mu dosyć liczne i hałaśliwe towarzystwo. Wstępować tam nie miał najmniejszéj ochoty, poszedł wprost do ciotki. Zastał ją oczekującą na siebie, ubraną jeszcze i przebiegającą salon wielkiemi krokami. Wyszła naprzeciw niego uśmiechnięta.

— Walerek ma u siebie jakichś nieznośnych gości, są to starzy znajomi, których się pozbyć nie może. Jeśli, o czém nie wątpię, towarzystwo to bawić cię nie będzie, możesz zostać ze mną. Oni sobie zapewne wkrótce pojadą.

Spojrzała mu w oczy Wanda, skłonił się i nic nie odpowiedział, chciała może wybadać, czy wié już o czém, i co mu u państwa Pawłowstwa powiedziano.

— Widziałeś dawną swą znajomą — dodała — i jakżeś ją znalazł?

— Z daleka tylko i na krótko ją postrzegłem — odparł Adryan — ale, jeśli mam szczerym być, wyznam, że nic w mych oczach nie straciła.

— Wątpię, żeby zyskała — odezwała się ciotka z uśmiechem — dziewczę zachowało dawną swą dziką nieco śmiałość, która w salonie może się różnie tłómaczyć. Ludzie nie nawykli do podobnego obchodzenia się, mogą ją brać za daleko gorszą, niż jest w istocie.

— Lecz możnaż o niéj co złego powiedziéć? — zapytał Adryan.

— Złego! proszę cię... to złe, jakieby powiedziéć można, jest, jest, jeśli chcesz stosunkowém — mówiła Wanda powoli i cicho cedząc wyrazy — trochę zalotna, trochę płocha, trochę nieostrożna.

Zatrzymała się i spojrzała mu w oczy.

— Czy twoja miłość dla niéj wróciła z tobą? — zapytała.

— Nie zmniejszyła się wcale — rzekł Adryan — a dzisiejsze, choć przelotne widzenie, rozbudziło ją mocniéj.

— I miałbyś seryo na myśli...

— Starać się poznać ją bliżéj — rzekł Adryan — potém, zobaczymy.

— Pozwól-że, bym z tobą szczerą była, bom ja na nią długo chłodniejszemi od twoich oczyma patrzała, mój Adryanie — mówiła Wanda — Dosia, Dosia jest czémś ekscentryczném, istotą o którą wyrzec sąd stanowczy trudno, ma przymioty i wady, lękam się, by te ostatnie zbyt się nie stały wybitne. Posłuchaj, bałamuciła mi Walerego, może najnaiwniéj, ale nieco był stracił głowę, i to się stało przyczyną, żeśmy się rozstać musiały. Nie winię kasztelanica, mogło mu się młodsze odemnie dziewczę chwilowo podobać, ale ją, która mnie zdradzała!!

— Przepraszam ciocię — przerwał gwałtownie Adryan — ja winię pana kasztelanica, nie ją. On bardzo dobrze wiedział, co poczynał, ona mogła wcale nie rozumiéć tego, że przyjaźń i opieka pozorna, mogą pokrywać brudną namiętność kryjomą. Dziewczęciu niedoświadczonemu wybaczyć można nieopatrzność,

doświadczonemu człowiekowi płochości takiéj darować się nie godzi.

— Ale to nie było nic znowu tak seryo, z jego strony — poczęła Wanda — jam się może niepotrzebnie nastraszyła.

Rumieniec wystąpił na twarz Wandy, spojrzała na siostrzeńca i poznała po oburzeniu, że nie z jéj ust po raz pierwszy dowiedziéć się musiał o wszystkiém.

— Co ci mówiono u Pawłowstwa? — wtrąciła nagle — bądź szczerym. Pan Paweł mógł ci prawić jakie niedorzeczne domysły.

Zaczęła się unosić.

— Ludzie są źli doprawdy, nawet kiedy kogoś kochają, tłómaczą sobie wszystko opacznie. Mogli ci pleść niestworzone rzeczy o mnie, o Kornelii, o moim mężu. To są plotki, to bajki, w tém nie ma słowa prawdy! Kornelia sama chciała wsunąć się do kasztelanowéj, która ją miéć przy sobie pragnęła, mój mąż jest dobrym człowiekiem, który za grzechy młodości czasem pokutować tylko musi, jak dzisiaj. Stosunki trudniéj jest zerwać, niż zawiązać. Proszę cię nie wierz plotkom, ja jestem szczęśliwa.

— Kochana ciociu — odezwał się całując jéj rękę Adryan — plotkom mógłbym niewierzyć, ale oczom muszę. Szczęście wygląda inaczéj, mówi, patrzy i promienieje, nie tak jak widzę. Ciotka szczęśliwą nie jest, a przywiązanego do niéj serca oszukać pobożnie... nie można.

Wanda pochwyciła gwałtownie rękę siostrzeńca, obejrzała się.

— Na Boga — zawołała — milcz! proszę, nie mówmy o tém, są rzeczy spełnione, które się trzeba starać zapomniéć.

Obłąkanym wzrokiem powiódłszy po pokoju, dodała:

— Jeszcze raz, proszę cię, już dosyć o tém.

Ale Adryanowi narzucić milczenia nie mogła nawet powaga ciotki, zbyt był oburzonym.

— Dla obcych będę milczał — rzekł zniżając głos — lecz

między mną a ciotką tajemnic być nie powinno. Nie ma tego złego, któreby się nie dało naprawić i usunąć.

— Dość dla zatrucia życia tych śladów, które ono zostawi po sobie — odezwała się Wanda. — Chcićć je usunąć byłoby to przyznać się do niego i do błędów co je sprowadziły. Nie lepiéj-że znosić z rezygnacyą w milczeniu?

— Jestem przeciwnego zdania — począł Adryan — trzeba miéć męztwo zrzucenia z siebie okowów ciążących, gdy z nich dla nikogo nie ma korzyści, gdy ofiara ciężka, a daremna. Więc dla miłości spokoju, jakiegoś pozornego życia oddać resztę! A! na to ja nie pozwalam.

Wandzie łzy popłynęły z oczów, które prędko otarła.

— Są tacy losu skazańcy, jak ja, którzy fatalizm swojego przeznaczenia znieść powinni nie targając się przeciwko niemu. Na tych lat pozostałych kilka wartoż starań? Niech wszystko jak jest zostanie, mam dosyć męztwa, bym to zniosła.

Właśnie gdy tych wyrazów domawiała Wanda, z pokojów niezbyt oddalonych kasztelanica, dał się słyszéć okrzyk karciarzy. Snać, jakaś wielka przegrana, czy wygrana paść musiała, Wanda drgnęła, zamilkła. Adryan poruszył ramionami.

W chwilkę potém drzwiami bocznemi, w ubraniu porozpinaném, z cygarem w ustach, z włosami rozrzuconemi wszedł kasztelanic, spojrzał śmiejąc się kwaśno na Adryana i odciągnął na stronę Wandę.

Był tak rozgrzany grą i towarzyszącém jéj przyjęciem gości, że nie bardzo zważał na to, iż Adryan mógł łatwo go słyszéć, mówił ochrypłym głosem:

— Trochę nieszczęśliwie dziś grałem, mała gierka przeszła w znaczniejszą, nic znowu tak strasznego... brak mi tysiąca rubli... proszę cię...

Wyciągnął rękę, jakby po klucze.

— Nie mam ich — odpowiedziała Wanda.

— Ale, cóż znowu! jednego tysiąca.

— Nie mam ich — powtórzyła Wanda.

Kasztelanic rzucił się dosyć niegrzecznie okazując nieukontentowanie i trzasnąwszy drzwiami za sobą, powrócił do graczów.

Wanda zwolna zbliżyła się do siostrzeńca, który stał oburzony.

— To więc są sceny codzienne, na które ten człowiek ciocię wystawia — zawołał — i to znosić trzeba, a może coś gorszego, czemu przytomność moja zapobiegła?

— Wypadek zupełnie wyjątkowy — dodała Wanda — wierz mi.

Adryan chodził żżymając się po salonie, chętka go brała wejść do graczów i obejść się z niemi tak, aby im ochota odeszła drugi raz tu wrzawliwe sceny wyprawiać. Ciotka, może się domyślając co zamierzał, nagle powiedziała mu dobranoc, i zabrała się iść do swych pokojów.

— Twoje mieszkanie na górze — poczęła szybko — proszę cię nie chodź do nich, nie mięszaj się do niczego, zostaw mnie własną obronę, nie jestem tak słabą, jak sądzisz.

I zadzwoniła, powtarzając dobranoc, a wchodzącemu słudze poleciła odprowadzić Adryana. Musiał jéj być posłusznym.

Wchodząc na górę pominął korytarz, na którym głosy z mieszkania kasztelanica wyraźnie się słyszéć dawały, szybkim krokiem przebiegł wschody i zdumiał się wielce, gdy stanąwszy w progu, zobaczył w pokoju swoim siedzącego u drzwi rejenta.

Stary rezydent, wstał serdecznie go witając w milczeniu, długo nie mogąc przemówić słowa.

— Przypadkiem dowiedziałem się o pańskiem przybyciu — odezwał się stłumionym głosem — dostałem się tu umyślnie, by kochanego pana zobaczyć.

— Jam się także do was wybierał — rzekł Adryan.

— Panie, co się tu dzieje! — zawołał po wyjściu służącego stary — co za los naszéj pani zgotowano!

— Ale jakże do tego przyszło!

Rejent zakrył oczy.

— Nie pytaj pan, kobieta słabą była i zbyt ufała drugim, padła ofiarą. Zdało się jéj, że musiała to uczynić ratując swą sławę, a panna Kornelia wié tylko...

Przerwał nagle.

— Nie, nie chcę mówić o tém i ust sobie, a wam uszu walać. Już nie o tém mówić co było, ale co jest, kochany panie. Na dole po nocach grają codzień. Niech pan spyta i zobaczy kto mieszka we dworku na [wsi, kto w oficynie. Panny z miasta! Jedna się nazywa siostra pisarza, druga siostrzenica ekonoma. Cały dwór na to patrzy, w miasteczku weksle kasztelanica jak grad się sypią, a wziął od pani plenipotencyę. A wiész pan jak się z nią obchodzi?

Adryan przemówić nie mógł.

— Cicho — szepnął po chwili namysłu — dosyć, tak pozostać nie może, naradzimy się co jest do zrobienia, a nieszczęśliwą oswobodzić moim obowiązkiem. Rozmówię się z tym panem i z ciotką, to moja sprawa, bądźcie spokojni. Dajcie mi czas tylko. Bez hałasu załatwić się musi wszystko. Tego rodzaju ludzi pozbywa się łatwo.

Rejent uścisnął rękę jego w milczeniu.

* * *

Tego samego dnia, gdy się to działo w Zamostowie, Wilczek pod wieczór przyszedł na zamek do pana Krzysztofa. Przed starym leśniczym wiele rzeczy ukrywano, o wielu nie miał się zręczności dowiedziéć. Rzadko wychodził ze swego lasu i z obcymi mówił ludźmi. W tych dniach właśnie zapotrzebował sprawunku i powlókł się do miasteczka, za jednym razem postanowiwszy odwiedzić grób żony i zdawna sobie przyjaznego księdza proboszcza. Stary ksiądz był oryginałem w swoim rodzaju, późno już bardzo z kapitana od ułanów zostawszy duchownym, zachował żołnierskiego coś w mowie, obyczaju i obejściu. Nikt

nad niego dobitniéj do ludu, serdeczniéj przemówić nie mógł, ale gdy się nieco uniósł, a to mu się téż trafiało, wyrwało mu się z ust i — Do kroć sto tysięcy!—bardzo łatwo, choć późniéj żałował porywczości swojéj i pokutę sobie za to zadawał. Znano księdza Powalskiego z jego dobroczynności nieograniczonéj i z gwałtownego charakteru i z namiętnéj niemal pobożności, bo przy mszy świętéj nieraz uniesiony uczuciem, zanosił się od płaczu.

Bali go się téż ludzie, bo prawdę wypowiadał, dla nikogo jéj w żadne nie upowijając pieluszki.

Wilczka kochał ksiądz Powalski, bo się w nim stara namiętność do lasu i łowów odzywała, myśliwstwem się zajmować nie śmiał i nie mógł, ani na toby mu czasu starczyło, rad więc był choć pogawędzić o łowach.

— Mój ty stary przyjacielu — wołał widząc go — powiedz-że ty mnie, co tam twoi wilcy robią, a masz dużo sarn i kozłów w ostępach, bo u mnie kozłów w parafii podostatkiem. Słowem Bożém do nich strzelam, ale często pudłuję.

I śmiał się ksiądz Powalski.

Tego dnia Wilczek go zastał chmurnym, gniewnym i niemal nieprzytomnym z żalu i bólu. Długo milczał o przyczynie, wreszcie mu się wyrwało. Na sercu miał pożycie kasztelanica z żoną i los Wandy.

Wilczek mało co o tém wiedział, bo córka już ten dom opuściła dawno, i z Zamostowem nie miał stosunków, zachował tylko poszanowanie i wdzięczność dla téj, która się jéj wychowaniem z macierzyńską zajmowała troskliwością. Księdza Powalskiego, który co miał na sercu łatwo wyspowiadał, nie bardzo było trzeba naglić do mówienia.

— A to, mospanie, trutnia nam tu do parafii licho wniosło w uczciwy i pobożny dom, zgorszenie i zbytek! Najlepszą w świecie kobietę wplątali w najniegodziwsze stadło z człowiekiem niepoprawnym. Taż to Sodoma i Gomora w tym domu, a ta nieszczęśliwa łzy i jak może brud osłania.

Począł się Wilczek rozpytywać. Księdzu donoszono ze stron różnych, wiedział co się działo w Zamostowie i z żalu nad losem kobiety, która lepszego była warta, niepomiernym gniewem się unosił na kasztelanica. Przez cały czas pobytu leśniczego o tém tylko była mowa, nie dziw więc, że stary wyjechawszy z miasteczka głowę miał nieszczęściem nabitą i serce przejęte, tak, że na zamek do pana Krzysztofa poszedłszy, języka za zębami utrzymać nie mógł. Przyczyny téż do tego nie widział, aby przed panem Krzysztofem cokolwiek bądź taić. Nie spodziewał się wcale, aby to na nim tak wielkie uczynić miało wrażenie.

Na pierwsze słówko pustelnik się zerwał jak postrzelony i przypadł do Wilczka wołając: Gadaj! co? zkąd? może-li to być, a ja nic nie wiem!

W istocie Krzysztof dzięki umiejętnemu udawaniu Wandy, wcale się niczego nie domyślał, sądził ją szczęśliwą, wiadomość ta przeraziła go, wierzyć jéj nie chciał. Wilczek musiał mu powtarzać niemal dosłownie, co od proboszcza Powalskiego słyszał.

Staremu dopiéro teraz na wiele rzeczy niezrozumiałych wprzód otwierały się oczy. Kazał mówić leśniczemu i słuchał pohamowawszy się, usta zaciął i ze wzrokiem w ziemię wbitym, długo badał tego posła niedoli.

Powtarzać mu musiał po razy kilka jedno. Krzysztof potrzebował potwierdzenia wiadomości, która nań jak grom spadała. Widać było, iż wcale obojętnym świadkiem téj sprawy być nie myślał. Zatrzymawszy Wilczka dosyć długo, odprawił go wreszcie, a sam wybiegł na ruinę baszty, gdzie zwykł był siadać, gdy z myślami swemi walczył i potrzebował sam być z sobą. Z tych dumań wyrwało go dopiéro przybycie Adryana, któremu wskazano gdzie go miał szukać.

Na widok wchodzącego do baszty młodego przyjaciela, porwał się pan Krzysztof, obie ku niemu wyciągając ręce.

— A to mi cię tu Opatrzność zesłała! — zawołał ściskając go. I zaraz porywczo dodał:

— Byłeś w Zamostowie?

Bystro spojrzał mu w oczy.

— Jadę ztamtąd!

— Dawnoś przybył do ciotki?

— Parę dni, jak w okolicy jestem.

Zawahawszy się nieco, czy ma przed nim mówić prawdę całą, Krzysztof oczyma go jeszcze badał, ale wzruszenia własnego długo utaić nie mógł. Wskazał na ławie kamiennéj obok siebie miejsce gościowi.

— Wiész, czy nie, co się tu święci! Ja głupi, stary, ślepy, dopiéro w téj chwili z boku się dowiaduję o tém, o czém dawno powinienem był wiedziéć, com przeczuć był powinien! Jam ją miał za szczęśliwą, jam się, gwałt sobie zadając, cieszył jéj szczęściem, a ta kobieta cierpi, ten nicpoń wdarł się tu na to, niewiedziéć jakiemi środkami, aby jéj życie zatruć! Mów, prawda-li to! możeż to być? Wiész? nie wiész? to może ludzkie plotki?

Adryan zrazu zmilczał, ale nie przeczył.

— Jesteś pan i byłeś prawdziwym przyjacielem — począł.

— Przyjacielem! — wykrzyknął w uniesieniu pustelnik — przyjacielem! jam się w niéj kochał do szaleństwa, ja ją wielbię i czczę... jam dla niéj życie dać gotów...

— To co panu opowiadał Wilczek, co ludzie mówią już wszyscy, bo to dla nikogo tajemnicą nie jest, prawda niestety! kasztelanic pozostał takim jakim był rozpustnikiem lekkomyślnym. W domu szulernia, na folwarku metresy najpodlejszego rodzaju, we dworze zgorszenie i rozpusta. Ciotka łzy połykać musi. Byłem niemal świadkiem scen o których mówić nie chcę.

Krzysztof porwał się jakby biedz natychmiast zamierzał.

— Ja... ja tego łotra nauczę! — krzyknął z namiętnością niepohamowaną — ha! myśli że jest bezbronną, że nikt się nie

ujmie za nią. Ja mojego życia za nic nie mam i zginę lub go ze świata zgładzę.

Chodził jak nieprzytomny po małéj baszcie, potykając się o kamienie i niemal bijąc o ściany.

Adryan się uląkł.

— Panie Krzysztofie — rzekł za rękę go chwytając — jeżeli co poczynać mamy, do czego i ja z chęcią mu służę, należy namyśléć się dobrze, aby zgorszenia i rozgłosu nie powiększać; nie idzie o niego, ale o nią. Na Boga, spokojnie i rozważnie. Mamy dowód najlepszy iż ten człowiek którego miłość takiéj kobiety poprawić i opamiętać nie mogła, jest niepoprawnym, trzeba go oddalić. Tak, nad tém się musimy namyśléć.

— Co tu się namyślać — przerwał pustelnik — co tu długo głowę łamać. — Szkodliwemu zwierzęciu kulą w łeb! kulą w łeb, i po wszystkiém... kulą w łeb! kulą w łeb! — powtórzył coraz głośniéj parę razy.

— Jednakże to ani tak łatwo, ani godziwa, — przerwał Adryan.

— Co w tém niegodziwego? wyzwę — począł Krzysztof — opoliczkuję łajdaka, i wyjść musi... zabiję go.

— A jeżeli on pana zastrzeli? — spytał Adryan.

— Byleby sam padł — zgoda i na to — mówił z gorączką niezmierną Krzysztof. — Zresztą padnę ja, waćpan go powinieneś ze świata sprzątnąć.

— Na Boga powoli, powoli z rozwagą — zawołał Adryan — kule nosi przeznaczenie nie zawsze po myśli naszéj, trzeba co innego poradzić.

Nie rychło stary, który przed parą dniami oschłym się zdawał, dał się ukołysać i uspokoić. Nie mógł sobie swéj ślepoty przebaczyć.

Poszli raczéj wykrzykując i żale rozwodząc niżeli radząc do izby zamkowéj. Krzysztof latał po niéj nie mogąc się pohamować, ilekroć wspomniał na los Wandy. Z rozmowy dopiéro do-

wiedział się o roli, jaką w tém odegrała panna Kornelia, i o całéj sprawie Dosi. To go wścieklejszym czyniło, tak że gniew, który Adryan starał się uśmierzać, cały wszedł w niego; zaciął usta, namarszczył czoło i milczał, ale groźniejszym wydawał się jeszcze.

Jak gdyby już coś postanowił, ani rady nie słuchał ani pod koniec z Adryanem mówić o tém niechciał, powtarzał mu:—Wiem co uczynię. — Wyciągnąć z niego co postanowił nie było można. Uląkł się Adryan.

— Bądź waćpan spokojnym — rzekł — ja się z nim we cztery oczy tak rozprawię, że się go pozbędziemy.

Począł go ściskać i całować, zaklinać, prosić przybyły i nic nie wydobył z ust uparcie zamkniętych, powtarzał mu:—bądź waćpan spokojny.

Do późnéj nocy trwało to naleganie z jednéj, odpór z drugiéj strony. Adryan obawiał się go rzucić i pozostał na zamku, kazawszy sobie posłać w salce na ziemi trochę siana i stary dywanik.

Pan Krzysztof chodził do rana po swojéj sypialni, kilka razy padał na kolana i modlił się, to znowu wstawał, a nad ranem ze strzelbą na plecach ubrany jak do polowania zjawił się przed Adryanem. Ten niechcąc go puścić zerwał się by mu towarzyszyć.

Mowy już o niczém nie było.

— Dokąd masz jechać? — zapytał stary.

— A pan?

— Jabym chciał do Teodora się dostać — rzekł Krzysztof — mam do niego prośbę i widzieć się z nim muszę.

— Odwiozę pana do Zieleniewszczyzny.

Nie wznawiając wczorajszéj rozmowy pojechali w istocie do państwa Teodorostwa. Przybyli tam tak rano, że piękna Liza, która teraz tryb życia na pański zmieniła, spała jeszcze, Teodor był w szlafroku. Zaledwie się przywitali, Krzysztof pod rękę wziął gospodarza i wyciągnął go do ogrodu. Adryan zostawszy

w sypialnym pokoju, czekał godzinę, drugą, nareszcie służący przyszedł go na śniadanie prosić od pani, niespokojny więc musiał iść do niéj.

Piękna Liza kaszląca była, strojna i melancholiczna. Nie zastał tu jeszcze ani jéj męża, ani pana Krzysztofa, wysłano pilno ich szukać w ogrodzie, lecz jeszcze pół godziny czekali nim wreszcie nadeszli oba.

Teodor był blady i widocznie zaniepokojony. Krzysztof udawał wesołego, ale to była jakaś wesołość namiętna, nienaturalna, która zarówno piękną Lizę jak Adryana wylękła.

Teodor w ciągu śniadania dziwnie był zamyślony i milczący, rozmowa nie szła. Gdy nareszcie wstali od stołu, Adryan pośpieszył chwycić pana Krzysztofa, ażeby go wybadać.

— Cożeście państwo postanowili?

— Jakto? co? nic! ale nic! radziłem się z Teodorem, on jest tego zdania co i ja, że mu jak psu wściekłemu, w łeb strzelić się godzi. A gdzie i jak, to los postanowi.

Więcéj pomimo nalegań i zabiegów nie dowiedział się nic Adryan, a Krzysztof fantastycznie, jak był zwykł, nie pożegnawszy się z nikim, za strzelbę wziął wkrótce i pieszo poszedł, mówiąc, że do swoich lasów ciągnie.

Jakoż w istocie, szpiegując go nieco, dostrzegł Adryan, iż poszedł w stronę Zamostowa przeciwną, ku chacie Wilczka, to go uspokoiło, Teodor zatrzymał go na obiad koniecznie. Od niego nie można się było téż nic dowiedziéć oprócz tego, że Krzysztof był rozżalony i wzburzony i że się katastrofy można było spodziewać, jeśliby się nie opamiętał.

Nalegając Adryan mógł tylko zmiarkować, iż pan Teodor związał się jakiemś słowem i mówić nie chciał. Skłopotany był mocno, zafrasowany, nie rad z tych odwiedzin i z Krzysztofa.

— Stary dziwak! — odezwał się w końcu — mógł się sam ożenić, ściągał, zwłóczył, brakło mu determinacyi, a teraz za późno mu żale przychodzą. Niechby był miał tak silną wolę,

jak ja — dodał — a byłby szczęśliwym i wszystkie te historye miejsca by u nas nie miały.

Adryan powrócił wieczorem do Zamostowa. Tu cisza panowała, powiedziano mu, że kasztelanic tego dnia się nie pokazywał, i że odsypiał za noc spędzoną przy kartach. Wanda blada, ale spokojna, siedziała z książką u siebie. Po oczach znać było, że płakała, lecz rozmowę zwróciła na rzeczy obojętne, poczęła pytać o pana Krzysztofa, trochę wyśmiewać jego dziwactwa, a bardzo chwalić serce. Udawanie wesołości wprawiło ją w humor dziwny, który wiele kosztować musiał. Późno już dosyć, gdy w istocie rozchodzić się była pora, zjawił się kasztelanic, w domowym stroju, trochę kwaśny, niby gościa przepraszając za to, że o nim trochę zapomniał. Parę razy próbował się zbliżyć do żony, lecz ta bardzo grzecznie uchyliła się od niego pod jakimś pozorem. Wyszli potém oba razem. Kasztelanic na cygaro zapraszał do siebie, Adryan odmówił uskarżając się na ból głowy. Rozeszli się na zimno.

Pobyt w Zamostowie był nadzwyczaj przykry, lecz zdawało się Adryanowi, iż powinien był czas jakiś pozostać, a ciotka mocno o to nalegała, unikając zbliżania się do kasztelanica, spędzał część dnia w sąsiedztwie. Trzeciego czy czwartego wieczora powróciwszy od państwa Pawłowstwa, dokąd go dzika Dosia ciągnęła, ku któréj próżno się dotąd usiłował przybliżyć, Adryan znalazł w ręku ciotki bilecik Teodora, zapraszający go nazajutrz na polowanie.

Kasztelanic, który nadszedł, oświadczył, że zaproszenie podobne odebrał także i że pojedzie wprost do wskazanéj kniei. Ofiarował powóz swój myśliwski Adryanowi, lecz ten, zawsze unikając jego towarzystwa, powiedział, że konno jechać woli.

Poranek był jakiś mglisty i parny, gdy kasztelanic z jednéj strony, Adryan z drugiéj na prost przez łąki udali się do wskazanego ostępu. Opatrzone było i osaczone gniazdo młodych wilków, które zabrać się spodziewano. Na skraju lasu strzelcy

i pan Teodor sam oczekiwali zaproszonych. Wilczek ze swą torbą borsuczą i starą strzelbą, do któréj był nawykły, rozgospodarowywał się, oznaczając stanowiska. Adryan zasłyszawszy o Krzysztofie, iż miał tam być także, coprędzéj dopadł Wilczka, prosząc i żaklinając, aby nieopodal od niego mógł stanąć. Leśniczy zgodził się na to, choć pomrukując. Obława zewsząd otaczała ostęp, nad małą dróżyną u skraju lasu i zarośli poustawiano myśliwych. Cisza panowała w kniei uroczysta, tajemnicza.

Adryan, którego jakiś niepokój opanował i jakby przeczucie, nie wiele stojąc o pilnowanie i zwierza, naglądał ciekawie na stanowiska sąsiednie. — Pana Krzysztofa podszedłszy ukradkiem, zobaczył pod sosną zajętego pilnie nabijaniem aż w dwóch dubeltówkach, z których jedna stała o sosnę oparta. Chociaż nie było bardzo bezpieczném schodzić z wyznaczonego stanowiska, Adryan nieopodal pozostał, nie spuszczając z oka starego. Na dany znak począł się hałas, wrzawa, napędzanie zwierza i strzały.

Kilka z nich padło w stronach różnych, na naszych strzelców jednak nic nie wyszło, oprócz pary zajęcy, które przepuszczono, bo je bić była nie pora. W chwili, gdy się ta wrzawa już uśmierzać poczynała, pan Krzysztof, który zdawał się wyczekiwać czegoś niecierpliwie, jedną dubeltówkę zostawiwszy przy sośnie, szybkim krokiem, drugą zarzuciwszy na ramię, skierował się ścieżyną w głąb' lasu. Adryan zdala i ostrożnie, sam prawie niewiedząc dlaczego, pociągnął za nim.

O kilkoro stai spostrzegł kasztelanica, który wyczekawszy snać próżno na zwierza, postawił swą strzelbę i do cygara się ziewając zabierał. Pan Krzysztof wprost szedł na niego. Adryan kroku przyśpieszył i w niewielkiém oddaleniu ukrył się za sosną. Następująca scena odegrała się pod jego oczyma, tak, że z niéj ruchu ni słowa nie stracił.

Krzysztof podszedł o kilka kroków do kasztelanica i zbladły

stanął. Nie przywitał go zwykłym sposobem, ale spojrzawszy nań długo, rzekł:

— Korzystam ze sposobności, aby z panem pomówić, mam do waćpana interes.

— Służę — odparł kasztelanic.

— Sami jesteśmy, nikt nam nie przerwie, rozmówimy się więc otwarcie i stanowczo. Oto przyszedłem waćpanu oświadczyć, że cię mam za — łajdaka!

Kasztelanic rzucił się i chwycił machinalnie za dubeltówkę, i pan Krzysztof swoją już trzymał w ręku.

— Zaczekaj waćpan — rzekł zimno — nie masz się czego śpieszyć, na strzelanie mamy czas, ujdzie to potém za przypadkowe postrzelenie, chcę, żebyś wiedział dlaczego cię tak nazwałem. Niepoczciwym sposobem dobiłeś się ręki kobiety, któréj wart nie byłeś, prowadzisz życie sromotne, hańbisz dom, czynisz ofiarę swą nieszczęśliwą. Ja tego ścierpiéć nie mogę.

— Jakiem prawem... — wtrącił wybuchając kasztelanic.

— Prawem uczciwego człowieka, który nie cierpi łajdactwa, prawem przyjaźni i czci dla téj kobiety, prawem lub bez prawa, ale postanowiłem się z wami rozprawić. Staniemy o kroków dwadzieścia, mamy dubeltówki kulami nabite, jeden z nas zginie.

Kasztelanic, któremu strzelba drgała w ręku, pochwycił ją szybko, przyłożył do twarzy, i krzyknął:

— Precz, lub strzelę.

Krzysztof miał także w ręku gotową dubeltówkę, ale nie śpieszył.

Milczeli oba.

— Strzelam do jaskółek kulą — rzekł po chwili — o kroków dwadzieścia położę cię nieochybnie.

Widząc na co się zanosiło, Adryan wyskoczył z kryjówki i rzucił się ku kasztelanicowi, który przestraszony, słysząc chrzęst w krzakach głowę ku niemu pochylił.

Adryan wiedział, że Krzysztof nie strzeli pierwszy na bez-

bronnego, usiłował więc zapobiedz tylko, by kasztelanic tego nie uczynił. Na widok obcego, obaj przeciwnicy zmięszani stanęli.

— Panie Krzysztofie — zawołał Adryan — byłem mimowolnym świadkiem i słuchaczem, kładnę veto na podobne spotkanie.

— Zostałem napadnięty — rzekł głosem od gniewu zmienionym kasztelanic — rozbój w lesie... gwałt.

— Idź waćpan precz — krzyknął Krzysztof do Adryana — i nie mięszaj się w cudze sprawy, mówię waćpanu, na stronę. Znieważyłem tego jegomości mówiąc mu w oczy prawdę, któréj nawet tacy, jak on nie znoszą, musimy się więc rozprawić i to niezwłocznie.

— To nie może być! — zawołał Adryan — to nie byłby pojedynek, ale...

— Ale rozbój! rozbój! — począł kasztelanic, który strzelby niepuszczał z ręki.

— Waćpan mi jesteś świadkiem, ja się bronię, jestem w swojém prawie. Słowo jeszcze, a strzelę, jak Bóg miły.

Krzysztof milczał.

— Ja po to tu przyszedłem, abym z waszeci wziął rachunek krwawy; po twoją skórę idę i swojéj nadstawić się nie zawaham.

— Złóżcie panowie tę broń niewłaściwą — począł Adryan — jeżeli ma być spotkanie, znajdziemy inną.

— Na wszelką gotów jestem, ale tu, zaraz, niezwłocznie — zakrzyknął Krzysztof — nie ścierpię odkładania. Pistolety są na mojéj bryczce..... u Wilczka.

— Ja waćpanów tu samych nie zostawię — przerwał Adryan.

— A ja tego trutnia z oczów nie chcę stracić, aby mi nie uszedł — zawołał Krzysztof — kroku nie ruszę ztąd.

Stali znowu chwilę, kasztelanicowi ręce dygotały, blady był, ale usiłował się uśmiechać, i mruczał ciągle:

— To rozbój! to rozbój na gładkiéj drodze, jak Boga kocham, rozbój!

— Nie drażnij pan i milcz — przerwał Adryan — formy wprawdzie zachowane nie zostały, pan Krzysztof postąpił porywczo.

— Nie chcę skandalu — wrzucił Krzysztof — niech gadają o pojedynku, ktoś kogoś postrzelił, i dosyć.

— Ale za cóż? czego chce odemnie ten rozbójnik! — krzyknął kasztelanic.

— Powiem panu — rzekł Adryan kładnąc rękę na dubeltówce, którą ciągle się zmierzał — że gdyby nie wzgląd na ciotkę, jabym też pana mógł i powinien pozwać o rachunek. Cały świat wie jakim sposobem otrzymaliście tę rękę kobiety nieopatrznéj i zdradzonéj, cały świat patrzy na wasze postępowanie i jéj nieszczęście.

— Więc już dwóch was na mnie! — zawołał usiłując się wyrwać z rąk Adryanowi kasztelanic — to pięknie i rycersko, to po szlachecku.

— A ty mnie, trutniu jakiś — zaryczał Krzysztof — szlachectwa i szlachetności będziesz uczył! ty! ty!

Kasztelanic zbladł i mówić nie mógł, wystąpienie Adryana przeraziło go.

— Czegóż chcecie ode mnie? czego chcecie? — począł bełkocząc.

Pan Krzysztof kurki dubeltówki pospuszczał powoli i począł się zbliżać.

— Czego ja chcę, to ci powiem — rzekł groźnie, ale chłodno — chcę, abyś mi tu przy świadku dał słowo, że póki życia noga twoja w Zamostowie nie postanie. Idź gdzie chcesz, rób co chcesz, ale od téj kobiety wara!! precz! Nie, słowa mało, dasz mi na piśmie, przysiężesz, i ruszaj, gdzie cię oczy poniosą.

Adryan w téj chwili strzelbę wychwycił z rąk kasztelanica i rzucił ją opodal w krzaki. Zdawało się, że napadnięty chciał uciec, rzucił się zrazu, ale wnet zatrzymał.

— Siłą, gwałtem, możecie na mnie wymódz co chcecie, to rozbój, ja zaniosę skargę — począł wołać.

Krzysztof patrzał na swoją dubeltówkę jakby go ochota brała, bez dalszych korowodów wziąć się do niéj.

— Tak nikczemnemu człowiekowi możnaby bez zgryzoty sumienia w łeb wypalić — rzekł zwolna — szkoda, żem tego nie uczynił od razu. Daj słowo, i idź precz, a potém skarż. Skarżyć będziemy oba, a do sprawy pociągniemy świadków, nic już nie będzie do stracenia.

— Ale ta nieszczęśliwa kobieta — zawołał Adryan.

— Nieszczęśliwszą przez to nie będzie — dodał Krzysztof.

Kasztelanic stał jak wkuty, blady i widocznie wahając się co pocznie.

— Słowo niech da, i niech idzie gdzie chce — powtórzył Krzysztof. — Słowo niech da.

Uśmiech jakiś dziwny, ironiczny przekrzywił usta panu Waleremu.

— Przemocy uledz muszę — rzekł — i niewiele na tém stracę. Prędzéj późniéj poszedłbym i tak ztąd. Snać miłościwa pani sama nasadziła na mnie zbirów.

— Milczéć! — zawołał Krzysztof — idź waćpan i nie wracaj. Gdybyś sprobował się tu pokazać będziemy wiedzieli co z tobą uczynić mamy. Bądź waćpan zdrów.

Kasztelanic, jak gdyby gardził napastnikiem, ręce obie włożył w kieszenie, odwrócił głowę i nic nie mówiąc wolnym krokiem poszedł w zarośle. Adryan i Krzysztof, którzy go oczyma ścigali, zostali w miejscu.

Jeszcze z oczów nie stracili uchodzącego, gdy Adryan ręce załamawszy zawołał do Krzysztofa:

— Panie, czyż się godziło? czyż...

— Godziło się, basta! — odparł Krzysztof — wszystko skończone. Nie wróci, za to ręczę i hałasu robić nie będzie.

Znam człowieka. Mówię ci, rzecz skończona, sza! Głowa go bolała i pojechał do domu, idźmy do Teodora.

Adryan słowa przemówić nie mógł, poszli milczący razem, nawołując się na stanowisko. Teodor, Wilczek i inni myśliwi cieszyli się właśnie zabitą wilczycą i zabranemi młodemi, gdy Krzysztof idący przodem zjawił się zupełnie ostygły i spokojny.

Kasztelanic się nam gdzieś zabłąkał — rzekł Teodor — nie widzieliście go?

— Owszem! — odparł pan Krzysztof — głowa go bolała, pojechał spocząć.

Adryan zmilczał, lecz w niespełna pół godziny, niespokojny leciał, konie pędząc, do Zamostowa. Obawiał się tam zastać kasztelanica. Tu go wszakże nie było.

Ciotce nie mówiąc ani słowa, czekał wieczora. Służba pana domu nie mogła pojąć, gdzie zabawił tak długo, lecz fantastyczne jego wycieczki zbyt były częste, aby się dziwować miano opóźnieniu. Koni, któremi pojechał, nie było także do północy. Adryan nie spał, na każdy ruch w podwórzu się zrywając. Dano mu znać, że bryczka kasztelanica i chłopak, który z nim jeździł, przybyli odwiózłszy go do matki. Listu żadnego nie było.

Tak zeszła noc i ranek następny, Wanda unikała zapytanie o męża, Adryan o nim nie wspominał. Około południa przybył posłaniec z listem. Siedzieli w salonie, gdy go przyniesiono. Wanda spojrzała na kopertę, zarumieniła się i szepnęła:

— Ale cóż się stało?

I rozerwała pieczątkę. Oczyma przebiegła prędko papier, raz i drugi czytała go, jakby zrozumiéć nie mogąc i wstała z nim od stołu niosąc z sobą do okna. Adryan drżący oczyma szedł za nią. Zdziwiona była i zamyślona. Zwolna oczy jéj podniosły się na siostrzeńca.

— Ty mi to chyba wytłómaczysz — ozwała się poważnie list mu podając — czytaj.

Charakterem niewyraźnym, ręką widocznie drżącą, na wiel-

kiéj ćwiartce papieru, stały krzywo nakreślone z pośpiechem, słowa następujące:

„Widząc, że ani pani szczęścia małżeństwo zawarte nie przyniesie, ani mnie je zapewnić może, czuję się w obowiązku oświadczyć, że przeciwko rozwodowi naszemu nic nie mam i do życzenia jéj w tym względzie zastosuję się chętnie. Nie sądzę téż, by moja przytomność w Zamostowie miłą jéj była i więcéj do niego nie wrócę.“

Adryan przeczytawszy list dwukrotnie, podniósł oczy na ciotkę, w któréj twarzy widać było zdumienie i radość razem.

— Zdaje mi się — rzekł — iż kasztelanic trochę zapóźno uczynił to tylko, co był powinien.

— Ale cóż ludzie powiedzą! co świat! — zawołała ręce łamiąc i padając na krzesło Wanda.

Adryan ramionami ruszył.

— Ludzie i świat uradują się, jak ja.

— Ja nie dałam żadnego powodu — dodała Wanda — ja....

— Zapewne się to późniéj wyjaśni — rzekł Adryan — ale tak, jak jest, cieszę się, że się to stało. Lepiéj, szczęśliwiéj być nie mogło.

Cały ten dzień zamyślona i niespokojna chodziła Wanda, lecz czuć i widać było, że oddychała swobodniéj. W kilka godzin przybyli ludzie od kasztelanica dla zabrania wszystkiego, do czego sobie prawo rościł. Dozwolono zaufanemu kamerdynerowi pakować i brać co mu się podobało. Po dworze całym gruchnęła wieść, iż kasztelanic nie wróci, radość ztąd wybuchła wielka, a rozmaite mieszkanki dworków śpiesznie się wynosić zaczęły, obawiając prześladowania. Do późnéj nocy trwało pakowanie i wyjazd służby kasztelanica.

Adryan surowo pilnował, ażeby rozjątrzony dwór stary nie pomścił się za zniewagi i nieprzyjemności, jakich od nowego doznawał. Nazajutrz wymógł na ciotce, aby ratując już nadwerężony majątek, natychmiast odwołała plenipotencyą. Na odgłos o wypadku weksle i wierzyciele płynąć zaczęli. Adryan pobiegł

do pana Pawła prosić, ażeby uregulowanie interesów wziął na siebie.

Krzysztofa przez cały tydzień potém nie było, ani się dowiedziéć było można, gdzie się obracał. Wilczek powiadał, że był w lesie. W niedzielę następną, po obiedzie zjawił się, jak zwykle pieszo wszedłszy przez park, i zbliżył się z twarzą dosyć wesołą do ganku, na którym siedziała pani Wanda z siostrzeńcem i panem Pawłem.

— Nóżki całuję pani mojéj! — zawołał zbliżając się — piękny dzień mamy! — Spojrzał na jéj twarz bladą.

— A jak zdrowie?

Wanda badała go oczyma.

— No chwała Bogu — dodał — widzę, że wszystko dobrze. Jak się ma kochany pan Adryan. Pan zawsze do nas przybywasz przynosząc z sobą pokój i radość.

— Pan wiész — poczęła nieśmiało gospodyni.

— Wszystko wiem, o niczém mówić nie chcę, coby nam chwilkę swobodną zatruć mogło — rzekł Krzysztof. — Jakże u pani w ogrodzie? co się z kwiatkami dzieje? To mnie najwięcéj obchodzi?

— A na zamku? — spytała Wanda.

— Cicho, zielono, spokojnie, jak w grobie — rzekł pustelnik.

Tak obojętna zaczęła się rozmowa, którą pan Krzysztof wesołością rzadko mu przychodzącą, podsycał. Paweł zdumiony był tym humorem, który dotąd jeden Wacek wydobyć czasem umiał ze stryja.

Na Adryana spoglądał uśmiechając się i po chwili dał mu znak, aby z nim zszedł do ogrodu.

— Widzisz — szepnął — truteń się uląkł i czmychnął. Nie mamy się co chwalić z leśnéj awantury, o któréj nikt nie wié, a któréj i on pewno nie rozgłosi. A cóż? Wanda myśli o rozwodzie?

— Nie mówi nic o nim.

— To on go zażąda pewnie, boć jeszcze jakąś biedną istotę uszczęśliwić musi — mówił Krzysztof. — Dzięki Bogu, Wanda będzie spokojną i pewnie już o zamążpójściu nie pomyśli, po dwukrotnéj próbie. Zresztą, gdyby się na co zanosiło — dodał — ja będę na pilnéj straży i niedopuszczę. A od czegóż ja tu jestem?

Adryan się uśmiechnął, a Krzysztof skrzywił.

— E! — zawołał — czuję, że masz złe myśli. No, nie lękaj się, mogę cię uspokoić, ja się nie posunę. Moja miłość i cześć jest tego rodzaju, że zuchwalstwem nie zgrzeszy. Będę patrzał i wielbił po cichu, i tego do szczęścia mi dosyć.

Westchnął pan Krzysztof.

— Miłość jesienna! — rzekł smutno — liście zielone, ale zapóźno na kwiaty!

* * *

Powieść, jak wszystkie, na życiu osnuta, a życie nigdy się nie kończy, ogniwa jego, łańcuch na wieczność uwity, spajają się z sobą i ciągną z ciemności przeszłych do przyszłych ciemności. Najtrudniejsze zakończenie, ono zawsze chcąc być z prawdą życia zgodném, musi być rozciętém pasmem, urwaném ogniwem, złamaném czémś i niedośpiewaném.

Słowa poety prorocze — „niech słuchacz w swéj duszy dośpiewa“ — tak dobrze stosują się do wielkich pieśni, jak do drobnych obrazków. Po za ramami ich, życie ciągnie się daléj, w nieskończoność...

Chcąc zakończyć powieść, chcielibyśmy odesłać czytelnika tam, gdzie ona dotąd się ciągnie z tego samego wątku, w bohaterach nie bohaterskich, lub krwi ich i uczuć potomkach.

Przerzucamy notatki nasze, i szczęściem natrafiamy na zżółkły papieru kawałek, na którym epilog mimowolnie zapisała ręka Adryana. List ten poufny do przyjaciela, zawiera niemal

wszystko, co o osobach wchodzących do powieści, dopowiedziéćbyśmy mogli, rozwleklej może, ale pewno nie żywiéj i nie lepiéj od tego, który się z własnych przygód spowiadał...

Zamostów. Październik.

....Pytasz mnie, co się dzieje ze mną? Nie dałem znaku życia od czasu, jakeśmy się rozstali. Ciekawym jesteś losów moich i tych ludzi, do których odbiegłem od ciebie i od świata, czego mi twa przyjaźń darować nie może. Miéj-że cierpliwość przeczytać list długi, bardzo długi, chociażby za to, żem ja go miał cierpliwość, jak spowiedź, „czarno na białem", przy świecy, w chwili, gdym najmniéj był do pisania usposobiony, ułożyć. Wierz mi, potrzeba było przyjaźni, poświęcenia niemal, aby ślęczéć nad papierem, męczyć się z piórem, walczyć z niedoschłym atramentem, gdy... nic do tego nie zmuszało, oprócz chęci prędszego zaspokojenia twéj troskliwości o mnie.

Słuchaj więc „mych losów powieści". Wiész już, żem wyjeżdżając ztąd zostawił mający dorosnąć tu ideał najśmieszniejszy w świecie, dzieweczkę bosą, prościuchną, ładną, naiwną, którą wystawiłem, dla mojéj fantazyi, na próbę wychowania, mogącego albo z niéj stworzyć istotę nową i zachwycającą, lub nieszczęśliwego cudaka.

Mówiłem ci o Dosi Wilczkównie, znasz trochę ciocię moją, pana Krzysztofa, czcigodnego Teodora, który tak długo na późne ożenienie się zbierał, i wszystkich w okolicy aktorów dramatu, niezasługującego na to imię wspaniałe.

Z bijącém sercem i podbudzoną ciekawością zbliżałem się do Zamostowa. Na drodze, przeznaczenie, fatum rzuciło mi najprzód Teodora, żonatego po uszy, nieco zmienionego, ale równie miłego i przyjaznego, jak dawniéj. Z nim musiałem najprzód wylądować w jego domu, gdzie trzpiotowatą Lizę znalazłem wielką panią, strojną, znudzoną, kaszlącą, ze spazmami i synkiem, który przyniósł z sobą na świat rysy niefortunnie gminne ro-

dziny matki. Niemniéj zdrowe chłopię wyjdzie na bardzo znakomitego szlachcica.

Oprócz zmiany w obojgu państwie Teodorostwie, znalazłem inne, niemniéj zdumiewające, a nierównie tragiczniejszéj natury. Ciotka moja, ta śliczna, smutna królowa, która stworzoną się zdawała, aby być szczęśliwą i szczęściem obdarzać, skutkiem intryg, w których czarne czeluście oka zapuszczać niechcę, wyszła za mąż za człowieka, godnego pierwszego jéj małżonka, który ją uczynił nieszczęśliwą. — Dlaczego? jak się to stało? spytaj ironii losu, który sobie z ludzi żartuje.

Poczciwy i zacny pan Krzysztof, który ją kochał szalenie, którego ona kochała, zdziczał i zdziwaczał, nie śmiał sięgnąć po jéj rękę, nie czując się jéj godnym. Skutkiem téj intrygi, która się rozwiązała niepojętém małżeństwem, mój ideał musiał z tego domu uciekać, aby się schronić przed nikczemnemi napaściami młodego męża i podejrzeniami niesłusznemi ciotki mojéj. Panna Kornelia, o któréj ci wspominałem, zjadliwa istota, potrzebująca knuć coś i spiskować, aby czcze zapełnić życie, wszystko to tak pięknie osnuła i wykonała. Ostatecznie jednak musiała sama ustąpić z placu.

Przybyłem po to, aby ciotkę znaléźć mężnie znoszącą swój los, tego niby wujaszka szulerującego po całych dniach i rozpustującego z miłymi przyjaciołmi, połykane łzy, ukrywaną niedolę.

Pan Krzysztof, Bogu ducha winien, nic nie widział, nie wiedział o niczém, nic się nie domyślał. Siedział w swéj pustelni, czytał herbarze, malował szlacheckie godła, a gdy czasem zajrzał do Zamostowa, aby bóstwu cześć złożyć, z twarzy swéj pani nie wyczytał łez, co po niéj przebiegły. Jakby na mnie los czekał z rozwiązaniem. Przypadek uwiadomił pana Krzysztofa o postępowaniu kasztelanica, o życiu i pożyciu ciotki, o zgorszeniu, które oburzało wszystkich. Człowiek ten na pozór zimny i zastygły, odzyskał całą energię, a nawet dawną charakteru

gwałtowność. Byłem świadkiem wybuchu i uląkłem się; gotów był życie stracić i odebrać życie, uczuł się prawowitym obrońcą téj, którą kochał. Starałem się i nieumiałem go pohamować.

Zdaje się, że chcąc znaléźć środek napadnięcia na kasztelanica, ułożył z Teodorem polowanie. Staliśmy na przesmyku. Szczęściem, znajdowałem się blizko niego i przeczuwając coś złego, poszedłem za nim, gdy się zbliżył do winowajcy. Sceny téj odmalować ci nie potrafię. O niewiele szło, by mu z dubeltówki w łeb nie strzelił. Miało się to skończyć na pojedynku, a byłoby może wprzódy zamknęło się zabójstwem, gdybym między nich nie wpadł. Na słowach ostrych tym razem walka się rozbiła, kasztelanic, przeciw któremu i ja wystąpić musiałem, uszedł z placu, widząc się zagrożonym, nie chwilowo, ale w przyszłości również, i wyjechał do matki, od któréj list przesłał do rozwodu upoważniający. Pan Krzysztof, który nie czuł się godnym ożenić, miał odwagę ocalić tę, którą kochał. Stawił życie i — milczał o tém, tak, że gdyby nie ludzka niedyskrecya (prawdę rzekłszy, moja własna), ciotka by o niczém nie wiedziała.

Grzechy kasztelanica drogo musieliśmy przypłacić a długi jego wynosiły daleko więcéj niż najśmielsze przypuszczenia. Część majątku musiała pójść na nie, ale swobody nigdy się nie nabywa zbyt drogo. Niemal od pierwszego dnia ujrzałem na twarzy ciotki spokój i powracające życie. Oddychała lżéj, nie ciężył nad nią srom tego niedobranego towarzysza.

Wśród tego prologu do mych własnych przygód, ledwiem miał czas zdaleka widziéć Dosię Wilczkównę, ledwie przemówić do niéj. Zdała mi się zmienioną powierzchownie, jakby postacią, którą kunsztmistrz zarysował naprzód, a teraz dokończył. To czegom się obawiał najmocniéj, jakiéj metamorfozy charakteru, jakiegoś rozrostu nienormalnego, czegoś coby jéj odjęło wdzięk przyrodzony, i tę uroczą dzikość istoty wykołysanéj lasów szumem, nie znalazłem szczęściem. Dosia została w salonie czém

była w chacie ojcowskiéj. Ale dzikszą może znalazłem ją, niż była. Słówka do niéj szepnąć nie mogłem, marszczyła brew i mówiła głośno, na chwilę nie chciała zostać ze mną na stronie. Była-li to obawa, nieufność, czy wstręt, badać nie śmiałem.

Postanowiłem zostawić to czasowi. Taka była rada pana Krzysztofa, który, jak wszyscy starzy, im mniéj miał czasu przed sobą, tém więcéj się do niego odwoływał. Uważałeś téż kiedy ten fenomen życia, że młodzi się śpieszą, a starzy zwłóczą, pierwszym pilno, chociaż wiele mają pola, drugim wszystko idzie za żywo, choć nawet jutro niepewne.

Wymogłem jednak na ciotce i uprosiłem pana Krzysztofa, aby Dosia do ciotki mojéj wróciła. Nie przyszło to łatwo, musiała ona pojechać po nią i dopiéro po długiéj, łzawéj, poufnéj rozmowie, dziewczę opuściło dom państwa Pawłowstwa.

Miałem więc zręczność widywać ją codziennie. Miała się, jakby przestrzeżona, na niezmiernéj ostrożności, odemnie uciekała prawie. Wziąwszy to za wstręt, którego zwyciężać nie chciałem, choć czułem dla niéj wzrastającą, wyznają to ze wstydem, namiętność razem i przywiązanie, wyspowiadałem się ciotce ze stanu mojego ducha i postanowiłem w końcu oddalić się niechcąc narzucać. Ciotka kazała mi czekać. Uległem chętnie. Pan Krzysztof, teraz gdy kasztelanica nie było, jakby opiekun i strażnik swéj pani, zaczął téż bywać coraz częściéj. On także wiedział, że się w Dosi kochałem, ale po staremu, kazał mi miéć cierpliwość, i nadzieję.

Dziewczę dziwnie się obchodziło ze mną, płochliwe było, wystraszone; śmiałe ze wszystkiemi, dla mnie trwożne.

Pomimo starań moich, rzadkom mógł nawet dłuższą z nią poprowadzić rozmowę. Spotykałem jéj oczy, ale wnet postrzegłszy wzrok mój, odwracała je odemnie, czasem poufniéj zaczynała już zawiązywać się rozmowa, gdy nagle, jakby coś sobie przypomniawszy, milkła i uchodziła.

Wstręt, który obudza, czuje człowiek zawsze, nie zdawało

mi się, ażeby ona miała go dla mnie, jakaś niezrozumiała obawa odpychała ją, coś niepokonanego stało między nami.

Wycierpiawszy kilka miesięcy, postanowiłem stanowczo i otwarcie pomówić z nią. Wyznaję, żem jak student szpiegował ją i szukał zręczności widzenia sam na sam. Doszedłem, że bardzo rano odbywała przechadzki po ogrodzie, odkryłem miejsca, które odwiedzała zwykle i gdzie siadywała. Jednego ranka, znalazłem się niespodzianie przed ławką, na któréj siedząc bukiet układała. W pierwszéj chwili chwyciła za kwiaty przestraszona i chciała uciekać.

— Zatrzymaj się pani, błagam — zawołałem zbliżając się i modląc prawie — jeśli mi każesz odejść, pójdę, ale czyhałem i czyham na chwilę rozmowy, jućciż mi się jéj odmawiać nie godzi.

Spojrzała mi w oczy gniewnie prawie.

— Nie miéj mi pani za złe, żem jéj tu i o téj porze szukał — rzekłem — unikasz pani tak uporczywie, że innego nie znalazłem sposobu.

— Ale czegóż pan możesz chcieć odemnie? — spytała niespokojna.

— Powinnaś się pani była domyśléć, że chcę się do niéj zbliżyć, bo mam dla niéj uczucie żywéj... nazwijmy to przyjaźni... Cóż w tém złego?

— Złem być może, iż ludzie gotowi są przyjaźń tłómaczyć fałszywie, a kobieta ostrożną być musi — odezwała się głosem jasnym. — Za przyjaźń panu jestem wdzięczną, odpłacam ją wzajemną, niechciéjże pan abym ją spokojem moim opłacała.

— Dlaczego pani tak surową jesteś dla mnie?

— Dla pana? nie; jestem surową dla siebie. — Znasz pan położenie moje. Nie mam nic nad czyste imię ojca mojego i własne, które już raz narażone zostało. — (Drgnęła mówiąc to ciszéj). — Pomiędzy panem a mną, jest różnica stanu i położenia, o któréj zapomniéć mnie nie wolno.

— Ja jéj nie widzę — rzekłem.

— Być może, na chwilę, lecz ja ją czuję. Wychowanie, stan, stosunki, obowiązki mamy różne.

Ta różnica jest czysto sztuczną — odezwałem się — a serca ludzi zbliżają.

— Na serca nic rachować nie można — rzekła smutnie.

— Zkąd-że to wnosisz pani?

— Patrzę na życie i czerpię z własnego doświadczenia.

Cała ta rozmowa, tak jak ją sobie przypominam, prowadzoną była wcale nie na sposób, w jaki Dosia Wilczkówna mówiła dawniéj. W salonie bywała naturalną i naiwną, ze mną umyślnie może starała się mimowoli okazać pospolitą kobietą, jakie na posadzkach woskowanych spotykamy codziennie.

— A więc — rzekłem po kilku próbach i odprawie zawsze wymuszonéj i chłodnéj — a więc, wydałaś pani wyrok na mnie. Wyznam pani, żem tu pozostał dlatego jedynie, bom się spodziewał przełamać wstręt jéj do mnie. Jeżeli to niemożliwe przebacz mi, pożegnajmy się bez urazy i gniewu, daj mi pani rękę i bądź zdrowa. Za parę godzin, jadę. Chciéj wierzyć, że jéj z duszy szczęścia życzę.

Nie wiem, czy głos mój zadrżał od wzruszenia, czy przezeń mówiła prawda, Dosia podniosła oczy w których były łzy, wyciągnęła mi ręce obie, uśmiech smutny przesunął się po jéj wargach, stała się jakby odczarowaną i inną.

— Panie Adryanie, tak, bez gniewu, bez żalu, dobrymi przyjaciołmi się rozstać potrzeba. Tak! Nie miéj mi za złe. Mnie nie o moje własne, ale o wasze szczęście chodzi! Któż zaręczy, że ta wasza przyjaźń, to nie fantazya, że późniéj...

— Ręczą te dwa lata, po których tu przybyłem niezmieniwszy się przecie.

Zarumieniła się Dosia.

— Nie, nie, nie kuś mnie pan szczęściem, do któregom nie stworzona — rzekła żywo. — Późniéj w życiu uczułbyś we mnie

niższą od siebie istotę, dałbyś i mnie to uczuć może, ja sama mogłabym doznać tego uczucia. Nie! nie!

Odwróciła się, usiadła na ławce i zaczęła wiązać kwiaty.

— Jedź pan — rzekła głosem mężnym podając mi rozkwitłą różę — ten kwiat, to pożegnanie i pamiątka. Nie będę niczyją, ale twoją być nie mogę, nie, nigdy.

Zerwała się rzucając kwiaty i uciekła w głąb' ogrodu. Powróciłem cały zburzony do domu. Do obiadu Dosia nie wyszła. Ciotka mi powiedziała, że chora na głowę, wieczorem jéj nie było. Nazajutrz pojechałem się z Wilczkiem rozmówić. Nie taiłem się przed starym, otwarciem mu powiedział, że chcę się żenić z jego córką. Uradował się zrazu, ale w prędce posmutniał. Te same mi czynił zarzuty co ona, też same miał skrupuły, ale je łatwiéj mogłem odeprzéć. Obiecał mi mówić z Dosią.

Mówił za mną pan Krzysztof, przemawiała ciotka, ale uparte dziewczę stało przy swojém. Jedynym skutkiem tych nalegań było, że z mniejszą obawą dozwoliła mi się zbliżać do siebie, i nie unikała odemnie. Poznaliśmy się lepiéj. A! drogi przyjacielu, duma kobiety jest jedném z uczuć, które najtrudniéj zwyciężyć. Dosia lękała się zawsze, aby kiedyś życie uczuć jéj nie dało, żem się ja schylił ku niéj, jak mówiła. Chociaż napróżno zaprzysięgałem jéj, iż ją wyżéj stawię nad siebie i wdziękiem i darami Bożemi, i sercem i umysłem. To, co my nabywamy powoli ciężką pracą, ona od natury miała w darze, i wieszczym zgadywała duchem. Miałem ją i mam za jednę z tych wyższych istot, którym się cześć należy, bo na nie Bóg zlał więcéj swych promieni, niż na inne pospolite stworzenia. Dla mnie królowa żadna majestatyczniejszą by nie była. Chcesz końca mych przygód? Jednego dnia Dosia wyjechała do ojca i nie powróciła więcéj.

Na ojcu wymogła słowo, że mnie nie powie, gdzie się znajduje, uciekła ode mnie, niewdzięczna. Czy ją znajdę? czy się

spotkamy? czy zwyciężę jéj obawę, nie wiem, ale tego jestem pewnym, że nie mam najmniejszéj ochoty do ożenienia, i że w sercu miłość dla niéj zachowam na zawsze. Tak, jeśli „zawsze“ znajduje się w ludzkim słowniku.

KONIEC.